

Sebastian Hejankowski

Światłoczuły



 GENIUS
CREATIONS

Sebastian Hejankowski

Światłoczuby



Spis treści

Sylwester Sapięha

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Voluntas est tantum

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Sylwester
Sapieha

Rozdział 1

– Powiada się, że miejsca zapamiętują wydarzenia. Że niektóre spośród wydarzeń, które dzieją się w danym pomieszczeniu, zostawiają w nim swój ślad. W pewnych domach odczuwamy niepokój, coś w rodzaju ciężkiej atmosfery. W innych wręcz przeciwnie – radość, harmonię, pozytywne emocje. Najczęściej nie jesteśmy w stanie odkryć źródła takich reakcji. Mało tego! Nawet się nad tym nie zastanawiamy...

Do tej pory Ewa siedziała z zamkniętymi oczami, wsłuchana w niski, melodyjny głos prowadzącego wykład doktora Rafała Żmudowicza. Kiedy je otworzyła, zobaczyła go, stojącego na małym podwyższeniu i oświetlonego delikatną iluminacją lamp zawieszonych pod sufitem. Przez ten jeden moment wydawał jej się tym samym człowiekiem, którego poznała kilka lat temu. Tak jakby nigdy się nie zmienił, jakby nadal był Ragnusem, szefem Legionu. Ale wrażenie minęło, gdy przyjrzała mu się bliżej: miał teraz więcej siwych włosów i opadnięte kąciki ust.

– Odczucia te wydają nam się naturalne albo irracjonalne. Niektórzy zaczynają szukać przyczyn swoich reakcji w teoriach spirytystycznych, uważając, że powodowane są one przez obecność bytów duchowych. Oczywiście, istnienie czegoś takiego jak realne oddziaływanie na materię czynników metafizycznych należy odstawić na boczny tor, bo to domena ignorancji, czasami tylko stwarzającej pozory wiedzy...

Choć Ewa wiedziała doskonale, jaki jest temat konferencji, i zdawała sobie sprawę ze zmian w przekonaniach Rafała, poczuła ucisk w gardle, gdy usłyszała, jak dawny Ragnus wypowiada te słowa. Dlaczego czasem jedno wydarzenie potrafi tak odmienić człowieka?

– W każdej sekundzie w przedmiotach, które nas otaczają, zapisywana zostaje niezwykła ilość informacji. Jak wykażę za chwilę, dane te mogą zostać odczytane. Co więcej, odczyt ten czasem odbywa się automatycznie.

Zaczął mówić głośniejszym głosem, a w jego głosie Ewa wyczuła większą energię. W jej oczach pojawiły się łzy...

*

Przypomniała sobie jedno ze spotkań Legionu przed laty. Przebiegało ono jak zwykle w luźnej, wesołej atmosferze.

– Ale okultyzm, moja droga, to przecież całe spektrum zjawisk i działań! – Rafał niemal krzyknął, ale w jego głosie słychać było również rozbawienie. – Nie możesz

twierdzić, że to tylko satanizm! To jakby powiedzieć, że wokal w metalu jest zawsze dzikim wrzaskiem i nigdy nie można rozróżnić słów. Uogólniasz...

– Ragnus – odezwała się Ewa, również lekko się uśmiechając. Uwielbiała spierać się z Rafałem.

– Niektórzy twierdzą, że każdy przejaw zainteresowania magią, duchami, bioenergoterapią, a nawet ziołolecznictwem prowadzi prosto do oddawania czci szatanowi. Bo to podobno nic innego jak bunt przeciw Bogu i wyciągnięcie ramion w stronę diabła...

– Nie wyjeżdżaj mi tu z tym katolickim myleniem pojęć! – Tym razem Rafał śmiał się jeszcze głośniej. – Kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć, że to brednie.

– Ale przecież tak może być – stwierdził Marek, żywo gestykulując. – Może faktycznie jest to pierwszy stopień do szukania czegoś coraz bardziej mrocznego, bardziej zakazanego...

– Są różni ludzie – odparł Ragnus. – Każde skrajne podejście do dowolnego tematu jest szkodliwe. Nieważne czy uprawiasz sport, pracujesz czy zajmujesz się okultyzmem. Są rzeczy mniej i bardziej niebezpieczne. Osobiście nie rozumiem powodów, dla których katolicy tak nienawidzą okultyzmu. W końcu to tylko dążenie do doskonałości...

– Ale doskonałości bez Boga – mruknął Marek. – W tym chyba tkwi sens.

– Podobno stworzył nas na swoje podobieństwo – szepnął Rafał. – Czemu więc nie próbować sięgnąć po cząstkę boskości na własną rękę?

Ewa roześmiała się, widząc wyraz twarzy Rafała. Nie była już pewna, na którym etapie swoich wywodów zaczął żartować. Wiedziała, że dla wielu osób już sam temat rozmowy byłby oburzający, a co dopiero gdyby usłyszeli niektóre wypowiedzi... Być może właśnie dlatego uwielbiała dyskutować w ten sposób: nie do końca serio.

*

– Jak wszyscy zapewne wiemy, pewna część promieniowania światła widzialnego zostaje pochłonięta przez określony przedmiot, a reszta odbita – mówił dalej, a w jego wzroku Ewa dojrzała dawną pasję. – Dlatego jesteśmy w stanie rozróżniać kolory. Dzieje się przy tym jednak coś jeszcze. Światło odbite od jednego przedmiotu zapisuje się w strukturze innego. Po pewnym czasie mikroskopijne zmiany, które ono powoduje, stają się tak intensywne, że możemy zacząć mówić o pamięci przedmiotów.

Ewa ponownie przymknęła oczy, zasłuchana. Zdarzało już jej się myśleć, że Rafał posiada w jakimś stopniu umiejętności hipnotyzera. Być może nie był tego świadomy. Możliwe, że pomogło mu to w karierze akademickiej.

Głos doktora Żmudowicza był miękki, niski, a jednocześnie stanowczy...

*

– Musi istnieć coś więcej – powiedział kiedyś Rafał, gdy rozmawiali ze sobą w cztery oczy. – Kolejne istnienia, wcielenia. Okazje, by uczyć się dalej. Jedno życie jest przecież zbyt krótkie, by odpowiednio nad sobą popracować. Poza tym niektórzy mają mniej czasu niż inni...

– Alicja... – szepnęła Ewa, a Rafał kiwnął głową. – To dlatego tak mocno propagujesz rozwój duchowy, samodoskonalenie i wiarę w życie... po życiu?

Rafał uśmiechnął się smutno, w jego spojrzeniu dało się zauważyć melancholię: – Z Alicją jestem tak silnie związany, że musi to oznaczać coś więcej. Tak jakbyśmy znali się od wieków. Czuję, że musieliśmy znać się w poprzednich wcieleniach. I tak jak byliśmy ze sobą w przeszłości, będziemy również i później. Wiem, że spotkamy się po tamtej stronie. Gdyby nie moje przekonania, gdyby nie wiara w to, że tak będzie, chorobę Alicji traktowałbym zupełnie inaczej. Ale wiem, że ona na mnie poczeka. Nawet jeśli miałyby to trwać wiele lat...

Mówił to tym charakterystycznym tonem, który pojawiał się zawsze wtedy, kiedy przekazywał niezwykle ważne informacje. Tonem, który powodował, że chciało się go słuchać bez końca. Choć mówił dość cicho, biło z jego słów tak wielkie wewnętrzne przekonanie, że nikt nie śmiał mu przerywać.

*

– Porównanie do fotografii nasuwa się tutaj samo, aczkolwiek nie jest zbyt trafne. Idea co prawda wydaje się bardzo podobna, ale zasada utrwalania już nie. Otóż w przypadku, o którym mówię, światło nie reaguje z żadną substancją, a zmiany, jakie tworzy, są niezwykle subtelne i oddziałują na strukturę danego przedmiotu. Dzięki zaawansowanej technice laserowej oraz urządzeniom, które w tej chwili przechodzą ostatnie testy, będę w stanie udowodnić swoją teorię.

Mimo obecnego sceptycyzmu Rafała wobec szeroko pojętej ezoteryki, Ewa słuchała wykładu coraz bardziej zaintrygowana. Zaciekały ją nawet kolejne wykresy, skomplikowane obliczenia i równania oraz schematy urządzeń. Sprawiało to wrażenie niezwykle uporządkowanej, a przez to sensownej i spójnej całości.

*

– Na dzisiejszym spotkaniu porozmawiamy na temat magii chaosu. – Rafał rozpoczął wykład, stając na środku pomieszczenia i trzymając w rękach plik kartek z odręcznymi notatkami. – Według mnie jest to najbardziej współczesna metoda uprawiania czarów. Prawdziwa magia XXI wieku!

– A co to jest ta magia XXI wieku? – zapytała ze złośliwym błyskiem w oku Ewa.

Rafał zamilkł zaskoczony; nie spodziewał się, że ktoś mu przerwie już na samym początku.

– Magia XXI wieku to najbardziej współczesna metoda uprawiania czarów... – odpowiedział jej szybko, próbując zażegnać niezręczny moment.

– No ale właśnie przed chwilą to powiedziałeś! – Ewa nieco podniosła głos.

Uwielbiała wprawiać Ragnusa w zakłopotanie i obserwować wtedy jego reakcje. Szef klubu wyglądał wtedy wyjątkowo uroczo.

Teraz spojrział na nią, roześmiał się i pogroził jej palcem: – Robisz to specjalnie! Ty złośliwy potworze! Tak bardzo lubisz patrzeć, jak ktoś gubi się we własnych słowach?

W odpowiedzi pozwoliła sobie tylko na nieznaczące uniesienie kącików ust: – Owszem – odpowiedziała opanowanym głosem.

*

– Jak widzimy, aby urządzenie mogło działać, przedmiot musi być spryskany specjalną substancją utrwalającą. – Rafał nacisnął przycisk na małym pilocie i zmienił slajd.

– Po pierwsze wzmacnia ona ślady światła, po drugie umożliwia odbicie wiązki laserowej wysyłanej przez oświetlacz. Tak więc promień najpierw pada na przedmiot pokryty substancją, następnie odbija się od niego, a potem trafia w ten ekran o dużej czułości, podłączony do komputera. Następnie program analizuje zmiany w wiązce, które nastąpiły na skutek jej kontaktu ze śladami światła. Gdy uruchomimy co najmniej kilka laserów, oświetlających przedmiot wiązkami światła pod różnymi kątami, tak jak widzimy to na tym slajdzie, program komputerowy będzie w stanie wytworzyć dokładny, trójwymiarowy obraz pomieszczenia oraz tego, co się w nim znajdowało.

Kolejne naciśnięcie przycisku sprawiło, że zniknął ostatni szkic przedstawiający ustawione na trójnogach lasery, badany przedmiot, ekran i kierunki padania wiązek. Jako że był to już ostatni slajd, na ścianie pojawił się teraz biały prostokąt pustego obrazu. Po chwili Rafał włączył światło i zgasił projektor. Robiąc to kontynuował wywód, ale nieco bardziej podniesionym głosem, by uczestnicy spotkania mogli go usłyszeć, jako że stał odwrócony do nich bokiem: – Cały proces wymaga jednak bardzo dużej precyzji. Przedmiot badany musi zostać pokryty odpowiednio grubą warstwą substancji reagującej, ekran nie może być zabrudzony, nie powinny występować podczas badania żadne drgania, bo czynniki te mogą mieć negatywny wpływ na jakość uzyskanego obrazu. Trzeba także zaznaczyć, że aby wszystko się udało, wymagane są odpowiednie warunki zewnętrzne. Na przykład na otwartym

terenie ślady byłyby zbyt słabe ze względu na erozję, zabrudzenia i rozproszone źródła światła.

Zatrzymał się na środku podwyższenia i omiół spojrzeniem siedzących. Ewie wydawało się przez moment, że patrzą na siebie i nagle powróciło do niej wspomnienie dawnego zauroczenia. Gdy zapisywała się do Legionu, była bardzo młoda, a Rafał imponował jej wiedzą, inteligencją i zaangażowaniem w to, co robił. Nigdy nie zwierzyła mu się ze swoich uczuć: przecież Ragnus miał wtedy żonę.

– Dlatego najlepsze warunki do badania można stworzyć w zamkniętych pomieszczeniach – kontynuował nieco ciszej. – Tam, gdzie znajdują się duże przedmioty wystawione na działanie pojedynczego, nieruchomego źródła światła, na przykład lampy. Ale ślady światła w otoczeniu mogą również zostawić przedmioty poruszające się. Na przykład ktoś regularnie podlewający kwiaty albo schodzący ze schodów. Mam nadzieję, że uda mi się tak bardzo dopracować urządzenia pomiarowe, by było możliwe ujrzenie tego ruchu. Proszę sobie wyobrazić, jakie znaczenie może mieć ta technologia w pracy archeologów i badaczy zamierzchłych kultur!

*

Ragnus, ubrany w czarną marynarkę, śnieżnobiałą koszulę i spodnie na kant, przypominał Ewie mężczyznę z lat pięćdziesiątych albo nawet z czasów jeszcze dawniejszych. Szczególnie że nosił pod brodą staromodną muchę. Nie wiedziała czemu, ale dosłownie nienawidził krawatów.

– Dziękuję wszystkim tym, którzy przyszli na naszą klubową wigilię – rozpoczął i wstał z krzesła, zapinając przy tym guzik marynarki. – Szczególnie osobom, które nie należą już do Legionu. Naprawdę się cieszę, że wpadliście, bo niektórych z was nie widziałem bardzo długo.

Ewa ujrzała melancholijne uśmiechy na kilku twarzach. Chyba wszystkim udzielił się nastrój chwili.

– To już piąty rok naszej działalności – mówił dalej Rafał. – Zaczynaliśmy skromnie, bo tylko w cztery osoby. Dopiero po dwóch latach klub zaczął się rozwijać. I to bardzo dynamicznie. Poszerzyliśmy granice naszych zainteresowań, zaczęliśmy wydawać „Świat Nieprawdopodobny”, zorganizowaliśmy cztery imprezy. Dołączyły do nas kolejne osoby i dziś mogę z dumą powiedzieć, że mamy ponad dwudziestu aktywnie działających członków. Drugie tyle osób przewinęło się przez nasz klub w ciągu tych kilku lat.

Zrobił przerwę i upił łyk herbaty. W tym czasie zapanowała nabożna cisza.

– Mieliśmy swoje wzloty i upadki, ale z dumą mogę powiedzieć, że ogromny wysiłek, jaki wspólnie włożyliśmy w nasz klub, nie poszedł na marne. Jesteśmy grupą rozpoznawalną w całej Polsce, nie tylko w Bydgoszczy. A to dzięki temu, że nigdy się

nie poddawaliśmy, że wspólnie pokonywaliśmy kolejne przeszkody, że było nas stać na to, by tak bardzo zaangażować się w klub...

*

Ewa rozejrzała się wokół. Wszyscy obecni słuchali Rafała w skupieniu. Tematyka wykładów przyciągnęła wielu zainteresowanych ezoteryką, miłośników takich zjawisk jak na przykład UFO. Obok fizyków-amatorów byli również eksperci od kręgów, jakie niekiedy pojawiają się w zbożu, a także specjalista od optyki, który siedział ramieniem z kobietą rozkładającą karty tarota. Cyklicznie organizowane przez doktora Żmudowicza konferencje „Światło nauki w mroku ignorancji” mimo niszowego charakteru cieszyły się popularnością wśród ludzi o różnorodnych zainteresowaniach.

– I tutaj dochodzimy do głównego punktu mojego referatu. Mam zamiar udowodnić, że w pewnych okolicznościach, przy odpowiedniej temperaturze, oświetleniu oraz zapewne innych czynnikach, które mam nadzieję określić, istnieje możliwość samoczynnego ujawniania się śladów świetlnych zapisanych w danym miejscu. Zapewne w wyniku zabrudzeń powierzchni oraz innych czynników, które mają negatywny wpływ na jakość obrazu, kształty są często niewyraźne. Prawdopodobnie właśnie z tego względu wiele osób wierzy, że jest to manifestacja energii duchowej czy też jakiegoś rodzaju bytów. Prawdopodobnie nie mijają się za bardzo z prawdą, bo, jak wykazałem, jest to swego rodzaju energia. Jednakże z pewnością nie posiada ona ani świadomości, ani zdolności wpływania na otoczenie. To nie są żadne duchy w powszechnym rozumieniu tego słowa, a jedynie zapisy dawnych wydarzeń, które możemy zobaczyć tylko w określonych warunkach. Pozostaje pytanie, kiedy można odczytać ślady światła w sposób naturalny. W chwili obecnej kończę prace nad budową prototypu lasera, jak również nad określeniem proporcji mieszanki substancji reagującej. Wystarczająca do tego technologia jest już dostępna. Po kilku próbach w laboratorium mam zamiar przeprowadzić badania terenowe. W ten sposób udowodnię, że zawsze mieliśmy do czynienia jedynie ze zjawiskiem naturalnego wzbudzenia śladów światła.

Zrobił krótką pauzę.

– Mam nadzieję, że zainteresował państwa mój wykład – powiedział.

Z satysfakcją zauważył, że większość słuchaczy była skupiona na tym, co mówił. Niektórzy wyglądali tak, jakby mieli za chwilę wybuchnąć, tak bardzo chcieli skomentować poglądy doktora na temat duchów. Zapewne byli to ci, którzy trafili na konferencję po raz pierwszy. Ci zaś, którzy byli już na poprzednich, nauczyli się, że trudno z nim dyskutować.

– Zapraszam również do śledzenia postępów mojego projektu oraz do czytania informacji, które umieszczam na swojej stronie internetowej. Tam również podam

termin i miejsce przeprowadzenia próby terenowej. Już teraz zaznaczam, że będę potrzebował kilku osób, by skompletować zespół. I by nie być posądzonym o stronniczość, zapraszam do współpracy ludzi zarówno niewierzących w duchy, jak również tak zwane osoby wrażliwe na działanie tamtej strony. Za największy sukces projektu uznaję takie udowodnienie mojej teorii, które przekona do niej również moich przeciwników. Dziękuję państwu za przybycie i do zobaczenia.

Rafał zebrał swoje kartki z notatkami, a ludzie zaczęli wstawać z miejsc. Większość skierowała się od razu do wyjścia, jednak niektórzy podeszli do Rafała. Doktor uśmiechnął się do siebie, wiedząc, że kolejny raz będzie musiał jakoś przetrwać rozwlekłe rozmowy, które nie wniosą nic sensownego do tematu. Szczerze nie znosił dyskutować zaraz po wykładzie. Szczególnie kiedy jakiś fanatyk ezoteryki starał się zrozumieć jego nagłą zmianę poglądów i naciskał go przy pomocy wścibskich, osobistych pytań. Tak, takich typów nie lubił najbardziej.

– Chciałbym osobiście powiedzieć panu, jak wielkie wrażenie robią na mnie pańskie wykłady, panie Rafale – zaczął jakiś wysoki, chudy młodzieniec.

Właśnie to robisz, pomyślał Rafał z lekką irytacją. Wtedy zdał sobie sprawę, że już kiedyś widział tego chłopaka i to w podobnej sytuacji. Chyba nawet niejedną raz. Tyle że wtedy było to spotkanie z pewnym znanym pisarzem albo dziennikarzem. Zaskoczony tym odkryciem stwierdził, że dziwak zaczął wtedy rozmowę w taki sam sposób jak teraz.

– Tak jak pan uważam, że tylko nauka jest w stanie wszystko wyjaśnić – ciągnął dalej natchnionym głosem chłopak, żywo gestykulując i robiąc mądre miny. Jego wypowiedzi słuchałoby się łatwiej, gdyby nie ciągle jąkanie się.

– A tego, czego nie jest w stanie wytłumaczyć w tej chwili, wytłumaczy później, jak tylko zostaną opracowane odpowiednie teorie i technologie.

Rafał już otworzył usta, by coś odpowiedzieć, ale młodzian nie dopuścił go do głosu:

– Tak się składa, że obaj mamy podobne poglądy.

Doktor powoli dochodził do wniosku, że jego rozmówca dokonywał jedynie autoprezentacji. Być może dlatego pojawiał się na wszystkich spotkaniach z interesującymi ludźmi oraz imprezach kulturalnych.

– Przemyslenia na temat śmierci i życia pozagrobowego natchnęły mnie do stworzenia całego cyklu rysunków, który nazwałem „Ekstazą ostatniej drogi krzyżowej”.

Powiedział to z przejętym wyrazem twarzy, mocno akcentując słowa, jakby miał do przekazania niezwykle ważne informacje.

Jezu..., poskarżył się w duszy Rafał i rozejrzał na boki, jakby szukając jakiegoś sposobu na uwolnienie się od rozmówcy.

Tymczasem chłopak jeszcze bardziej zbliżył się do doktora i nieco zniżył głos: –

Według mojej oceny już niedługo nauka osiągnie poziom, który pozwoli na przezwycięzenie nawet tak ostatecznej granicy jak śmierć...

– Jest pan wielkim optymistą – przerwał mu Rafał, nie mogąc wytrzymać dalszego potoku słów.

Próbował nawet uciec się do patrzenia prosto w oczy, bo po takim zagraniu ludzie zwykle rezygnowali z dalszej rozmowy. Tymczasem chłopak uśmiechnął się tylko, dumny z pochwały, i nawet nie spuścił wzroku.

– Och, jestem o tym przekonany – powiedział nieco mniej pewnym głosem. – Dziękuję, doktorze, za interesujący wykład.

Po tych słowach uklonił się sztywno, odwrócił i skierował się do wyjścia. Rafał odetchnął z ulgą. Kiedyś był zmuszony do wysłuchania wywodów innego nawiedzonego słuchacza, które trwały ponad piętnaście minut i nic z nich nie wynikało. Dotąd wzdrygał się na to wspomnienie.

Na tyle zatopił się we własnych myślach, że prawie nie zauważył stojącej przed nim drobnej, młodej kobiety. Wpatrywała się w niego bez słowa, a doktor odniósł dziwne wrażenie, że widział już tę szczupłą, pociągłą twarz i spokojne spojrzenie brązowych oczu.

Uśmiechnęła się do niego ciepło, po czym powiedziała: – Cześć, Ragnus.

W tym momencie wszystkie elementy układanki złożyły się w jedną całość: wiedział, z kim ma do czynienia, choć wtedy dziewczyna wyglądała nieco inaczej.

– Roseria – powitał ją pseudonimem, który używała w Legionie. – A to niespodzianka! Przyszłaś mnie przekonać do powrotu? – zapytał ze śmiechem. – A może zlinczować za obecne poglądy?

– Nic z tych rzeczy – odpowiedziała Ewa z uśmiechem. – Po prostu przeniosłam się z powrotem do Bydgoszczy, więc postanowiłam wpaść na twój wykład. Już od dawna nie należę do klubu. Poza tym, jak pewnie wiesz, wszystko i tak poszło w diabły.

Rafał pokiwał głową.

– Nie myślałem, że moje odejście spowoduje taki rozłam. Najwyraźniej wszystko miało tak kruche podstawy, że Legion przestał potem istnieć...

– Och, nie popadaj w samouwielbienie. – Uśmiechnęła się krzywo. – Zawsze miałeś skłonności do dramatyzowania. Chyba naprawdę wysoko się cenisz, doktorze. Tak się kończą w tym kraju wszystkie próby skupienia ludzi wokół czegoś, co bezpośrednio nie daje pieniędzy. Robienie czegoś dla idei wymaga inicjatora i kogoś, kto to będzie trzymał. A kiedy ta osoba odejdzie, wszystko ulega degeneracji, rozpada się. I nieważne, czy grupa jest zainteresowana ezoteryką, czy ochroną misiów panda.

Rafał parsknął śmiechem i pokiwał głową.

– Dobrze cię widzieć, Ewa – stwierdził prosto, ale szczerze.

– Ciebie też, Ragnus – odpowiedziała, wyciągając dłoń.

Uścisnął ją delikatnie, jakby obawiając się, że większa siła mogłaby połamać drobne kości dziewczyny.

– Będę sprawdzać doniesienia na temat tej twojej teorii – powiedziała, wycofując się powoli. – Na pewno jeszcze się do ciebie odezwę. Trzymaj się!

Rafał stał w miejscu, dopóki Ewa nie opuściła pomieszczenia. Ta rozmowa przypomniła mu, czym zajmował się jeszcze kilka lat temu. Poczł lekki przyptłw dawnej pasji i energii, niemal usłyszał też charakterystyczny śmiech Alicji, kiedy dyskutowali na interesujące ich tematy. Ból, jaki poczuł na to wspomnienie spowodował, że odrzucił od siebie rozmyślania o dawnych czasach i skupił się na terażniejszości.

Rozdział 2

Janek Mazurek jeszcze raz dla pewności sprawdził instalację spryskiwacza. Było to dość małe urządzenie na metrowej długości przewodnicy, które wyglądało jak pionowo ustawiona tuleja, do której przyłączono różnokolorowe kable. U góry zamontowany był skomplikowany aparat służący do rozpylania substancji utrwalającej. W zależności od programu mógł on się ustawiać w różny sposób i przyskać strumieniem silniejszym, bardziej skupionym, albo coraz słabszym, aż do konsystencji delikatnej mgiełki. Aparat był dla Janka powodem do dumy, bo to on w głównej mierze go zaprojektował, a potem wykonał. Cieszył się, że urządzenie ma tak zróżnicowany przedział mocy oraz szerokości rozpylania substancji.

– Przewód podłączony prawidłowo – mruczał do siebie.

Był dumny jeszcze z innego powodu: jako student trzeciego roku miał możliwość pracować z człowiekiem, którego pomimo jego ekscentryczności uznawano za jednego z najwybitniejszych współczesnych polskich fizyków.

– Aparat spryskiwacza podłączony – mruczał dalej z zadowoleniem. – Przewodnica też. Wszystko na miejscu i nic nie leci.

Energicznie podniósł się z klęczek i szybkim krokiem podszedł do panelu sterowania, ustawionego na jednym ze stolików. Przez duże okna pracowni wpadało światło słoneczne.

Młody student nacisnął kilka przycisków na panelu urządzenia, po czym zanucił pierwsze takty Toccaty i Fugi Bacha, udając, że gra na organach. Jednocześnie wpisał kilka odpowiednich komend, dających mu bezpośredni dostęp do funkcji sterowania aparatem rozpylającym.

Po chwili wydał z siebie kilka mechanicznych odgłosów, poruszając się niczym robot. Jednocześnie zaczął manewrować pokręteł, by sprawdzić, czy aparat faktycznie zmienia ustawienia rozpylania substancji. Pokiwał głową z zadowoleniem. W końcu przeszedł do testowania ruchów urządzenia na przewodnicy. Znowu wpisał kilka komend na panelu i chwycił kolejne pokrętko.

Dla żartu zaczął imitować odgłosy skreczowania i kiwać się na boki, poruszając rytmicznie drugą ręką. Jednocześnie przemieszczał pokrętko w taki sposób, by urządzenie gwałtownie zmieniało kierunki ruchu na przewodnicy, jakby nie wiedziało, w którą stronę się poruszyć.

– Jestem wielkim naukowcem – mruczał Janek, co jakiś czas dosłownie wypluwając z ust rytmiczne bity. – I pracuję na uczelni. Aha, e... e....

– Dobrze się bawisz, Janek? – Pytanie doktora Żmudowicza przerwało radosne

zabawy studenta.

Chłopak obrócił się wokół własnej osi i chciał stuknąć obcasami, prężąc się na baczność niczym żołnierz, ale spod podeszew jego sportowych butów wydobyło się jedynie ciche skrzypnięcie.

– Melduję posłusznie, że aparat jest gotów do pracy! – wykrzyknął, po czym prychnął śmiechem, widząc swojego mentora i nauczyciela w goglach ochronnych.

Najwidoczniej Rafał Żmudowicz był wcześniej w pomieszczeniu naświetlania, które znajdowało się tuż obok. To oznaczało, że miał okazję usłyszeć cały występ Janka. Ale studentowi wcale to nie przeszkadzało – uwielbiał wygłupiać się przed publicznością. Niektórzy twierdzili, że to tylko taka poza, szczeniackie zachowanie niedojrzałego faceta. Ale tymi opiniami Janek również się nie przejmował.

– Film z człowiekiem-muchą zdaje się już nakręcili? – zapytał ze śmiechem.

Rafał zdjął gogle ochronne i pogroził mu palcem.

– Pamiętaj, młodzieńcze, kto wystawia ci oceny.

– To nie fair... – jęknął Janek.

Oczywiście wiedział, że wykładowca żartuje, ale i tak poczuł lekkie zdenerwowanie. Rafał sam się czasem zastanawiał, co tak naprawdę siedzi w głowie tego chłopaka. Wiedział, że wygłupy to tylko zasłona dymna. Przypuszczalnie młody student jedynie starał się na siłę udowodnić wszystkim, jak bardzo jest szczęśliwy.

– A może to ja biorę miarkę według siebie – mruknął cicho.

– Proszę?

– Nic, nic – odparł doktor i machnął ręką. – Zajmij się zasłanianiem i zamykaniem okien, ja jeszcze raz oczyszczę ekran rejestrujący.

Janek wykonał polecenie z nadmierną wręcz gorliwością. Tak jakby starał się pokazać, jak bardzo mu zależy. Czy to też było tylko na pokaz? Czy jeśli nikt nie patrzył, chłopak wykonywał inne zadania z takim samym zaangażowaniem?

– A więc dziś będzie ta wielka chwila, he? – zapytał Janek, zasłaniając kolejne okno.

– Owszem – burknął Rafał, podchodząc do dużego, prostokątnego i płaskiego przedmiotu, przykrytego białym prześcieradłem.

Złapał za róg i energicznym ruchem zrzucił płachtę na podłogę. Rzecz pod spodem przypominała jeden z tych wielkich, zupełnie płaskich telewizorów na całą ścianę. Była to wysoka na około dwa metry i szeroka na trzy rama, w środku której znajdował się czarny ekran o gładkiej powierzchni. Wszystko było oklejone folią ochronną, jak telefon komórkowy. Sam ekran nieco prześwitywał, co pozwalało dostrzec skomplikowaną sieć przewodów i czujników. Zbiegały one się w centralnym punkcie, z którego wystawał pojedynczy kabel, drugim końcem podłączony do jednej z tajemniczych czarnych skrzynek, ustawionych jedna na drugiej, zaraz obok ekranu.

– To wciąż robi na mnie wrażenie – powiedział cicho Janek.

– Powyciągaj lasery – rzucił Rafał.

Wiedział z doświadczenia, że jeśli jego młody współpracownik zacznie jedną z tych swoich gadanin o niczym, straci wiele czasu i energii na zamknięcie mu ust.

– I połóż je koło ekranu – dodał.

Janek energicznie rzucił się do magazynu i wytaszczył ze środka cztery czarne walizeczki. W każdej z nich znajdowały się dwa oświetlacze laserowe oraz zestaw okablowania. Urządzenia były dość małe, długie na niecałe piętnaście centymetrów i zaopatrzone w trójnogi, by można było je łatwo ustawić. Miały głowice z systemem ruchomych soczewek, zdolnych do emitowania wiązek laserowych w różnych kierunkach.

– Przynieś tablicę z pomieszczenia naświetlającego – rozkazał mu Rafał, zdejmując pierwszą z góry czarną skrzyneczkę. – Tylko pamiętaj o goglach!

Jego pomocnik prawie pobiegł w kierunku sąsiedniego pomieszczenia, w którym od blisko dwóch miesięcy przechowywali czarną szkolną tablicę na zaopatrzonej w kółeczka ramie, stolik z bukietem sztucznych kwiatów w obskurnym wazoniku oraz potężny zestaw stuwatowych żarówek, świecących nieustannie, dzień i noc.

Rafał tymczasem rozstawił lasery w jednej linii, w mniej więcej równych odstępach od siebie, po czym zaczął podłączać je kablami do czarnej skrzyneczki. Gdy skończyły się gniazda, sięgnął po kolejną.

W pracowni ponownie pojawił się Janek, tym razem w towarzystwie tablicy klekoczącej drewnianymi kółeczkami. Ustawił ją przed laserami i spojrzał na wszystko krytycznym okiem. W końcu mruknął do siebie, przesunął przedmiot o kilka milimetrów w lewą stronę i kiwnął głową z zadowoleniem. Co prawda czynność ta była bez znaczenia, ale dla Janka miała jakiś tajemniczy sens.

Tymczasem Rafał za pomocą grubych kabli podłączył mniejsze skrzyneczki do jednej większej. Na koniec podszedł do panelu i uruchomił program diagnozujący.

Janek bez słowa obserwował twarz mężczyzny, oświetloną łuną bijącą od ekranu. Najwyraźniej udzielił mu się nastrój chwili. Już niedługo sprawdzą, czy teoria doktora Żmudowicza ma jakiegokolwiek podstawy. Chłopak wiedział, że wiele będzie od tego zależało.

Rafał zmarszczył brwi i rzucił krótko: – Sprawdź trzeci laser od lewej. Program go nie widzi.

Janek rzucił się z impetem w kierunku laserów. Doktor przestraszył się, że nie zdąży wyhamować i wpadnie na ustawiony sprzęt, ale chłopak z piskiem butów zatrzymał się na centymetry przed urządzeniem, po czym sprawdził gniazdo, wyciągnął wtyczkę i włożył ją jeszcze raz.

– I jak? – zapytał.

– Sprawdzam – odparł doktor i zrobił pauzę. – Nadal nic, wymień kabel.

Rafała zawsze zadziwiała prędkość poruszania się Janka. I choć nie widział żadnej

różnicy w tym, czy ktoś pojawi się w miejscu docelowym sekundę wcześniej czy później, imponowała mu żywiołowość podopiecznego. Była to zresztą cecha, która mogła się podobać każdemu pracodawcy. Szczególnie na początku okresu zatrudnienia, kiedy to pracownik jest oceniany, niekiedy nazbyt powierzchownie. Doktor zawsze najbardziej cenił prawdę. Kolejny raz zastanowił się nad prawdziwym obliczem Janka, pozornie otwartego i beztroskiego młodzieńca.

– A teraz? – pytanie przywróciło go do rzeczywistości.

Po raz kolejny sprawdził wyniki diagnozy programu. Uparcie pojawiała się informacja, że jeden laser nadal się nie łączy.

– To jednak musi być sam laser – zdecydował Rafał. – Weź jakiś inny, a ten uszkodzony odłóż na bok, żeby nam się nie pomieszały. Później do niego zajrzemy i sprawdzimy, co się stało.

Po chwili w szeregu znalazł się inny, bliźniaczo podobny do reszty mały przedmiot na trójnogu.

Cały czas kucając, Janek spojrzał wyczekująco w stronę doktora. Był gotowy do dalszego działania.

Rafał uśmiechnął się i kiwnął głową.

– Teraz wszystko gra. Zaraz rozpoczniemy kalibrację.

Chłopak błyskawicznie zajął miejsce obok nauczyciela i założył ochronne gogle.

– A gdyby tak dla lepszego efektu zrobić tutaj dym? – zapytał, podekscytowany wizją różnokolorowych promieni laserowych, poruszających się w gęstych chmurach i przybierających różne kształty. – Można by jeszcze podłożyć pod to jakąś muzykę...

– Nie będziemy robili szopki – stwierdził spokojnie Rafał. – Poza tym, czemu dym? Wyobraź sobie panikę, jaka by powstała, gdyby ktoś wrzasnął, że się pali. Ludzie powyskakiwaliby oknami...

– No to możemy zrobić mgłę! Wystarczy trochę suchego lodu...

– Daj spokój.

– Nie byłoby problemu. Mój znajomy zajmuje się przygotowaniem występów w jednym klubie. Mógłbym od niego wziąć trochę suchego lodu, glikolu, azotu czy czego on tam używa. On też czasami robi mgłę...

Rafał z cichym westchnieniem założył gogle.

Kiedy główce poszczególnych oświetlaczy zaczęły się poruszać, Janek wydawał się trochę rozczarowany: widać było tylko małe światełka, ale żadnych promieni. Oczywiście jako student fizyki zdawał sobie sprawę z tego, że tak właśnie będzie to wyglądało, ale na pewno nie miałby nic przeciwko lekkiemu uatrakcyjnieniu wizualnej strony całego procesu.

Po około minucie, w czasie której główce poruszyły się, a światełka zamigotały, wszystko się zatrzymało. Na ekranie panelu sterowania pojawiła się pojedyncza, załamana w kilku miejscach linia. Aby cała powierzchnia badanego przedmiotu

została prawidłowo oświetlona, program musiał wiedzieć, jakie są odległości pomiędzy poszczególnymi laserami.

– Położenie laserów zmierzone – oznajmił Rafał. – Teraz musimy ustawić ekran.

Wspólnymi siłami przesunęli ramę czarnego ekranu, umieszczając ją około dwóch metrów za laserami.

– Może rozprowadzimy substancję utrwalającą, zanim zdejmemy folię z ekranu? – zasugerował Janek.

– Teraz kolejność nie ma aż tak wielkiego znaczenia – odparł Rafał, spoglądając na ustawione przedmioty. – Kiedy zdejmemy folię, ekran od razu się nie zabrudzi, więc nie będzie to miało wpływu na badanie. Lepiej zrobmy wszystko po kolei, tak jak to zaplanowaliśmy.

Pomagając sobie nawzajem, ostrożnie odkleili z ekranu folię ochronną, po czym ponownie ustawili się przy panelu sterowania. Tam Rafał przystąpił do wykonywania kolejnego etapu kalibracji. Tym razem lasery miały za zadanie zeskanować ekran rejestrujący, a przy okazji potwierdzić określone wcześniej odległości pomiędzy wiązkami. Było to dodatkowe zabezpieczenie, mające na celu wyeliminowanie ryzyka zafałszowania wyników.

– Ekran mierniczy zeskanowany – stwierdził doktor po kolejnej minucie obserwowania obracających się głowic i migoczących światełek. – Skanowanie potwierdza zmierzone wcześniej odległości między laserami. Możemy rozpylać substancję utrwalającą.

Rafał swobodnie przełączał się pomiędzy okienkami i funkcjami programu. W końcu to on dokładnie określił, jak to ma działać, a informatyk tylko przełożył polecenia na język maszyny.

– Zaczniemy od małej ilości substancji i wstępnie zeskanujemy tablicę – ciągnął, nie odrywając wzroku od ekranu. Janek miał wrażenie, że wykładowca mówi do siebie. – Potem zwiększymy jej ilość i rozpoczniemy eksperyment.

Urządzenie na prowadnicy ożyło. Płynnym ruchem przesuając się z lewej strony na prawą, zaczęło rozpylać substancję w postaci mgiełki. Kiedy aparat dotarł do końca prowadnicy, jego korpus wydłużył się. Urządzenie powtórzyło rozpylanie na nieco większej wysokości, a po chwili przemieściło się w przeciwnym kierunku. Gdy ponownie dotarło do końca prowadnicy, po raz kolejny zwiększyło wysokość rozpylania. Trwało to aż do momentu osiągnięcia największej możliwej długości korpusu, czyli około dwóch metrów. Efekt był taki, że tablica została na całej powierzchni pokryta równomiernie pokryta substancją utrwalającą.

– Rozpoczynam wstępny skan – mruknął Rafał i wybrał odpowiednią komendę.

Głowice laserów ponownie zaczęły pracować. Na ekranie panelu sterowania pojawiły się trzy linie. Jedna z nich odwzorowywała tablicę, druga szereg laserów, a trzecia ekran rejestrujący. Na tym etapie program zebrał już wszelkie niezbędne dane i

mógł podjąć pracę. Wszystkie odległości zostały zmierzone z dokładnością do setnych części milimetra, wystarczyło więc rozpocząć właściwe badanie.

– Denerwujesz się? – zapytał Janek, przystępując z nogi na nogę. – A co jeśli się nie uda?

Rafał sapnął, zapatrzył się gdzieś w dal i powiedział: – Jak się nie uda, zrobimy wszystko jeszcze raz. A potem znowu. Jeśli dziś nie osiągniemy żadnych wyników, przemyślimy sprawę i zabierzemy się za wszystko ponownie, ale z nieco innej strony. Ta teoria jest słuszna, Janek. Musi być...

Przez chwilę obaj milczeli, spoglądając w lekkim napięciu na rozstawiony przed nimi sprzęt.

– Określam obszar szczegółowego skanowania – powiedział w końcu Rafał, zaznaczając na ekranie linię symbolizującą tablicę. – I rozpoczynam pokrywanie obiektu grubszą warstwą substancji.

Urządzenie na przewodnicy po raz drugi rozpoczęło pracę. Tym razem zamiast mgiełki pojawiały się cienkie strugi substancji. Słychać było rytmiczne, krótkie syki, sygnalizujące, iż ciecz wydostaje się z dozownika. Tsk, tsk, tsk, tsk.

Po chwili znowu zapadła cisza.

– Teraz będzie chwila prawdy – mruknął doktor.

Lasery rozpoczęły niestrudzoną pracę, omiatając wiązkami promieni wszystkie zakamarki czarnej tablicy. Każdy z nich miał zmapować cały obiekt, a nie tylko swój wycinek. Wszystkie części aparatury jakby ożyły. Tył ekranu rejestrującego rozjarzył się kolorowymi diodami, świadczącymi o pracy poszczególnych elementów skomplikowanej sieci mikroczytników. Rozległo się buczenie zwiększających obroty wentylatorów. Po chwili na monitorze pojawił się komunikat o wpływających do komputera danych. Informacje o odbitych wiązkach nieprzerwanym potokiem trafiały do dalszego przetworzenia. W końcu ponownie zapadła cisza, a na ekranie mignął napis: „Skanowanie zakończone. Dane gotowe do analizy”.

– Zobaczmy zatem, co takiego udało nam się zeskanować – szepnął Rafał.

Janek z przejściem pochylił się nad ekranem. Rafał wydał komputerowi polecenie wizualizacji i po chwili pojawił się pasek postępu, ukazujący procentowe przetworzenie surowych danych w trójwymiarowy obraz. Niedługo potem ujrzeli niebieskawy sześcian, złożony z milionów punktów. Wyglądał jak pudło z kłębiącymi się w środku oparami jakiegoś gazu. Niestety, jego wnętrze nie przypominało niczego konkretnego, a już na pewno nie stół z bukietem sztucznych kwiatów w wazonie.

Rafał zmarszczył brwi, a Janek szeroko otworzył oczy ze zdziwienia. Obaj intensywnie wpatrywali się w ekran, próbując dostrzec w układzie kropek coś, co przypominałoby kształt stołu.

– Widzisz coś? – zapytał Rafał.

– Chciałbym – odparł powoli Janek.

– Zmienię nasycenie kolorów, może szarości pomogą?

Nawet optymistycznie nastawiony Janek stwierdził, że szare kropki, podobnie jak niebieskie, niczego nie przypominają.

– Jaką mamy pewność, że otrzymaliśmy prawidłowy obraz? – zapytał Janek spoglądając na swego mentora.

– Na pewno jest prawidłowy, algorytm był przecież sprawdzany. – Rafał wydawał się być rozdrażniony jego pytaniem.

– Nie o to mi chodziło – chłopak potrząsnął głową. – Czy obraz może być do góry nogami?

Rafał zamyślił się na chwilę, po czym z nadzieją w głosie powiedział powoli: – Sprawdźmy...

Doktor zaczął manipulować sześcianem. Obaj ze swoim studentem przyglądali mu się z różnych stron.

– A to tutaj? – zapytał Janek, pokazując palcem jakąś ciemniejszą smugę.

– To tutaj nie jest niczym konkretnym – stwierdził Rafał, dalej obracając wizualizację. – Cholera, nic tu nie ma...

Przez następne kilkanaście minut obaj wyteżali wzrok i wyobraźnię, by dostrzec to, co powinno się znaleźć na ekranie.

– Sprawdźę jeszcze tylko jedną rzecz – warknął Rafał.

Był wściekły, że się nie udało. Wiedział, że zarówno teoria, jak i przeprowadzone na jej podstawie badania są bez zarzutu. Mogło to oznaczać tylko jedno – że opierał się na całkowicie błędnych podstawach. Nie chciał na razie dopuszczać do siebie myśli o tym, że mógł się mylić.

– Zwiększymy odległości pomiędzy punktami wizualizacji i zobaczymy, co nam wyjdzie – zdecydował.

Przełączył się pomiędzy okienkami programu, wpisał kilka cyferek w odpowiednie miejsca i obraz przeszedł metamorfozę. Punkty, które wróciły do swojego pierwotnego niebieskiego koloru, rozlały się bardziej po ekranie, jednak sześcian nadal był od nich gęsty. I wtedy Rafałowi zaczęło się wydawać, że coś widzi. Usłyszał, jak Janek gwałtownie wciąga powietrze, co oznaczało, że on to również zauważył.

– Jest! – szepnął student. – Widzisz, tam w środku, takie małe!

Rafał musiał przyznać mu rację. W środku sześcianu zobaczył charakterystyczny kształt stolika i jakiegoś przedmiotu na jego blacie. Wszystko było nadal bardzo małe, nawet po zwiększeniu odległości między punktami. Doktor błyskawicznie wpisał kolejny zestaw cyfr i jeszcze bardziej powiększył sześcian.

Janek roześmiał się radośnie, widząc efekt na ekranie. Twarz Rafała również rozjaśniła się w uśmiechu – obraz stolika był coraz bardziej widoczny.

– Jeszcze tylko mała poprawka – powiedział i powiększył punkty, które stały się

małymi kulkami, a stolik, wazon i kwiatki teraz widać było wyraźnie.

Nie było wątpliwości! Teoria jest prawdziwa!

Student zaczął wrzeszczeć i skakać dokoła, radośnie wyrzucając ręce w górę.

– Udało się! – krzyczał w uniesieniu. – Doktorze, udało się!

Rafał pokiwał głową i głęboko odetchnął. Czuł się tak, jakby ogromny ciężar spadł mu z serca. Z fascynacją obracał sześcianem, widząc pełny, trójwymiarowy obraz stolika i wazonika. Obraz był tak wyraźny, że można było dostrzec nawet plastikowe płatki kwiatów.

Poczuł nagle, jak coś chwyta go za gardło. Zrobił właśnie pierwszy krok, by udowodnić swoją teorię. W końcu obwieści, że ma rację i że od początku ją miał. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że zanim osiągnie prawdziwy sukces, będzie musiał przeprowadzić serię badań. Pierwszy eksperyment odbył się w ściśle kontrolowanym środowisku, jednak Rafał miał przeczucie, że wszystko zostanie potwierdzone podczas działań w terenie. Wiedział, że na pewno napotka sporo trudności, ale czuł, że je pokona i udowodni swoje racje.

Janek w końcu przestał skakać i posłał swojemu mentorowi wyjątkowo poważne spojrzenie.

– Doktorze, właśnie wkraczamy w nieznanne – powiedział spokojnym głosem. – Czy jesteś na to gotowy?

Rafał zdziwił się, słysząc to pytanie. Udzielił mu się jednak nastrój Janka, tak różny od jego zwykłego zachowania.

– Tak – odparł poważnym tonem. – Jestem gotowy.

Chłopak jeszcze przez chwilę patrzył Rafałowi prosto w oczy. Było w tym wzroku coś dziwnego, jakby młody student podejmował właśnie decyzję niezwyklej wagi. Doktor nagle zdał sobie sprawę z tego, że mógł mieć całkowitą rację w swojej ocenie zachowania Janka. Wszystkie jego wybryki mogły być pozą, która miała ukryć jego prawdziwe emocjonalne zaangażowanie w to, czym się aktualnie zajmował. Mogła to być jedynie skorupa, chroniąca prawdziwą naturę wrażliwego chłopca.

W końcu Janek kiwnął głową, roześmiał się i dosłownie rzucił się Rafałowi na szyję, uściskał go serdecznie i zapewnił: – Możesz na mnie liczyć, doktorze! Pomogę we wszystkim! Kiedy rozpoczniemy eksperymenty w jakimś normalnym miejscu?

*

Ewa zmywała naczynia, jednym uchem słuchając telewizji regionalnej. Chwyciła gąbkę, zamoczyła ją, po czym kapnęła na nią kilka kropel płynu do mycia naczyń. Kiedy usłyszała, że rozpoczęły się reklamy, całkowicie skupiła się na zmywaniu. W zasadzie nie lubiła tej czynności, ale wykonywane mechaniczne ruchy pozwalały jej błądzić myślami gdzie indziej. Minęło już trochę czasu od konferencji zorganizowanej

przez Rafała, a ona nadal rozpamiętywała ten moment. Analizowała to, co powiedział, w jaki sposób poruszał się po scenie, jak zareagował, rozpoznając dawną przyjaciółkę. Widziała, że zaszło w tym człowieku wiele zmian. Co prawda małych i prawie niezauważalnych, ale nie dla niej. Wiedziała, że jest dobrą obserwatorką. W końcu doszła do wniosku, że Rafał stał się po prostu smutniejszy i nieco bardziej cyniczny. Pomyślała jednak, że w jego przypadku był to dość naturalny stan ducha. Skrzywiła się, kiedy uświadomiła sobie, jak głęboką ranę musiała mu zadać śmierć Alicji. A także późniejsze starania skontaktowania się z nią.

– Dziś w naszym ogródku gościmy wyjątkową osobę – rozległ się głos prezenterki bydgoskiej telewizji. – Człowieka wzbudzającego wiele kontrowersji w różnych środowiskach. Doktor Rafał Żmudowicz jest fizykiem, który obecnie pracuje nad potwierdzeniem swojej tezy na temat prawdziwego źródła teorii spirytystycznych...

Ewa błyskawicznie odłożyła talerz, który wylądował na stercie naczyń z głośnym brzękiem. Szybko przeszła do pokoju, w którym stał telewizor, po drodze wycierając mokre dłonie w szmatkę, którą następnie rzuciła ją na stojący obok stolik. Usiadła na kanapie.

Nie było to studio w tradycyjnym sensie tego słowa, lecz mała drewniana altanka ustawiona w ogrodzie, otoczona krzewami. To właśnie w tym miejscu przeprowadzano rozmowy z interesującymi gośćmi. Tym razem na krześle przed kamerą siedział doktor Rafał Żmudowicz. Wyglądał na spokojnego i odprężonego, jakby występowanie w telewizji było dla niego czymś codziennym.

– No właśnie, doktorze – odezwała się prowadząca program kobieta i odwróciła się w stronę swojego rozmówcy. – Jak to jest z tymi kontrowersjami? Podobno zdecydowanie sprzeciwia się pan temu, że duchy naprawdę istnieją?

– W zasadzie to nie do końca tak – stwierdził Rafał, roześmiał się krótko i poprawił na krześle. – Twierdzę tylko, że istnieje pewien naturalny proces wyzwalający efekty, które niektórzy nazywają duchami. Ale jestem przekonany, że efekt taki nie posiada własnej świadomości. Poza tym gdyby duchy istniały naprawdę, to zapewne pani byłaby o tym również przekonana.

Dziennikarka zamrugła i uśmiechnęła się niepewnie. Najwyraźniej rozmowa obrała kierunek, który nie był wcześniej ustalony.

– Czy może pan to rozwinąć? – zapytała w pełni opanowanym głosem. Nie z takich oparów udawało jej się wychodzić.

– Nie wiem, czy pani zdaje sobie sprawę albo czy nasi telewidzowie wiedzą – powiedział Rafał zwracając się wprost do odpowiedniej kamery – że dokładnie w tym miejscu, w tym ogródku zaraz obok budynku naszej regionalnej telewizji znajduje się Łysa Góra, legendarne miejsce spotkań więdźm? Tu odprawiały swoje tajemnicze rytuały. Niektórzy mówią też, że składały ofiary z ludzi...

– Teraz rzeczywiście zaczynam się bać – powiedziała redaktorka ze śmiechem.

– To oczywiście taka nasza regionalna ciekawostka – mówił dalej Żmudowicz. – Chcę tylko powiedzieć, że gdyby duchy naprawdę istniały, to w pewnych miejscach po prostu można by je zauważyć. Dlatego według mnie wszelkie byty astralne to tylko obraz, który potrafi się pojawić w jakimś miejscu.

– Coś jak film albo hologram? – dopytywała prowadząca.

– Właśnie – stwierdził Rafał. – Zachodzi tutaj bardzo podobny proces, jak przy naświetlaniu filmu w aparacie. A potem ten obraz zostaje wyświetlony w przestrzeni. Porównanie do hologramu jest bardzo trafne.

– No dobrze, a czy potrafi pan wytłumaczyć ten proces w takich słowach, by zrozumieli to nasi telewidzowie?

– Oczywiście – odparł Rafał i zaczął tłumaczyć od początku.

Używał znacznie mniej skomplikowanych określeń niż podczas swojego wcześniejszego wykładu. Udało mu się jednak wszystko powiedzieć jasno, w dodatku w zwięzłej formie. Przedstawił całość bez zająknięcia, a Ewa nabrała pewności, że musiał całe wystąpienie przygotować.

– Dziękujemy, doktorze, za interesujący wykład – powiedziała prowadząca. – Widzę, że przyzwyczajony jest pan do tłumaczenia zawłości swojej teorii laikom takim jak ja.

– Oj tak – odpowiedział Rafał. – Ale pomijając cały naukowy żargon, podstawy tej teorii są w zasadzie niezwykle proste i łatwe do zrozumienia.

– Przed programem powiedział pan, że przeprowadził już pierwszy udany eksperyment.

Ewa zamieniła się w słuch. Była niezwykle zainteresowana postępami, jakie Rafał poczynił w pracy. Śledziła informacje umieszczone na jego stronie. Jednak jak do tej pory nie pojawiła się tam wzmianka o udanym eksperymencie! Pochyliła się na kanapie, otwierając lekko usta. Była skupiona na każdym słowie wydobywającym się z głośników telewizora.

– Owszem – potwierdził doktor z wyraźnym zadowoleniem. – I muszę powiedzieć, że eksperyment ten zakończył się sukcesem.

– Czy może nam pan przybliżyć nieco, na czym on polegał?

– Oczywiście. W zamkniętym pomieszczeniu umieściliśmy stolik z wazonem kwiatów, czarną tablicę szkolną oraz zestaw żarówek, które świeciły nieustannie przez dwa miesiące. Dzięki temu światło odbijało się od stolika i zapisywało jego ślady na powierzchni tablicy. Potem wystarczyło tylko wyciągnąć tablicę, wykorzystać urządzenia, jakie zbudowaliśmy, i przeskanować jej powierzchnię. Okazało się, że jesteśmy w stanie wydobyć ślady światła z tablicy i zobaczyć stolik wraz z wazonem i kwiatami tylko na podstawie informacji zapisanych w tablicy przez padające na nie promienie światła.

– Powiedział pan, doktorze, że trwają przygotowania do eksperymentów w terenie.

– Tak – rzekł Rafał, kiwnął głową i spojrzał prosto w kamerę. – I korzystając z okazji chciałbym zaprosić wszystkich chętnych do udziału w nich. Szczególnie zależy mi na ludziach, którzy mają jakieś osiągnięcia w dziedzinach ezoterycznych albo posiadają odpowiednią wiedzę lub doświadczenie. Każdy chętny może wypełnić wniosek umieszczony na mojej stronie internetowej. Będziemy je zbierać przez kolejny miesiąc.

– No dobrze, a na czym konkretnie będą polegały te eksperymenty w terenie? Czy może pan wyjawic jakieś szczegóły całej operacji?

– Już teraz mogę powiedzieć, gdzie będą się one odbywały – odpowiedział Rafał powoli, tak jakby chciał podkreślić atmosferę nerwowego oczekiwania. – Otóż miejscem działań grupy, jaką stworzymy, będzie zaniedbany w tej chwili, ale niezwykle interesujący dom Sylwestra Sapiehy, leżący w okolicach Bydgoszczy.

Ewa głośno wypuściła powietrze. Dom Sylwestra Sapiehy! Jeden z najbardziej tajemniczych budynków w Polsce! Otaczało go tyle legend oraz bliżej niepotwierdzonych relacji, że każdy, kto miał choć drobny kontakt ze środowiskiem spirytystycznym, znał budynek, gdzie mieszkał i przeprowadzał swoje eksperymenty jeden z największych polskich magów dwudziestolecia międzywojennego.

– Czy to prawda, że ten dom uważany jest za nawiedzony? – zapytała kobieta.

– Zgadza się – potwierdził doktor. – Jest to znane miejsce w pewnych kręgach. Wiele osób twierdzi, że to nawiedzony dom, gdzie regularnie można zobaczyć duchy. A zatem stanowi idealne miejsce na potwierdzenie mojej teorii.

Ewa jak urzeczona słuchała dalszych słów Rafała. Decydując się na eksperyment w takim miejscu, doktor dał jasno do zrozumienia, co myśli o szansach jego powodzenia.

*

Postać siedząca przed ekranem komputera kolejny raz podziękowała w myślach laboratorium Marynarki Stanów Zjednoczonych za finansowy wkład w rozwój sieci TOR. Było to podziemie Internetu, pozwalające użytkownikom na całkowitą anonimowość.

Prawie całkowitą, poprawiła się w myślach osoba zajmująca miejsce w obracającym fotelu. – W końcu zdarzały się przypadki, że kryminaliści wykorzystujący TOR do swoich celów byli zatrzymywani przez policję. Co prawda zwykle za granicą, a nie w Polsce, ale jednak takie przypadki się zdarzały.

Sieć TOR zapewnia prawie całkowite bezpieczeństwo i możliwość korzystania z Internetu bez żadnych konsekwencji. Techniczne wyśledzenie konkretnego użytkownika staje się prawie niemożliwe. Jak zawsze są wyjątki od reguły. Zwykle jednak powodem wpadek była nieostrożność użytkowników sieci.

Palce z gracją prześliznęły się po klawiaturze, wpisując skomplikowany adres strony. Ładowanie trwało dłużej niż zwykle. Jedyne minus sieci – za wysokie bezpieczeństwo płaciło się cenę w postaci niskiej prędkości. W końcu pojawiło się ukryte forum dyskusyjne. Jeśli ktoś nie znał jego adresu, nie mógł na nie trafić.

Wzrok powoli przesuwał się o liście kolejnych wpisów...

TroTylX

ZBLIŻA SIĘ CZAS WYKONANIA PLANU. TAK JAK SIĘ UMAWIALIŚMY, BĘDĘ TUTAJ INFORMOWAŁ O WSZYSTKIM.

PastooH

PRZYJAŁEM. JAK WIDAĆ ZAREJESTROWAŁEM SIĘ NA FORUM. CZEKAM NA ROZKAZY ;)

Kandle318

JA TESH.

TroTylX

PAMIĘTAJCIE O DYSKRECI. TO ŻE KTOŚ NAS WYŚLEDZI JEST MOŻLIWE TYLKO W MINIMALNYM STOPNIU, ALE... NIE KUŚMY ZŁEGO, HŁE HŁE... :)

Kandle318

NAMIESZYĆ NAS SE NE DA. DOBSZE O TYM WISZ...

TroTylX

W RAZIE CO NIE ZASZKODZI KANDLE. DMUCHAJMY NA ZIMNE

PastooH

SIE WIE! TRZYMAM JEZYK Z A ZĘBAMI. ALE WIECIE CO? JUŻ NIE MOGĘ SIĘ TEGO DOCZekać...

TroTylX

JA RÓWNIEŻ. ZROBIMY NIEZŁE ZAMIESZANIE... CZEKAJCIE NA DALSZE INFORMACJE.

Osoba wpatrująca się w ekran stwierdziła, że warto było udzielać się na forach dyskusyjnych dotyczących ezoteryki i okultyzmu. Sama była kimś w rodzaju eksperta od Sapielhy i wielokrotnie konsultowali się z nią nawet ludzie z zagranicy. Najnowsze wieści spowodowały, że nie kryła swoich negatywnych opinii, używając takich wyrażen jak „życiowy bład”, „herezja”, czy też „skandal”. Szybko okazało się, że nie była w tym odosobniona. Ukrywającemu się pod pseudonimem „Heir” mężczyźnie ze

Stanów Zjednoczonych informacja o miejscu, w którym planowano przeprowadzić eksperymenty nie spodobała się na tyle, że postanowił działać. Działać rękoma osoby siedzącej przed monitorem, która zaczęła stukać w klawiaturę...

TroTylX

PANOWIE MAMY SPONSORA! NIE DOŚĆ, ŻE ZROBIMY TO CO MIELIŚMY ZROBIĆ, TO JESZCZE DOSTANIEMY Z A TO PIENIĄDZE. NIE BĘDĘ WAS OSZUKIWAĆ, TO BĘDZIE KUPA FORSY! BEZ PROBLEMU POWINNIŚMY MÓC PRZERWAĆ EKSPERYMENTY W DOMU SAPIEHY, BO MIEJSCE JEST DOBRE, ODDALONE OD MIASTA I OPUSZCZONE. BĘDZIE TO WSPANIAŁY SYMBOL! JUŻ CZAS BY WPROWADZIĆ W ŻYCIE NASZ PLAN. DOKTOREK MUSI ZNIKNAĆ ZE SCENY! SPOTKAJMY SIĘ I POGADAJMY O TYM, NAJLEPIEJ U PASTOOHA...

*

Janek gwizdnął z podziwem, spoglądając na trzymany przez Rafała plik kartek. Obaj siedzieli w gabinecie doktora przy filizance herbaty. Minął czas nadsyłania zgłoszeń i nastąpił moment, w którym musieli wybrać osoby mające uczestniczyć w eksperymencie.

– Aż tylu się zgłosiło? – zapytał z niedowierzaniem Janek. – Ciekawe, ilu jest chętnych na jedno miejsce. A właściwie to ile mamy wolnych miejsc?

– Możemy dokooptować tylko pięć osób – stwierdził Rafał i wykrzywił twarz w grymasie niechęci. – Rektor nie wyraził zgody na większą liczbę, a i mnie nie udało się zdobyć większych środków, bo prawie wszystkie zjadła budowa urządzeń. Dobrze, że mamy do dyspozycji cały miesiąc.

– A czy miesiąc wystarczy? – powątpiewał Janek. – W końcu budynek jest dosyć spory.

– Musi – odparł Rafał i rzucił plik kartek na blat biurka. – Dlatego powinniśmy opracować dokładny plan działania: od jakich pomieszczeń zaczynamy i tak dalej. Może uda nam się skonstruować drugi ekran i kilka dodatkowych laserów. Wtedy moglibyśmy przyspieszyć sprawę.

– O tak. – W głosie Janka było słuchać nutkę nadziei. – Drugi ekran by się przydał. Ale czy nie będziemy potrzebowali do tego jeszcze jednego panelu sterowania?

– Nie. – Rafał pokręcił głową. – Do jednego możemy podłączyć nawet trzy ekrany i jakieś czterdzieści laserów. Czyli więcej, niż mamy. Teraz powinniśmy tylko wybrać odpowiednich ludzi.

Janek chwycił kartki i zaczął je przeglądać.

– W takim razie musimy z tej bandy wybrać pięcioro – mruknął do siebie.

– Właściwie to czworo – odparł Rafał.

Młody student uniósł brwi w zdziwieniu i spojrzał pytająco na doktora.

– Pomyślałem sobie – wyjaśnił wykładowca – że przydałaby nam się osoba, która zna sprzęt. W ten sposób szybciej będziemy mogli wszystko poustawiać, podłączyć i tak dalej. Jak miał na imię ten kolega, który pomagał ci w konstruowaniu oświetlaczy?

– Jacek – odparł Janek.

Rafał uśmiechnął się, nieco rozbawiony.

– Drugi chłopak z imieniem na „J”. Myślisz, że zgodzi się nam pomóc?

– Jacek? – zapytał Janek i lekceważąco machnął dłonią. – A pewnie! Będzie chętny. Możemy go wpisać na listę, doktorze. Pomoże na stówę.

– W porządku – mruknął naukowiec. – Teraz musimy wybrać jeszcze cztery osoby. Jego pomocnik ponownie zajrzał do trzymanej w dłoniach listy i westchnął.

– Jakież kryteria? Ma być ktoś konkretny?

– Ludziska powinni być różnorodni – stwierdził Rafał. – Nie możemy być stronniczy, rozumiesz. Najlepiej ktoś z doświadczeniem i dobrą reputacją...

– Ewa Makuszevska – przeczytał Janek. Spojrzał na doktora. – Czy to nie ta twoja znajoma, o której opowiadałeś?

– Zgadza się – powiedział z uśmiechem wykładowca. – Dobrze, że się zgłosiła, jest obiektywna i spostrzegawcza. No to wybieramy jeszcze trzy osoby.

Janek spojrzał w sufit, roześmiał się i powiedział głośno: – To tyle, jeśli chodzi o kryteria!

Doktor uśmiechnął się lekko.

– Znam ją, na pewno nie będzie przeszkadzała – stwierdził po chwili. – Poza tym możemy wybierać, kogo chcemy, nie? W końcu to my wszystko organizujemy.

– Ale nie wydaje ci się to trochę... – Janek zamyślił się, szukając odpowiednich słów. – Trochę nie w porządku? To tak jakby ustawiać mecz albo coś w tym rodzaju.

– Oj, nie przesadzaj. Wiesz co? W takim razie ty też kogoś wybierz, dobra?

Chłopak wyprostował się na krześle i z nową energią zaczął kartkować spis. W końcu uśmiechnął się tajemniczo i powiedział: – Zuzanna Werner, dziennikarka. Niezła z niej laska, doktorze! Ma takie wspaniałe, wielkie... oczy! – Tutaj Janek pokazał dłońmi, jakie atrybuty prezenterki ma na myśli.

Rafał roześmiał się serdecznie i głośno: – No jak już obiecałem, to niech będzie...

– Werner może wszystko udokumentować, zrobić reportaż. Może będziemy sławni? Kto wie, doktorze! Ona może nas pokazać w korzystnym świetle i w ogóle.

– Dobrze, dobrze – westchnął Rafał. – Tylko nie zaśliń sprzętu, zboczeńcu...

– W razie potrzeby potrafię być opanowany. – Janek znieruchomiał. Przez chwilę obaj patrzyli prosto na siebie, ale w oczach młodzieńca rzeczywiście było widać jedynie spokój. Doktor miał wrażenie, że za tym opanowanym spojrzeniem kryło się jeszcze wiele rzeczy, że jest tam jakaś niesamowita głębia, mieszcząca w sobie nieodkryte aspekty osobowości.

– No to jeszcze dwie osoby... – Rafał przeniósł spojrzenie na listę.

Dyskutowali jeszcze dwie godziny. W efekcie zgodzili się, że zespół zostanie uzupełniony przez Mariannę Ślęzak, znaną w regionie bioenergoterapeutkę, oraz Wiktora Tokarzewskiego, propagatora zagadnień z pogranicza ezoteryki i fantastyki. Obaj uznali, że w ten sposób grupa stała się różnorodna i znalazły się w niej zarówno osoby sceptyczne, jak i te wierzące w istnienie życia po śmierci. Jednocześnie doktor zadbał o to, by wyeliminować tych, którzy fanatycznie starają się udowodnić swoje racje. Znał bowiem co najmniej ze słyszenia wszystkich, którzy weszli w skład zespołu. Z dawnych czasów...

*

Tego samego dnia wieczorem Rafał w spokoju przeglądał materiały, jakie zebrał na temat domu Sylwestra Sapiehy, a zwłaszcza plan pomieszczeń i relacje osób, które odwiedziły to miejsce. Wszystkie kartki rozłożył na stoliku, po czym zapalił papierosa. Wygodniej rozsiadł się na kanapie i spojrzał w sufit.

Już raz odwiedził ten podobno nawiedzony dom jakieś sześć lat temu. Była to krótka wizyta, podczas której wraz z resztą wycieczki przemaszerował szybkim krokiem przez pomieszczenia na parterze. Wszystkie pokoje były strasznie zaniedbane, na obdrapanych ścianach zachowały się zaledwie resztki farby, na podłodze walały się szczątki jakichś papierów, wszędzie unosił się kurz i pył. Część okien została zniszczona, podobnie jak większość drzwi. I może właśnie dlatego dom zrobił na nim tak duże wrażenie. Było w nim coś ponurego, wręcz złowieszczego...

Doktor wypuścił dym z płuc i otrząsnął się ze wspomnień. W tamtym czasie był przecież innym człowiekiem, dającym wiarę wszelkim irracjonalnym teoriom. Zapewne sugerował się tym, co słyszał o budynku wcześniej. Tak, na pewno właśnie o to chodziło.

Od kiedy zaczął przeprowadzać eksperymenty, wiedział już, że miejscem prób terenowych będzie dom Sapiehy. To miejsce natrętnie pojawiało się w jego snach, podobnie jak sama postać międzywojennego okultysty. Prawie nie było nocy bez takiego doświadczenia. Tak jakby budynek przywoływał go, rzucał mu wyzwanie, prowokował do działania. Rafał wiedział jednak, że tak naprawdę sam pragnął przetestować swoją teorię w tym miejscu. Nie było bowiem bardziej odpowiedniego.

Wziął do ręki tekst, w którym opowiedziano losy Sylwestra Sapiehy. Autor artykułu nie krył podziwu dla działań i poglądów słynnego maga. Nazwał go nawet polskim Aleisterem Crowleyem. Co ciekawe, bardzo możliwe było to, że obaj panowie utrzymywali ze sobą kontakt. W przeciwieństwie jednak do słynnej Bestii czy też 666, Sapiaha tyle nie podróżował – skupił się na działaniach w kraju. I nie szokował jak Crowley tym, co robił, gdyż wolał nie afiszować się ze swoimi

poglądami. Był ponadto szanowanym lekarzem i, o czym rzadko się mówi, położył fundamenty pod rozwój psychiatrii w Polsce.

Oczywiście miał on na swoim koncie kilka kontrowersyjnych spraw. Aktywnie zajmował się okultyzmem, podobno przywoływał do pomocy nadprzyrodzone siły i składał ofiary ze zwierząt. Nie zostało to jednak potwierdzone przez badaczy w stu procentach. Sapieha należał do osób wzbudzających ambiwalentne uczucia, ale z pewnością był dyskretny. Jeszcze za życia otaczało go wiele tajemnic i niedopowiedzeń. Umarł w jednym z pierwszych szpitali dla umysłowo chorych, jakie powstały w Polsce. Co ciekawe, wcześniej sam tą placówką zarządzał. Mówiło się, że dzięki powiązaniom z osobami na wysokich stanowiskach ten znany mag mógł oficjalnie pełnić funkcję dyrektora. Tragicznie zakończył życie w roku 1929, kiedy to szpital spłonął wraz z dużą częścią personelu oraz pacjentów. Niektórzy twierdzili, że było to umyślne podpalenie, jako że Sylwester miał wielu wrogów. Inni mówili, że ogień pojawił się na skutek niewłaściwie przeprowadzonego rytuału.

Artykuł kończył się wykazem książek, jakie wydał Sylwester Sapieha. Był to intrygujący miszmasz pozycji stricte naukowych i paranaukowych. Kilka z nich zahaczało nawet o tematykę magii, wiedźm i mało znanych polskich kultów.

Następny tekst prezentował historię samego domu. Tym razem autor starał się udowodnić tezę, że z jakichś powodów teren, na którym później powstał budynek, był dla Sapiehy bardzo atrakcyjny. Powołując się na fragmenty pewnych dzieł utrzymywał, że Sylwester musiał się naprawdę natrudzić, by w końcu objąć w posiadanie ten kawałek gruntu. Okazało się również, że sama budowa zajęła aż trzy lata. Wszystko wskazywało na to, że dom powstał na podstawie planów, które wykonał sam Sapieha. Musiał więc być to człowiek obdarzony wieloma talentami.

Następnie autor opisał sam dom. Jego cechą charakterystyczną była przestronna piwnica, rozciągająca się pod całym budynkiem. Krążyły plotki, że to właśnie tam właściciel posesji odprawiał koszarne rytuały. Niektórzy świadkowie tamtych zdarzeń mówili, że słyszeli dobiegające stamtąd dziwne, bliżej nieokreślone dźwięki, czasami wręcz hałasy. A nawet coś, co jeden z mieszkańców pobliskiej wioski określił mianem „syczenia demonów”.

Parter składał się z kilku większych pomieszczeń, z których jedno, obszerniejsze od pozostałych, stanowiło coś w rodzaju sali konferencyjnej. W tym miejscu Sylwester Sapieha organizował cykliczne spotkania dla wybranych. Rafał często snuł przypuszczenia co do możliwych tematów ich rozmów. Czy dyskutowali o okultyzmie? A może o sprawach bardziej naukowych, takich jak psychiatria? A może o czymś zupełnie innym?

Rafał dawno temu odwiedził ten dom. Przypomniawszy sobie, że na piętro prowadzą proste schody. Nie miały balustrady i z tego powodu wydawały się niebezpieczne. Piętro składało się z mniejszych pomieszczeń, najprawdopodobniej typowo

mieszkalnych. Z pewnością znajdowała się tam sypialnia Sapiehy oraz jego biblioteka. Z tego, co Rafał słyszał wcześniej, wynikało, że to właśnie piętro jest najlepiej zachowaną częścią całej posesji. Oczywiście nie uniknęło zniszczeń i grabieży. Doktor postanowił, że pomieszczenia na piętrze zbadają jako pierwsze. Co prawda budynek miał jeszcze poddasze, ale raczej trudno byłoby tam znaleźć płaskie powierzchnie zdatne do przeskanowania. Poza tym Rafał nie miał ochoty przyglądać się pozostałościom rupieciarni z czasów Sapiehy.

– Tak – postanowił wreszcie, kiwając głową. – Zaczniemy od piętra, potem zejdziemy na parter i ewentualnie zahaczmy o piwnicę. W ciągu miesiąca powinniśmy być w stanie zeskanować wszystkie pomieszczenia, nawet kilkukrotnie.

Resztki budynku gospodarczego i ogród, który w tej chwili przypominał raczej dżunglę na Borneo, w ogóle nie interesowały Żmudowicza.

Energicznym ruchem zgasił papierosa i zaczął przygotowywać szczegółowy plan całego przedsięwzięcia.

*

Śniło mu się, że znowu jest z wizytą u wróżki. Pamiętał jak dziś, że spodziewał się raczej gabinetu jak z filmów, wypełnionego magicznymi symbolami i ciemnymi zasłonami. Tymczasem miejsce, w którym został przyjęty, było zwyczajnym mieszkaniem starszej kobiety. Miała na sobie długą suknię i ogromne, okrągłe kolczyki, które trochę upodabniały ją do Cyganki.

– Dziękuję, że zgodziła się mnie pani przyjąć w tak krótkim czasie – powiedział Rafał, ostrożnie zdejmując kurtkę w wąskim korytarzu.

– Można powiedzieć, że zupełnie poza kolejką – powiedziała wróżka, szerokim gestem zapraszając swego gościa do pokoju. – Oczywiście rozumie pan, że w tej sytuacji jestem zmuszona policzyć nieco drożej z usługę.

– Tak, tak, w porządku – potwierdził Rafał, choć już wtedy zapaliła mu się w głowie lampka alarmowa. Z perspektywy czasu oceniał, że to właśnie w tym momencie powinien był wyjść z tego mieszkania. Zamiast tego jednak przeszedł do pokoju.

Może i dobrze się stało? Przecież właśnie to spotkanie stało się gwoździem do trumny jego starych przekonań.

Zasiedli przy stole przykrytym ciemnym obrusem. Starsza pani wbiła wzrok w Rafała, po czym zapytała zatroskanym tonem: – Z czym pan do mnie przychodzi?

– Próbuję skontaktować się z bardzo bliską mi osobą – powiedział Rafał jednym tchem, jakby wstydząc się celu wizyty. – Niedawno zmarła.

– Rozumiem – powiedziała wróżka współczująco.

– Chciałbym się dowiedzieć, czy u niej wszystko w porządku – dodał Rafał. – I czy ma mi coś do przekazania.

– Na pewno chodzi o kobietę – powiedziała wróżbitka zdecydowanym tonem.

– Zgadza się – potwierdził Żmudowicz, zadowolony, że chyba wreszcie trafił do właściwej osoby.

– Proszę nie mówić nic więcej. – wróżka uniosła dłoń. – Jak tylko pan wszedł do mojego mieszkania, wyczułam, że ktoś po drugiej stronie niecierpliwi się i bardzo chce coś panu powiedzieć.

Rafał sapnął. Czyżby wreszcie miał otrzymać swój upragniony dowód istnienia drugiej strony?

Wróżka przymknęła oczy i zaczęła mruzczyć. Teatralnym gestem przytknęła sobie dłonie do skroni, a po chwili delikatnie się uśmiechnęła.

– Tak – powiedziała. – Ona jest tutaj i bardzo za panem tęskni.

Rafał tym razem wstrzymał oddech, mimowolnie rozejrzał się po pokoju. Oczywiście niczego niezwykłego nie zauważył.

– Mówi, że bardzo pana kocha – kontynuowała wróżka. – I że jest z pana dumna.

To ostatnie zdanie spowodowało, że w głowie Rafała kolejny raz zabrzmiał alarmowy dzwonek, ale i tym razem postanowił go zignorować. Być może właśnie dlatego kolejne zdanie było dla niego tak wielkim szokiem.

– Pana mama przesyła słowa otuchy – powiedziała wróżka, a Rafał wyprostował się nagle, jakby go strzelił piorun. – I przekazuje, że na pewno pan sobie poradzi w życiu...

– Moja mama? – zapytał Żmudowicz, a ton jego głosu spowodował, że wróżka od razu otworzył oczy. Chciała mówić dalej, ale zapowietrzyła się, zdając sobie sprawę, jak wielki błąd popełniła.

Rafał pamiętał jeszcze, że bardzo szybko opuścił mieszkanie wróżki bez płacenia za usługę, a w jego głowie panował chaos. Chaos, który w krótkim czasie został zastąpiony buntem wobec ogólnie pojętego spirytyzmu i ezoteryki jako takiej. To był dla niego ostateczny punkt zwrotny.

Rozdział 3

Ewa przymknęła oczy, widząc za szybą samochodu wschodzące słońce. Siedziała właśnie na tylnym siedzeniu, obok kobiety w średnim wieku, która przedstawiła się jako Marianna Ślęzak. Pojazdem kierował młody asystent Rafała, który co chwila próbował zagadywać siedzącą na fotelu obok dziennikarkę o nazwisku Werner.

Uśmiechnęła się słysząc, jak Janek kolejny raz próbuje wytłumaczyć atrakcyjnej kobiecie teoretyczne podstawy eksperymentów, jakie mieli przeprowadzić.

– No a te promienie potem padają na ekran – mówił z zapałem. – Komputer je mieli, mieli i wypluwa efekt w postaci trójwymiarowego obrazu...

Ewa spojrzała bardziej na prawo i prawie prychnęła śmiechem, widząc puste spojrzenie Zuzanny, wyrażające krańcowe niezrozumienie tematu. Prawdopodobnie dziennikarka zdążyła zgubić wątek już na początku. Jankowi jednak to nie przeszkadzało. Co chwila spoglądał na swoją milczącą rozmówczynię, sprawdzając, czy jeszcze go słucha.

A raczej na jej dekolt, poprawiała się w myślach Ewa. Najwyraźniej braki w jednej dziedzinie nadrabia atutami w innej...

Nagle Ewa zdała sobie sprawę z tego, że mimowolnie zaczęła porównywać rozmiar biustu dziennikarki i swojego. Zaskoczył ją nagły odruch zazdrości. Po chwili wróciła jednak do rzeczywistości, by zobaczyć, że siedząca obok Marianna przygląda jej się z lekko przekrzywioną głową.

Wystraszyła się, że kobieta mogła przejrzeć jej myśli i szybko odwróciła wzrok. Tymczasem tamta lekko przymknęła oczy i spojrzała gdzieś ponad jej głową.

– Ma pani otwarty czakram serca. Wie pani o tym, prawda? – powiedziała takim tonem, jakby wygłaszała rzecz niezwykle oczywistą.

– Och – wykrztusiła Ewa, patrząc badawczo na bioenergoterapeutkę. – A to dobrze?

– Dobrze – powiedziała Marianna. – Ale musi pani bardziej uważać. Osoby z otwartym czakramem są bardziej uduchowione, ale też wrażliwsze.

Ewa kiwnęła głową. Było sporo racji w tym, co ta kobieta o niej powiedziała, ale przecież to samo można powiedzieć o bardzo wielu osobach bez uciekania się do nadnaturalnych wyjaśnień.

– Ma pani dużo żółtego – mówiła dalej Marianna. – W aurze. Ja to widzę, o tutaj.

Kobieta pokazała palcem jakieś miejsce obok głowy Ewy. Oczywiście dziewczyna nie zauważyła niczego szczególnego.

– No, ładny ten żółty – powiedziała z uśmiechem Marianna. – Naprawdę ładny!

No, błyszczący nawet trochę.

Ewa także się uśmiechnęła, ale jakby niepewnie. Nie wiedziała, jak powinna zachować się w takiej sytuacji. Czuła się trochę niezręcznie.

– Pani się nie martwi – mówiła bioenergoterapeutka, kładąc jej dłoń na ramieniu w poufałym geście. – Wszystko się ułoży i znajdzie sobie pani męża. Będzie to mężczyzna z długimi, czarnymi włosami, taki typ, jaki się pani podoba. Widzę mały domek, obok którego będzie ogródek z pomidorami i będziecie mieli dwójkę dzieci, chłopca i dziewczynkę. Będzie pani szczęśliwa, tak jak pani chciała. Zobacz pani.

Ewa spojrzała na Mariannę szczerze zaskoczona. Nikomu nie zwierzała się ze swoich sekretnych marzeń o rodzinie i dwójce dzieci. I o tym, że już dawno postanowiła, że będzie uprawiać jakieś warzywa. Co prawda wszystko to można było zgadnąć, nie są to jakieś wyjątkowe marzenia. Jednak Ewa zawsze czuła niezwykły pociąg do długowłosych facetów. Szczególnie brunetów. I zawsze chciała mieć synka i córeczkę! Była więc zdziwiona nie tyle tym, że właśnie ktoś przepowiedział jej spełnienie marzeń, ale dokładnością samej wróżby.

– Skąd pani wie? – wyrwało się jej.

– Widzę – odparła Marianna wzruszając ramionami. – Jak się skupię, to mogę zobaczyć to, co będzie. Po prostu wędruję do innego czasu i zaglądam.

Ewa pokręciła głową. Początkowo zakwalifikowała bioenergoterapeutkę do grona osób o niegroźnych objawach choroby psychicznej. Po tych słowach jednak musiała diametralnie zmienić swój pogląd. Nagle zdała sobie sprawę z tego, jak szybko zaszufładowała tę kobietę!

– Już prawie jesteśmy! – krzyknął Janek, wyrywając Ewę z rozmyślań.

Samochód skręcił w boczną, nieutwardzoną drogę i lekko kołysząc się na boki pokonywał nierówności terenu. Janek starał się jechać powoli i ostrożnie, ponieważ przed nimi jechało drugie auto, a oba ciągnęły przyczepy kempingowe.

Ewa wiedziała, że drugim samochodem jadą pozostali członkowie wyprawy, z doktorem Żmudowiczem na czele. Nie zdawała sobie za to sprawy z tego, że krajobraz w okolicach Bydgoszczy może być aż tak pofałdowany: teren, po którym jechali, co chwila podnosił się i zaraz opadał w dół, by potem ponownie się podnieść. Leśna droga, którą wybrali, nie była często używana. Częściowo zarosła, wysokie trawy ocierały się o podwozie. Czasami po bokach samochodu z szelestem przesuwwały się liście.

– Chyba nie oddamy wozów bez zadrapania – zaśmiał się Janek, słysząc głośniejszy zgrzyt.

– Ale dzicz – szepnęła Zuzanna Werner, spoglądając na gęstniejące po obu stronach drogi zarośla.

Ewa zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle dobrze jadą. Może zgubili drogę? Wiedziała jednak, że to pytanie powinna zadać jadącemu z przodu Rafałowi, bo to on

prowadził. Wątpliwości młodej nauczycielki rozwiały się, kiedy znaleźli się na otwartym terenie. Wąski korytarz leśnej dróżki rozszerzył się nagle, ukazując w całej okazałości stojący na małym wzgórzu piętrowy dom, otoczony pojedynczymi drzewami oraz całą masą zarośli. Niewielki skrawek terenu znajdujący się przed frontem budynku musiał wystarczyć im do zaparkowania samochodów.

Pojazdy powoli minęły metalową bramę, której wyłamane skrzydła leżały po obu stronach ścieżki.

– To zły dom – szepnęła nagle Marianna, ale tak cicho, że nawet siedząca blisko niej dziewczyna ledwie usłyszała te słowa.

Samochody zatrzymały się przed budynkiem, równoległe do siebie. Idąc w ślad za pozostałymi pasażerami, Ewa odpięła pasy, otworzyła drzwi i wysiadła. Gdy stanęła na ziemi, wyprostowała się i splatając dłonie za plecami wypięła pierś. Chciała wyprostować kręgosłup, ale jednocześnie zwróciła na siebie uwagę Janka, który rzucił jej krótkie, aprobujące spojrzenie.

Widać, z moim biustem nie jest tak źle, jak sądziłam, zaśmiała się w myślach Ewa.

Pasażerowie pierwszego samochodu również wysiedli i patrzyli na budynek. Ewa nie widziała w tym miejscu nic nadzwyczajnego. No, może oprócz tego, że miało jakiś tajemniczy urok. W pewnym momencie do jej uszu dobiegł odgłos rżenia i charakterystyczny odgłos jadącego wozu bądź bryczki. Nie potrafiła określić kierunku, z którego dobiegał, była jednak pewna, że nie mogło to być daleko. Ktoś trzasnął drzwiami, a dźwięki znikły i nauczycielka doszła do wniosku, że musiała się przesłyszeć.

– Klimatyczne miejsce – powiedział Janek, kładąc dłonie na biodrach.

Zadarł głowę do góry i zmierzył budynek spojrzeniem od dachu aż po fundamenty.

– W sam raz na scenerię filmu grozy, prawda, pani Zuzanno?

Dziennikarka oderwała przerażone spojrzenie od zaniedbanej budowli i popatrzyła na młodego studenta.

– Ale przecież tu nic nie ma! – powiedziała głosem, w którym brzmiały nutki hysterii.

Janek zamrugał kilkakrotnie i popatrzył na Werner nic nierozumiejącym wzrokiem.

– Myślałam, że nie będziemy musieli mieszkać w tych starych przyczepach – mówiła podniesionym głosem dziennikarka. – Tutaj nie ma nawet zwykłych pokoi, w których można by spać. Nie ma sklepów!

– Sklep jest jakieś trzy kilometry stąd – powiedział z uśmiechem Rafał, podchodząc do nich. – W jedną stronę to około pół godziny spacerkiem.

– Szybkim spacerkiem – uzupełnił Janek, mrugając porozumiewawczo do doktora.

– Ale ja się nie nadaję do takich warunków! – Dolna warga dziennikarki zaczęła drżeć. – Ja potrzebuję większej przestrzeni, sanitarnych warunków! To jest totalna

dzicz! Jak z jakiegoś reportażu o Afryce...

– Chyba wiedziała pani, na co się pani pisze, prawda? – zapytał Wiktor, podchodząc bliżej.

– No tak – odpowiedziała Zuzanna. – Ale... nie myślałam, że będzie aż tak... koszmarne!

– Niech mi pani wierzy, że te przyczepy zapewniają minimum niezbędnego komfortu. Nawet przez miesiąc można w nich w miarę wygodnie mieszkać. – Rafał próbował uspokoić roztrzęsioną kobietę. – Oczywiście nie będą to idealne warunki, ale przecież nie zostaniemy tu na zawsze, prawda?

Ewa przyjrzała się wszystkim po kolei. Rafał wyglądał na zadowolonego. Tym razem miał na sobie dżinsy i luźną koszulę wyłożoną na spodnie. Wzrok miał energiczny, a ruchy pełne życia. Dawno go takim nie widziała.

Janek miał ciemne, lekko kręcone włosy i trochę za duży nos. Jego swobodne zachowanie prawdopodobnie stanowiło pewnego rodzaju pozę. Być może jak większość chłopców w jego wieku za mocno starał się być fajnym gościem.

Z kolei obcisłe spodnie i koszulka z dekoltem Zuzanny Werner jeszcze mocniej podkreślały jej atuty. Po raz kolejny Ewa złapała się na tym, że zwraca uwagę na wielkość jej biustu. Ale było to coś, czego trudno było nie zauważyć. Twarz dziennikarki wyrażała irytację i rozczarowanie, a jej pomalowane błyszczącym usta wykrzywiły się w grymasie niesmaku. Typowa sztuczna laleczka, oceniła ją Ewa.

Jacek Pastuszek, który miał zajmować się sprzętem, wyglądał za to na spokojnego chłopca. Był cichy, dość zamknięty w sobie, unikał kontaktu wzrokowego. Miał czarne, krótko obcięte włosy i koszulkę z nadrukiem jakiegoś metalowego zespołu. Ewa uśmiechnęła się, widząc na jego nadgarstku nabijanego ćwiekami pieśczocho.

Kolejny członek wyprawy, Wiktor Tokarzewski, wyglądał na poważnego, inteligentnego człowieka. Pomimo mocno już przerzedzonych i całkowicie siwych włosów, Ewa uznała, że nie ma jeszcze pięćdziesiątki. Nosił okulary z niemodnymi już grubymi oprawkami i pomimo nieoficjalnego charakteru przedsięwzięcia miał na sobie starannie wyprasowaną koszulę, szarą marynarkę oraz spodnie na kant. Podobnie jak ona przyglądał się wszystkim po kolei uczestnikom wyprawy.

Marianna Ślęzak w ciszy spoglądała na budynek. Była ona zapewne rówieśniczką Wiktora, choć wyglądała nieco młodziej. Nosiła długą sukienkę i nie należała bynajmniej do osób szczupłych. W pewnym momencie bioenergoterapeutka spojrzała na Rafała, zmarszczyła brwi, w zdumieniu szeroko otworzyła oczy. Potrząsnęła głową i przyjrzała się doktorowi jeszcze raz, tym razem intensywniej. Omiotła wzrokiem całą jego sylwetkę i powietrze wokół.

– Boże... – szepnęła, zasłaniając dłonią usta. – Dopiero teraz to zauważyłam...

Rafał spojrział na nią zaintrygowany, podobnie pozostali. Kobieta poblądła, wyglądała na przestraszoną.

– Czy coś się stało, pani Marianno? – zapytał doktor z wyraźną troską.

– Wie pan – powiedziała ściszym głosem – wydaje mi się, że... że nie ma pan aury...

– Myślałem, że każdy ma aurę – stwierdził z zaskoczeniem Wiktor, poprawiając okulary.

– Prawie – stwierdziła Marianna, powoli dochodząc do siebie. – Jest pewien wyjątek.

Wszyscy czekali teraz w napięciu na ciąg dalszy jej przemowy. Kobieta odetchnęła głęboko i powiedziała: – To prawda, że każdy ma aurę. Ale ta aura znika, kiedy ktoś... ma umrzeć.

Przez chwilę panowała całkowita cisza. Ewa musiała się upewnić, że dobrze słyszała.

– Jeśli znika czyjaś aura, to znaczy, że ta osoba umrze?

– Tak – potwierdziła Marianna. – W ciągu miesiąca.

Na ustach Janka zatańczył uśmiech, ale widząc wyraz powagi na twarzach pozostałych osób student uznał, że wybuch wesołości byłby nie na miejscu.

Rafał zmarszczył brwi, słysząc te rewelacje. Po chwili odchrząknął i powiedział po prostu: – To się okaże.

Ewa zauważyła, że pani Marianna przeniosła wystraszony wzrok na budynek, po czym spojrzała za siebie, na polną drogę, którą przyjechali. Wyglądała, jakby poważnie zastanawiała się nad ucieczką. I to na piechotę.

*

Rafał postanowił, że największe pomieszczenie na parterze będzie stanowiło ich główną bazę i to tam początkowo ustawili cały sprzęt, który ze sobą przywieźli. Doktor wyglądał na zadowolonego, bo faktycznie udało mu się skonstruować drugi ekran rejestrujący, dzięki czemu mogli znacząco zwiększyć liczbę pomiarów. Mimo tego, że był prawie u celu i już czuł smak sukcesu, nadal powracał myślami do słów Marianny.

„Pan nie ma aury!”

Nie widział w jej zachowaniu żadnego fałszu, żadnej chęci zabawienia się jego kosztem. Zdawał sobie sprawę z tego, że kobieta święcie wierzyła w to, co powiedziała. Było to widać w jej spojrzeniu, tonie głosu, wyrazie oczu...

Tak, w ciągu miesiąca...

Tylko czy to przesądzało sprawę? Przecież przestał wierzyć w zabobony! Dlaczego miałby się przejmować jakimiś bredniami nawiedzonej kobiety?! Ale zaraz przypomniał sobie, że Marianna Ślęzak jest uznaną w regionie bioenergoterapeutką. Że cieszy się reputacją osoby, która faktycznie zna się na tym, co robi.

Rafał Żmudowicz pokręcił głową, dochodząc do wniosku, że zastanawianie się nad tym problemem nie może mu przynieść żadnej korzyści. Co ma być, to będzie, i tak trzeba zrobić swoje.

Janek z głośnym stęknieniem postawił kolejny zestaw skrzynek na podłodze.

– Oj, już nie przesadzaj – zamruczał Rafał. – To wcale nie jest aż takie ciężkie.

– Ale przecież jest! – odparł Janek, udając oburzenie. – Poza tym i tak razem z Jackiem będziemy odwalać brudną robotę, więc muszę sobie choć trochę postękać.

Doktor spojrzał na swojego studenta ze złośliwym uśmiechem. W tym momencie wszedł Jacek, także dźwigając kilka czarnych skrzynek.

– To już wszystkie – powiedział, stawiając je na podłodze.

– Nie zapomnieliście o czymś? – zapytał Rafał, wciąż paskudnie się uśmiechając.

Janek zrobił zdziwioną minę i spojrzał na zgromadzone w pokoju przedmioty.

– No, wszystko tu jest – powiedział cichym głosem. – Lasery, części ekranów rejestrujących, panel sterowania...

– Miotły – rzucił od niechcienia Rafał. – Czas na sprzątanie, chłopcy.

– Miałem nadzieję, że sobie nie przypominisz – jęknął Janek, szurając nogą w pyle.

– Wiesz, jak my będziemy wyglądać po zamiataniu tej rudery?

Na twarzy Rafała ponownie pojawił się złośliwy grymas. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że i tak nie mieli wyboru i będą musieli usunąć kurz z kolejnych pomieszczeń. Wiedział jednak, że niezmotywowani zrobią to bez entuzjazmu, a jakość ich pracy będzie pozostawiała wiele do życzenia. Ale doktor znał na to sposób.

– Jak wzbijemy ten pył w powietrze, będziemy wyglądać jak ci goście w telewizji – stwierdził Janek, żywo gestykulując. – Kiedy zawaliły się wieże World Trade Center, ludzie biegali pokryci pyłem i nie można było dojrzeć koloru ich skóry. Tak właśnie będziemy wyglądać!

Rafał pokiwał głową ze zrozumieniem: – W takim razie potem będziecie musieli skoczyć do tego jeziora niedaleko i się wykąpać.

Uśmiech i uniesione brwi doktora miały naprowadzić studentów na właściwy trop. Janek zamrugnął oczami i przyglądał się wykładowcy ze zdziwieniem.

– Nie czaję... – powiedział, a potem roześmiał się.

– Jeśli nie ma tutaj żadnych innych atrakcji, to może uda wam się namówić dziewczyny na małą kąpiel w jeziorze? – zasugerował Rafał i z zadowoleniem obserwował zmieniający się wyraz twarzy obu studentów. – Szczególnie że mycie się w przyczepach też pewnie w końcu im się znudzi. Sam pewnie nie raz tam pójde i wskoczę do chłodnej wody...

– Zuzanna Werner w stroju kąpielowym – jęknął Janek, jakby doznał boskiego objawienia.

Jego twarz wyrażała wręcz ekstazę. W końcu popatrzył na jaśniejącą twarz Jacka i szepnął: – Wyobrażasz sobie? Taka okazja!

Wykonał gest, jakby nagle poparzył sobie palce czymś gorącym. W końcu spojrzął z podziwem na Rafała i powiedział oszołomiony: – To genialny pomysł! Widać nie doktoryzują ludzi przypadkowych!

Jacek zaśmiał się gardłowo – nawet temu zamkniętemu w sobie chłopcu wizja kąpieli obfitującej w atrakcje zdecydowanie poprawiła humor.

Rafał był zadowolony ze swojego podstępu. W ten sposób myśli obu chłopców będą czymś zajęte, a i swoje obowiązki będą wykonywać z większym zaangażowaniem. Nie pomylił się – młodzieńcy wybiegli z pomieszczenia, by jak najszybciej znaleźć miotły i zabrać się do pracy.

*

Marianna Ślęzak zastanawiała się, dlaczego w ogóle zdecydowała się wziąć udział w tym przedsięwzięciu. Przecież znała reputację domu Sylwestra Sapiehy. Nie spodziewała się jednak, że atmosfera budynku tak mocno na nią wpłynie. W pomieszczeniach czuła się tak, jakby cały ciężar zgromadzonego tam powietrza napierał na nią ze wszystkich stron.

No i ten brak aury doktora Rafała! Biedny facet, nie zostało mu już dużo czasu. Marianna zastanawiała się tylko, od jak dawna ten człowiek jej nie miał. Z drugiej strony jakie to ma znaczenie, myślała. I tak mieli spędzić w tej okolicy cały miesiąc! Żmudowicz umrze więc w tym budynku i to podczas trwania badań.

Doktor wydawał się jej młodym, zdrowym człowiekiem. Nie spodziewała się, by przytrafił mu się nagły atak serca albo wylew. Choć z drugiej strony nie mogła wykluczyć takiej możliwości. Przecież coraz młodszy ludzie umierają teraz na schorzenia typowe dla osób starszych.

Żałowała, że nie miała okazji przyjrzeć się aurze Rafała, gdy ten ją jeszcze miał. Przecież wtedy mogłaby sprawdzić, czy jest zdrowy, czy jakiś organ wewnętrzny nie szwankuje. W końcu to wszystko widać! Ale teraz nie miała możliwości, by ocenić stan jego zdrowia.

Wreszcie odważyła się zadać pytanie: czy jego śmierć będzie bezpośrednio związana z domem Sapiehy?

Całe to miejsce przerażało Mariannę Ślęzak. I nie było to tylko wrażenie ciężkiego powietrza i jakby większego ciśnienia. Bioenergoterapeutka czuła, że w środku jest... coś. Jakaś energia, byt, który czeka w uśpieniu. I że jest to coś mrocznego, przepełnionego złem...

Po chwili otrząsnęła się z zamyślenia, przeszedł ją zimny dreszcz. Wiedziała już, że nie wejdzie do tego budynku, jeśli tylko nie będzie to absolutnie konieczne.

*

Ewa postanowiła dokładniej przyjrzeć się budynkowi i terenowi wokół. Najpierw zdecydowała się spenetrować piętro. Wspięła się więc po schodach na górę, uważając, by nie spaść, bowiem drewnianej balustrady już dawno nie było. Stwierdziła ponadto, że poszczególne stopnie nie były równe, co tylko powiększało niebezpieczeństwo potknięcia się i upadku. Szybko przemknęła korytarzem obok pomieszczenia, które sprzątała obaj studenci – Drużyna JJ, jak ich czasem nazywał Rafał. Lepiej było nie kręcić się w pobliżu miejsca, w którym pracowali, bo następstwem tego musiała być szybka kąpiel.

Idąc korytarzem dziwiła się, jak szybko głucho radosne odgłosy sprzątania Drużyny JJ. Zastanowiło ją również to, że pomimo braku okien i lekkiego powiewu wiatru powietrze wewnątrz budynku było prawie nieruchome. Przecież powinien być tam przeciąg!

Może jednak istniało jakieś logiczne wytłumaczenie braku ruchu powietrza? Nie był to jakiś poważny problem, niemniej zaduch przytłaczał, nadawał temu miejscu specyficzną, mroczną atmosferę. Może właśnie to leżało u źródeł legendy o nawiedzonym domu? Z drugiej strony dziwne pogłoski o tym miejscu zaczęły krążyć jeszcze za życia Sylwestra Sapiehy...

Nagle Ewa poczuła coś w rodzaju ucisku na karku, doznała wrażenia, jakby coś pełzło jej po kręgosłupie. Ktoś na nią patrzył. Szybko się odwróciła, ale zobaczyła jedynie pusty korytarz. Nic się nie poruszało, wszystko było dokładnie tak, jak chwilę wcześniej...

Odgłosy sprzątania były w tym miejscu prawie niesłyszalne, za to wyraźnie dało się rozróżnić dwa głosy. Więc to nie studenci, którzy chcieli ją nastraszyć. Może jednak nikogo nie było?

Zmarszczyła brwi i nagle jej ciałem wstrząsnął dreszcz, jakby zrobiło się zimno. Tego już za wiele!

Szybkim krokiem ruszyła w stronę schodów. Starła się wmówić sobie, że to, co właśnie odczuwa, nie jest strachem. Nagle na korytarzu pojawił się Jacek. Otrzeptywał się z jasnego pyłu.

Ewa zatrzymała się w pół kroku, a po chwili cofnęła, by uniknąć chmury kurzu.

– Przechodził ktoś tędy? – zapytała, patrząc na pokryte kurzem czarne włosy chłopaka.

Może tak właśnie będzie wyglądał na starość, pomyślała.

Jacek spojrzał na nią ze zdziwieniem, wzruszył ramionami i powiedział: – Chyba nie. Ale z drugiej strony ciebie też nie zauważyliśmy.

– Cześć, Ewa! – krzyknął Janek, którego umorusana twarz wyjrzała nagle z pomieszczenia. – Idziesz się z nami wykapać?

Ewa potrząsnęła głową: – Może później.

– To znaczy kiedy? – nie dawał za wygraną Janek.

Minęła pomieszczenie i zaczęła schodzić po schodach. Prawie potknęła się na nierównych stopniach i zirytowała ją własna nieostrożność.

– Kiedy indziej – rzuciła na odchodne, dochodząc do wniosku, że tylko jej się wydawało. Nikt nie stał za nią na korytarzu.

– Jutro? – pytał dalej Janek, nie ruszając się z miejsca. – Dobra! Trzymam za słowo!

*

– Doktorze, jakie są pana pierwsze wrażenia po przyjeździe do domu Sylwestra Sapiehy? – Zuzanna obesza Rafała dookoła, trzymając w ręku kamerę.

Zapytany spojrzał w obiektyw, pomyślał przez chwilę, po czym zaczął mówić: – Przede wszystkim jestem szczęśliwy, że prace badawcze w tym miejscu w ogóle ruszyły. W końcu mam okazję potwierdzić swoją teorię w warunkach terenowych, co będzie stanowiło ostateczny dowód na to, że duchy w potocznym rozumieniu tego słowa nie istnieją. I że istnieje za to coś, co nazwałem procesem automatycznego wzbudzania śladów światła.

– A co pan sądzi na temat legend, jakie otaczają to miejsce? Budynek niegdyś należący do Sylwestra Sapiehy uznawany jest podobno za nawiedzony.

– Właśnie z tego powodu zdecydowałem się przeprowadzić tutaj nasze eksperymenty. Bardzo możliwe, że z jakichś względów w strukturze ścian budynku zapisało się dużo śladów, co zwiększa prawdopodobieństwo sukcesu naszych badań.

Zuzanna obróciła kamerę w swoją stronę i powiedziała do obiektywu: – Zobaczmy zatem, jakie są pierwsze wrażenia pozostałych członków ekspedycji.

Ewa, która od pewnego momentu przysłuchiwała się rozmowie, pomyślała, że najwyraźniej dziennikarka jest drugą osobą, którą oceniła niesprawiedliwie. Nagle Zuzanna Werner już otwierała usta, by zadać jej jakieś pytanie, gdy z góry zeszli dwaj studenci. Jacek, widząc wycelowany w siebie obiektyw kamery, speszył się i zakołysał niebezpiecznie na schodach. Na szczęście chwycił się Janka i dzięki temu nie spadł. Dziennikarka podeszła do nich i zapytała: – A co sądzą o budynku studenci doktora Żmudowicza?

– Że jest bardzo brudny – odparł Jacek i zwinnym ruchem ją wyminął.

Janek z kolei zatrzymał się, wyprostował i zaprezentował jeden z tych grymasów, które jego zdaniem robiły na dziewczynach największe wrażenie.

– A ja uważam, że to zajebiaszcze miejsce! – powiedział. – Faktycznie nie jest zbyt czyste, ale już my się tym zajmiemy. W końcu dzisiaj prawdziwy mężczyzna musi umieć również sprzątać. Dlatego pozbędziemy się kurzu i pyłu w ekspresowym tempie!

Ewa przestała słuchać puszącego się przed obiektywem studenta. Janek coraz bardziej działał jej na nerwy.

– Coś taka markotna? – zapytał ją Rafał, próbując się uśmiechnąć. – To nie tobie ktoś przepowiedział śmierć w ciągu miesiąca.

– Nędzny żart – mruknęła Ewa, krzywiąc się.

Wyszła z budynku. Doktor odprowadził ją zmartwionym spojrzeniem.

*

– Nie podoba mi się to miejsce, panie Wiktorze – powiedziała z przejęciem Marianna.

Mężczyzna obok niej palił papierosa. Stali oboje w cieniu jednej z przyczep kempingowych.

– Ani trochę – dodała.

– Po prostu Wiktorze – powiedział, lekceważąco machając ręką. – Nawet z moimi młodymi ludźmi z klubu jestem na ty.

– W takim razie Marianna – odpowiedziała bioenergoterapeutka, wyciągając dłoń i uśmiechając się blado.

Wiktor uprzejmie skinął głową i uściśnął jej dłoń. Zaciągnął się dymem z papierosa i spojrzał na błękitne niebo, po którym leniwie przesuwały się pojedyncze obłoki.

– Ja też mam złe przeczucia – westchnął. – Mimo tego, jak to wszystko wygląda. Śliczna pogoda, ciepłe promienie słońca, lekki wiaterek. Jakiś opuszczony dom, który przecież w dzień nie jest taki straszny, jak ludzie opowiadają. Wszystko wydaje się takie zwyczajne, normalne, a jednak nie mogę się pozbyć wrażenia, że wisi nad nami coś nieuchronnego...

– Tak, tak – szepnęła z zapalem Marianna. – Nawet ty to czujesz! A co ja mam powiedzieć? Nie wiem, Wiktorze, jak długo będę w stanie tu wytrzymać...

– Z drugiej strony – powiedział powoli – nie powinniśmy niczego przesądzać. Mimo moich ezoterycznych zainteresowań i działalności w fandomie zawsze kierowałem się rozsądkiem i logiką. Czasami uczucia potrafią wprowadzić w błąd.

– To dlatego nadal jesteś kawalerem? – zapytała z przekąsem Marianna.

Uśmiechnął się lekko, po czym wypuścił chmurkę dymu i powiedział: – Między innymi, Marianno. Między innymi...

*

Siedział w jaskini, przy płonącym ognisku. Otaczały go tańczące cienie. Ciemność poruszała się na ścianach i sklepieniu, jakby w takt dziwnej, nieziemskiej muzyki, niepokojącej i mrocznej.

Ciemność miała głębię. Nie była płaska, lecz trójwymiarowa. Jej kształt nieustannie się zmieniał, pulsując, drgając, próbując do niego dotrzeć. Ale dostępu bronilo światło ogniska.

Ciemność miała macki. Wydawało mu się, że to właśnie one są najniebezpieczniejsze. Unosiły się i opadały, czasami zawisały w powietrzu, wykonując skomplikowany, złowrogi taniec.

Ciemność wydawała dźwięki. Najpierw je czuł, miały postać niskiego dudnienia. Potem wyraźnie słychać było buczenie. Ale dźwięk, podobnie jak kształt, zmieniał się. Raz stawał się głośniejszy, raz cichł zupełnie. Wydawało mu się, że zmieniał również tonację, tworząc niepokojącą melodię, która wwiercała się w umysł.

Ciemność przybrała kolejną formę. Oprócz drgającej masy oraz macek pojawiły się postacie. Dwunożne istoty tańczące wokół ogniska, wymachujące kończynami utkanymi z cienia. Lubieżnie poruszające biodrami, biegnące nierównym krokiem. Poruszające się i śpiewające gardłowymi głosami.

Nagle zdał sobie sprawę, że nie może się ruszyć. Chciał wstać, ale nogi nie reagowały. Chciał sięgnąć po płonącą żagiew, ale ramiona miał unieruchomione. Chciał się czołgać, ale był skrępowany.

Postacie tańczyły coraz szybciej, mknąc wokół ogniska. Melodia dostosowała się do ich tempa, stała się dynamiczna i wielogłosowa. Ciemność napierała z każdej strony, a ognisko powoli gasło.

Postacie rozmyły się, tworząc wokół niego cienistą zasłonę. Poruszającą się, wirującą ścianę, która z każdą sekundą przemieszczała się coraz bliżej. Chciał się wyrwać, w jakiś sposób uciec, ale nie mógł poruszyć nawet palcem.

Śpiew przekształcał się, uderzał w coraz wyższe tony. W końcu przeszedł w jednostajny pisk. I wtedy ognisko zgasło. Zaległa cisza i ciemność.

Ciemność nie była jednak jednorodna. Na niemal czarnym tle wyróżniały się jeszcze mroczniejsze postacie. Postacie, które zbliżały się do niego powoli, lecz nieuchronnie. Każda z nich trzymała w ręku włócznię.

Wtedy między nimi pojawił się ktoś jeszcze. Ktoś wysoki, odróżniający się od pozostałych, ubrany w długi płaszcz i kapelusz. Tajemniczy przybysz zbliżał się. Pochylił się nad nim, co pozwoliło dostrzec rysy twarzy.

Wyraziste, ostre rysy, których kształt przypominał raczej głowę wilka niż ludzkie oblicze. Intensywne spojrzenie jasnoniebieskich oczu, przed którym nie mogły się ukryć żadne tajemnice. Krzaczaste brwi, zmarszczone w grymasie irytacji i niezadowolenia. Błede i wąskie usta, mięśnie zaciśniętej szczęki. I ten staromodny kapelusz i mucha pod brodą...

W tym momencie mężczyzna wziął zamach ręką dzierżącą włócznię. I pchnął, aż ostrze broni zagłębiło się w ciało, aż...

Rafał obudził się, ciężko dysząc.

*

– A może byśmy najpierw jakoś oczyścili ściany? – zapytał nieśmiało Jacek, przyglądając się szynie z aparatem dozującym substancję utrwalającą. – Wtedy łatwiej będzie je zeskanować, prawda?

Rafał oraz Drużyna JJ znajdowali się właśnie w pomieszczeniu na piętrze, które najprawdopodobniej było kiedyś sypialnią Sapiehy. Pomiedzy nimi poruszała się Zuzanna Werner, dokumentując wszystkie czynności badaczy. Natomiast reszta zebrała się w ciasną grupę ciekawskich obserwatorów na korytarzu, nie chcąc przeszkadzać w eksperymencie.

Był to pierwszy dzień badań, cały poprzedni uczestnicy wyprawy spędzili na przygotowaniach i zaznajamianiu się z nowym miejscem.

– No przecież oczyściliście je trochę – mruknął doktor, uruchamiając panel sterowania. – Jeszcze wam mało sprzątnięcia?

– Chodziło mi o to, żeby może trzeba zeskrobać te resztki tynku – wyjaśnił Jacek. – Żeby dotrzeć do samej ściany. Bo teraz całość jest bardzo nierówna, więc tak sobie myślę, że to może przeszkadzać, nie?

Rafał pokręcił głową.

– Nie zrobimy tego z kilku powodów – powiedział trochę głośniej, tak by jego głos został zarejestrowany przez kamerę dziennikarki. – Po pierwsze, nie wiemy jeszcze, jak głęboko zapisują się ślady światła. Mogą znajdować się właśnie w tych resztkach, które chcesz usunąć. Po drugie, samoczynne odczytywanie śladów światła, które podobno ma miejsce w tym domu, podpowiada mi, że warunki, jakie tutaj panują, są optymalne do przeprowadzenia eksperymentu. Jeśli więc coś zmienimy, możemy pozbawić się szansy na zobaczenie czegokolwiek. Lepiej zostawmy wszystko tak, jak jest. A jeśli eksperymenty nie przyniosą rezultatu, wtedy ewentualnie sobie poskrobiesz tę ścianę.

Jacek pomyślał przez chwilę, potem kiwnął głową i wraz z Jankiem zabrał się za ustawianie laserów.

Zuzanna wykonała zbliżenie na twarz Rafała i zapytała: – Za chwilę zostanie przeprowadzony pierwszy eksperyment w nawiedzonym domu Sylwestra Sapiehy. Czy ma pan tremę, doktorze?

Rafał uśmiechnął się lekko, spojrział prosto w obiektyw i powiedział: – Owszem. Zawsze tak jest, kiedy zaczyna się coś nowego.

– Proszę nam jeszcze powiedzieć, w jaki sposób zostanie przeprowadzony ten pierwszy eksperyment?

– Właściwie będzie to cała seria eksperymentów – stwierdził uczonek. – Zaczniemy od rozpylenia bardzo cienkiej warstwy substancji utrwalającej, następnie będziemy

pokrywali ścianę coraz grubszą warstwą. Oczywiście za każdym razem przeprowadzimy pełny skan powierzchni. Mam nadzieję w ten sposób określić optymalną ilość substancji, dzięki której będziemy uzyskiwali wyraźny obraz w pozostałych miejscach. Liczę również, że już na tym etapie uda nam się zobaczyć ten pokój takim, jakim był za czasów Sapiehy.

– Rozumiem – mruknęła nieprzekonana Zuzanna. – Nie przeszkadzam zatem i życzę powodzenia.

Dziennikarka cofnęła się o krok i ponownie zaczęła krążyć po pomieszczeniu.

– Melduję, że wszystkie urządzenia są na swoich miejscach! – zawołał Janek i wyprężył się na baczność przed kamerą.

– W takim razie zaczynam wstępne pokrycie substancją – oznajmił doktor i nacisnął kilka przycisków na panelu sterowania.

Urządzenie dozujące ożyło, zaczęło poruszać się po szynie i rozpylać substancję. Wszyscy przyglądali się temu z napięciem i fascynacją w oczach.

W ciągu minuty cała ściana została pokryta cienką warstwą substancji utrwalającej. W międzyczasie Rafał wydawał kolejne polecenia, a eksperyment przebiegał zgodnie z ustalonym tokiem.

Tymczasem Drużyna JJ, stękając z wysiłku, wtaszczyła na piętro ekran rejestrujący. Studenci ustawili go pomiędzy ścianą a panelem sterowania, tuż za laserami.

– Teraz wykonam wstępny skan, więc proszę wszystkich o założenie gogli – powiedział Rafał.

Po chwili główlice oświetlaczy laserowych zaczęły się obracać i błyskać światełkami.– Czas na pierwszy pełny skan – szepnął doktor.

Twarz miał teraz poważną i napiętą. I chociaż zdawał sobie sprawę z tego, jak niewielkie jest prawdopodobieństwo, by już za pierwszym razem udało się osiągnąć sukces, po cichu na to liczył.

Praca laserów trwała około dziesięciu minut, po czym dane zaczęły spływać do komputera. Wszyscy czekali w napięciu na zakończenie tego etapu. W końcu doktor zaczął przyglądać się obrazowi wygenerowanemu z małych szarych punktów. Nauczony poprzednimi doświadczeniami zmieniał wymiary i kolory sześcianu, jak również odstęp między poszczególnymi punktami. Za każdym razem jednak uzyskiwał jedynie bezkształtną masę, przypominającą zamuloną wodę. Sześcian obserwowany ze wszystkich kierunków nie przypominał wcale wnętrza pokoju. W zasadzie to niczego nie przypominał.

– Pierwszy eksperyment nie przyniósł rezultatów – powiedział Rafał, ciężko wzdychając. Domyślał się już, że zgodnie z jego obawami cały miesiąc upłynie na wykonywaniu setek podobnych skanów i wpatrywaniu się w nieregularnie rozmieszczone kropki. Czekala ich żmudna praca.

– Teraz pokryjemy ścianę nieco grubszą warstwą substancji utrwalającej i zobaczymy, jaki tym razem przyniesie to efekt – oznajmił Rafał i postukał w klawiaturę panelu sterowania, w efekcie czego dozownik rozpoczął pracę.

Marianna, widząc, że nie zanoszą się na jakieś spektakularne zdarzenia, dyskretnie wycofała się korytarzem. W tym domu czuła się bardzo nieswojo. Tak jakby od momentu rozpoczęcia badań przez cały czas była obserwowana. Być może tak w istocie było...

Tymczasem eksperymenty trwały dalej. Chłopcy pokrywali ścianę coraz grubszą warstwą substancji utrwalającej, a doktor przeprowadzał kolejne skany. I za każdym razem wytworzony obraz był jedynie nieokreśloną, nieco skłębioną masą rozrzuconych punktów, które nie dawały się ułożyć w żaden bliżej określony obraz.

*

Po kilku godzinach Rafał stwierdził, że musi zrobić przerwę. Oparł się ciężko o panel sterowania i zapatrzył w ścianę. Właśnie przeprowadził liczne próby, na wiele różnych sposobów, a żadna nie przyniosła pozytywnych rezultatów. Czasami wydawało mu się, że coś widzi w wytworzonym na podstawie danych sześcianie, ale zawsze okazywało się to pomyłką. Musiał gdzieś popełnić błąd. Tylko gdzie?

– Dobra, chłopaki – powiedział w końcu. – Zakryjcie ekran i schowajcie lasery. Potem weźcie narzędzia i dokładnie oczyśćcie ścianę. Ma być gładka jak pupcia niemowlęcia.

Janek westchnął teatralnie, ale zabrał się do roboty. Jacek też nie protestował – w końcu był to jego pomysł.

– Może faktycznie winna była nierówna powierzchnia? – mruknął do siebie Rafał, po czym wyprostował plecy i postanowił się przejść.

Rozdział 4

Obaj chłopcy zabrali się do energicznej pracy. Zgodnie z poleceniem zakryli ekran i schowali lasery, a potem dobyli metalowych narzędzi i zaczęli skrobać ścianę. Szybko doszli do wniosku, że oczyszczenie całej powierzchni nie zajmie im zbyt wiele czasu. Jacek w milczeniu skupił się na pracy, zatopiony w świecie własnych myśli, podczas gdy Janek jak zwykle zaczął się wygłupiać. Podśpiewywał i podrygiwał do melodii jakiegoś znanego przeboju.

– Jacek... – dobiegło z korytarza.

Zawołany wyprostował się i zaczął nasłuchiwać. Włosy stanęły mu dęba. Czy tylko mu się wydawało, czy ktoś rzeczywiście go wołał? Ale przecież nikogo nie powinno być w korytarzu, więc czyżby to?...

– Cii! – syknął do swojego rozśpiewanego kolegi, próbując dosłyszeć coś więcej. Wydawało mu się, że z głębi korytarza dochodzą odgłosy cichej rozmowy.

– Nie podoba ci się? – zapytał nieco urażony Janek. – To przecież teraz jest na topie. Zajebiaszcza melodia i nawet słowa mają sens...

– Zamknij się! – warknął Jacek i ponownie skupił się na tajemniczych odgłosach, ruszając w stronę korytarza. – Chyba ktoś mnie wołał...

Janek spojrzał na kolegę i nagle spowaźniał.

– Nie strasz, kurwa... – powiedział cicho. – Bo to wcale nie jest śmieszne...

– Słyszysz? – Jacek przekrzywił głowę i zmarszczył brwi. – Ktoś rozmawia.

Wyjrżeli na korytarz, nasłuchując i czując, jak przyspiesza im tętno. Wstrzymali oddechy.

Stukot odłamka tynku uderzającego o podłogę sprawił, że obaj podskoczyli ze strachu. Janek roześmiał się nerwowo, napięcie się ulotniło. Nawet Jacek stracił poczucie, że stało się coś niezwykłego. Obaj spojrzeli w miejsce, z którego oderwał się kawałek ściany i ze zdziwieniem zauważyli, że dziura jest całkiem duża. W zasadzie to bardziej przypominała schowek...

*

Wiktor palił papierosa i żałował, że zapomniał wziąć ze sobą laptopa. Zapowiadał się właśnie najnudniejszy miesiąc jego życia. Z drugiej strony za pobyt tutaj dostanie całkiem przyzwoite pieniądze, więc nie mógł narzekać. Szczególnie że ostatnio bardzo potrzebował zastrzyku gotówki.

Życie byłoby znacznie łatwiejsze, gdyby nie przymus posiadania pieniędzy, pomyślał. Gdyby tylko na którymś etapie rozwoju ludzkość poszła w nieco innym kierunku... Teraz każda zmiana była mało prawdopodobna i trudna do osiągnięcia.

Myślami wrócił do swojej marnej sytuacji finansowej i skrzywił się boleśnie na wspomnienie o długach. Czy pogoń za pieniądzem nigdy się nie kończy?

– Ale pan jest zasepiony – powiedziała z uśmiechem Ewa, podchodząc do starszego mężczyzny. – Myślałby kto, że nie przyjechał pan tutaj na wakacje.

– Bo nie przyjechałem – powiedział Wiktor, wracając do rzeczywistości. Był trochę niezadowolony, że ktoś przyłapał go w chwili słabości. Swoje problemy wolał przeżywać w samotności, nigdy nie miał potrzeby zwierzenia się. Poza tym zbyt wiele razy zawiódł się na osobach, które wydawały mu się godne zaufania.

– Przyjechałem tutaj, ponieważ ktoś poprosił mnie o opinię na temat przeprowadzanych przez Rafała eksperymentów. A poza tym uczciwie zapłacił za mój czas. Ta sytuacja nie mieści się w kategorii wakacji, tak jak ja je rozumiem.

– Strasznie pan poważny – stwierdziła Ewa. – Wszystko traktuje pan w ten sposób?

– Mów mi po imieniu – powiedział Wiktor. – Tak będzie wygodniej. Poza tym będzie brzmiało mniej poważnie, prawda?

Ewa roześmiała się krótko. Nie wiedziała dlaczego, ale widok pracującego Rafała poprawił jej humor. Choć nadal głowie krążyły jej słowa Marianny i ten wyrok śmierci...

– Nie ma pan... nie masz wrażenia – poprawiła się szybko – że nie wszystko idzie tak, jak trzeba?

– O tak – stwierdził Wiktor, rzucając niedopalonego papierosa na ziemię i depcząc go butem. – Wszystko nie idzie tak jak trzeba od bardzo dawna. Można powiedzieć, że jest to proces trwający wiele setek lat. Cała nasza cywilizacja poszła nie tak.

Ewa nie wiedziała do końca, czy Wiktor mówił poważnie. Co prawda wygłosił tę myśl z przymrużeniem oka, ale dało się odczuć, że przykładą do tych stwierdzeń wagę.

– Widzę, że wszyscy znudzili się eksperymentem – powiedział Rafał, który właśnie wyszedł z budynku. – I to już pierwszego dnia.

Wiktor ledwie powstrzymał grymas niechęci, kiedy zobaczył doktora. Kiedy go widział, przypominał sobie o konflikcie, który zapoczątkował niechęć pomiędzy Klubem Fantastyki Meteor a Legionem. Rafał nie przyszedł na prelekcję, którą miał poprowadzić na małym, organizowanym wspólnie konwencie, ponieważ stwierdził, że byłaby to strata czasu. Co prawda impreza okazała się niewypałem, ale Wiktorowi nie mieściło się w głowie, by ktoś mógł w tak niepoważny sposób podchodzić do swoich zobowiązań. Konflikt przebiegał bardzo ostro, bo członkowie obu klubów przyjęli

punkty widzenia swoich prezesów. Koniec końców okazało się, że na prelekcję Rafała nikt nie czekał, ale niesmak niestety pozostał.

– Gdybyś zadbał o dodatkowe atrakcje, pewnie byłoby inaczej – stwierdziła Ewa. Rafał pokiwał głową w zamyśleniu.

– Może faktycznie trzeba było zaopatrzyć się w suchy lód? – mruknął, pocierając podbródek.

– Co? – zdziwiła się Ewa, a w jej oczach pojawiło się rozbawienie.

– A nic – rzekł i machnął ręką. – Kolejny genialny pomysł Mazurka. Chciał w ten sposób uatrakcyjnić eksperymenty. Suchy lód wytworzyłby mgłę, w której byłoby widać promienie laserów.

– Chyba po raz pierwszy to powiem. – Ewa bezradnie rozłożyła ręce. – Ale możliwe, że ten akurat pomysł twojego studenta był dobry.

Rafał roześmiał się i potarł zmęczone wpatrywaniem się w ekran oczy. Oparł dłonie na biodrach i powiedział trochę poważniej: – Tak mniej więcej będą wyglądały te eksperymenty. Jeśli nie będzie rezultatów, zrobi się trochę nudno. Tak czy siak, w każdej chwili możecie swobodnie powiedzieć mi, co o tym wszystkim myślicie. Wszystkie pomysły albo wnioski będą mile widziane.

– To ty prowadzisz ten eksperyment i jesteś ekspertem – stwierdził Wiktor. – Ja mogę tylko mówić o swoich wrażeniach. Podchodzisz do tematu bardzo naukowo, co mi się podoba. Bo dzięki temu nie ma miejsca na oszustwo czy niedopowiedzenia. Wyniki będą albo i nie. I będą to weryfikowalne informacje, co akurat w świecie ezoterycznym jest wielką rzadkością. To jest moje pierwsze odczucie. Po prostu widzę, jak solidnie się do tego zabierasz i że zależy ci na konkretnych naukowych dowodach na poparcie twojej teorii. Tak trzymaj.

Rafał kiwnął głową. Już chciał coś powiedzieć, gdy nagle z budynku wybiegł Jacek.

– Doktorze! – wrzasnął, a Ewa zdziwiła się, że ten cichy chłopiec potrafi wydobyć z siebie tak głośny dźwięk. – Doktorze!

– Co się stało? – zapytał Rafał, odwracając się w stronę biegnącego. – Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Ewa prychnęła śmiechem, Wiktor zdołał się powstrzymać. Tymczasem Jacek spojrział na doktora z wyrzutem, nie mogąc złapać oddechu.

– W ścianie – wykrztusił wreszcie. – Znaleźliśmy to w ścianie. Janek chyba za mocno skrobał...

– Co znaleźliście? – zapytał Rafał, nadal rozbawiony faktem, że zachowujący zwykle kamienny spokój Jacek tak bardzo dał się ponieść emocjom.

– Jakąś książkę czy coś w tym stylu – odpowiedział Jacek, łapiąc oddech. – Chodźcie zobaczyć, to niesamowite.

Weszli do domu. Po chwili dołączyła do nich Marianna, wywabiona z przyczepy

krzykiem Jacka.

*

Na szczycie schodów czekał już na nich Janek. Drugi członek „Drużyny JJ” również nie mógł ukryć podekscytowania.

– Chodźcie – powiedział z przejęciem. – Zobaczycie, co znalazłem w ścianie!

Podłoga w pokoju na piętrze zasłana była świeżym pyłem i drobinkami starego tynku, gdzieniegdzie leżały jego większe fragmenty. Jednak tym, co najbardziej rzucało się w oczy, była dziura w ścianie. Miała nieregularne brzegi, a w środku leżała jakaś zakurzona książka.

– Kawałek ściany odpadł – mówił dalej Janek, oczywiście całkowicie pomijając w swojej relacji udział Jacka – i zobaczyłem, że jest tam skrytka. I że w środku coś leży...

Rafał podszedł do ściany i zafascynowany spojrzał do środka. Faktycznie było to coś w rodzaju skrytki. W środku leżał przykryty cienką warstwą pyłu wolumin. Rafał ostrożnie po niego sięgnął. Dziwne, ale właśnie w tej chwili przypomniały mu się filmy z Indianą Jonesem, w których wyciągnięcie artefaktu uruchamiało cały szereg pułapek, a w efekcie zawalenie się wszystkiego wokół. W tym wypadku jednak nic takiego nie nastąpiło.

Rafał spojrzał na pozostałych, trzymając w dłoni swoją zdobycz. Zuzanna Werner filmowała.

– Co to takiego? – zapytała Marianna, zaglądając do pokoju ponad ramieniem Wiktora. – Czy to książka?

Rafał obejrzał wolumin, po czym ostrożnie go otworzył. Strony pokryte były wyblakłym, lekko pochylonym pismem. Widać było również daty i numery wpisów. Naukowiec uniósł brwi w zdumieniu, po czym powiedział z szacunkiem: – To dziennik Sylwestra Sapiehy...

*

18 lutego 1928

Dzisiejsza rozmowa z P. Szymanowickim miała dla mnie doniosłe znaczenie. Drogą logiki wykazał luki w moim rozumowaniu i wypowiedział swoje poglądy, podejmując ze mną szlachetną dyskusję. Jego tezy były przede wszystkim naiwne i błędne w dużym stopniu, jednakowoż pozwoliły mi spojrzeć głębiej na moją teorię i metody, którymi się posługuję. P. Szymanowicki był z początku przestraszony miejscem, w którym się znalazł, nie omieszkałem bowiem poinformować go o ponurej przeszłości pieczary. Z zainteresowaniem właściwym dla lekarza i uczonego obserwowałem jego reakcje i niepewność. Strach nie miał jednak większego wpływu

na jego rozumowanie i logikę myśli. Z radością dopisuję go do grona uczestników eksperymentu...

*

Rafał ostrożnie odłożył dziennik Sylwestra Sapiehy na stolik. Mimo że obiecał sobie nie ruszać przedmiotu do czasu jego zeskanowania lub przynajmniej skserowania, nie był w stanie się powstrzymać przed czytaniem fragmentów, kiedy wieczorami siedział w przyczepie. Odnalezienie dziennika było przecież niezwykle wydarzeniem: mogło to rzucić nowe światło na postać Sylwestra Sapiehy, pokazać jego prawdziwe życie, zainteresowania i to, czym się zajmował. Dla środowiska ezoteryczno-okultytycznego ten tekst stanowił niezwykle wartościowy skarb.

I mimo że doktor zdecydowanie sprzeciwiał się wszelkim zabobonnym – w jego odczuciu – teoriom, zdawał sobie sprawę z tego, że odnalezienie dziennika samo w sobie jest wystarczającą nagrodą za trudy badań domu Sapiehy.

Pokręcił głową z niedowierzaniem. Takie odkrycie!

Nagle drzwi przyczepy otworzyły się, a blask ze środka oświetlił stojącego na zewnątrz Wiktora, który trzymał w dłoni siatkę z zakupami. Rafał ze zdziwieniem stwierdził, że nie zauważył, kiedy zapadła noc.

Siwowłosa mężczyzna wspiał się po schodkach i wszedł do środka. Za nim dwaj chłopcy przepychali się w wejściu, śmiejąc się jak dzieci. Wreszcie Janek uderzył Jacka łokciem w żebra i wskoczył do wnętrza przyczepy. Wyciągnął ręce do góry w geście zwycięstwa i zaczął radośnie podskakiwać.

– Tak! – krzyknął. – Kolejny triumf!

Jacek po cichu zamknął za sobą drzwi i rozmasował bolące miejsce. Wiktor tymczasem położył zakupy na blacie stołu.

– Pomyślałem, że uczymy nasze dzisiejsze znalezisko lampką wina – powiedział i wyciągnął butelkę.

Janek spojrział na etykietę, cmoknął z zadowoleniem i żartobliwie sparafrazował słowa znanej reklamy telewizyjnej: – Nie ma dum-dum bez dum-dum. Dobry rocznik?

– Pewnie najlepszy – stwierdził ponuro Jacek. – Bieżący...

– Dum-dum? – zainteresował się Rafał. – Pamiętam że Alicja bardzo lubiła to wino. Nie było zbyt wykwintne, ale bardzo jej smakowało. Piliśmy je właściwie przy każdej okazji.

– Jeszcze je wspólnie wypijecie – powiedział melancholijnym tonem Janek. – Jestem o tym przekonany.

Jacek spojrział na swojego kolegę takim wzrokiem, jakby go zobaczył po raz pierwszy w życiu. Ten jednak otrząsnął się błyskawicznie i w odpowiedzi wystawił język.

W przyczepie na moment zapadła cisza, wszyscy współczująco spoglądali na doktora. Rafał machnął tylko ręką. Oczy mu się zaszkliły.

– Co prawda – Wiktor przerwał milczenie, sięgając do górnej szafki i wyciągając z niej kilka szklanek – nie mamy odpowiednich kieliszków, ale to, co jest na stanie, też się nada.

– Bardzo chętnie z wami wypiję – oznajmił Rafał i poklepał czule dziennik Sapiehy. – Bo jest za co.

Sprawnymi, precyzyjnymi ruchami Wiktor zdjął zabezpieczenie z szyjki butelki i odkręcił nakrętkę.

– Dobrze – powiedział. – Nie ma korka.

– Korek to nie problem – odparł Jacek, machając dłonią lekceważąco. – Właśnie dlatego zawsze noszę przy sobie scyzoryk. Wiecie, ten, co to mają go żołnierze szwajcarscy...

– Podróba – przerwał Janek i przestąpił z nogi na nogę. – Najlepsze są takie knypy z solidnym, kilkunastocentymetrowym ostrzem. Mam taki. No dalej, polewaj, Wiktor! – krzyknął do stojącego obok eksperta od ezoteryki.

– Ale z was alkoholicy! – roześmiał się Rafał i spojrzał na chłopców z politowaniem.

– Nie pamięta wól... – zaczął Janek i wytknął język, tym razem w kierunku doktora.

Rafał aż zamrugał ze zdziwienia. Chyba będzie musiał trochę zdyscyplinować podopiecznego. Ale już nie dzisiaj. Dzisiaj był czas świętowania z okazji odnalezienia dziennika. Wziął podaną mu szklankę wina i uśmiechnął się.

– Mam nadzieję – zaczął Wiktor, siadając na kanapie naprzeciwko Rafała – że udostępnisz mojemu klubowi ten dziennik?

Rafał odchylił się do tyłu i położył jeden łokieć na oparciu kanapy.

– Kiedy go zeskanuję – powiedział.

– Oczywiście – odpowiedział Wiktor. – Przecież nie możemy dopuścić, by taki skarb zniszczył się od ciągłego używania! Uważam jednak, że dziennik powinien zostać udostępniony wszystkim, którzy zechcą go przeczytać. Zgodzisz się ze mną?

Rafał uśmiechnął się lekko i kiwnął głową.

– Z radością przekażę skan dziennika do waszej klubowej biblioteki, Wiktorze – powiedział wreszcie z radosnym błyskiem w oku.

Dobrze pamiętał, jak jeszcze kilka lat temu oba kluby zawzięcie ze sobą rywalizowały, mimo że zajmowały się bardzo podobną tematyką. Dla Rafała był to jednak zamknięty rozdział.

Wiktor także się uśmiechnął. Wolał postępować dyplomatycznie i nie naciskać doktora – zbyt mocno zależało mu na utrzymaniu dobrych stosunków.

– Ja też chętnie bym sobie poczytał ten dziennik – mruknął cicho Janek. Utkwił

błyszczący wzrok w starym woluminie.

– Za Sylwestra Sapiechę i jego dziennik! – powiedział Rafał, wznosząc toast.

*

Rafał Żmudowicz uparcie wpatrywał się w ekran, na którym widać było tylko zbitą masę kropek. Nie układały się w żaden wzór, nie było widać żadnych przedmiotów. Obraz nie przypominał pokoju, w którym robiono pomiar. Było to tylko coś jakby nieapetycznie wyglądająca zupa z kotłujących się szarawych punktów.

Doktor zaklął pod nosem, zaciskając palce na obudowie pulpitu sterującego. Zbielały mu knykcie, pod skórą dłoni wyraźnie zarysowały się żyły. Wreszcie odetchnął głęboko, rozluźniając się.

Potał palcami nasadę nosa i przyknał oczy. Był zmęczony ciągłym wpatrywaniem się w ekran.

– Po minie wnioskuje – powiedział Wiktor Tokarzewski, wchodząc do pokoju z tajemniczym wyrazem twarzy – że nadal nie ma pozytywnych wyników?

Rafał smutno pokiwał głową i jeszcze raz spojrzął na wyświetlacz.

– Może tylko ja oślepiłem – stwierdził po chwili. – Spójrz sam. Czy tobie to coś przypomina?

Wiktor podszedł do panelu sterowania i z zainteresowaniem nachylił się nad wyświetlaczem, zdejmując okulary.

– Tutaj zmieniasz rozmiar punktów – instruował go Rafał, pokazując, jak obchodzić się z uzyskanym obrazem. – A tymi suwakami obracasz cały sześcian. Tym tutaj zwiększasz albo zmniejszasz odległości między kulkami.

– Mhm – mruknął Wiktor i zabrał się do pracy.

Doktor odsunął się o krok, by zrobić miejsce dla starszego mężczyzny. Uśmiechnął się, widząc skupienie Wiktora i zastanawiając się, czy sam wygląda podobnie podczas przeprowadzania eksperymentów. Weteran bydgoskiego fandumu zmarszczył brwi, zacisnął usta i wpatrywał się w ekran, jakby miał za chwilę znaleźć wyjaśnienie największych tajemnic świata. Po pięciu minutach potrząsnął głową z rozczarowaniem i stwierdził: – Z twoim wzrokiem chyba wszystko w porządku. Tutaj nic nie widać.

Rafał kiwnął głową.

– Piąty dzień eksperymentów – westchnął po chwili, spoglądając w sufit. – A my nadal niczego nie mamy...

Wiktor ponownie założył okulary i skrzyżował ramiona na piersi. Rozejrzał się po pomieszczeniu, omiatając wzrokiem ustawione w szeregu lasery, dalej ekran rejestrujący oraz pęki kabli, które łączyły wszystkie urządzenia w całość. Wreszcie

jego wzrok spoczął na panelu sterowania i nadal widocznych na ekranie chaotycznie rozmieszczonych punkcikach.

– Może powinieneś zrobić sobie przerwę, Rafale? – zapytał, podchodząc do okna.
– Na zewnątrz jest piękna pogoda, a trochę świeżego powietrza dobrze ci zrobi. Może jeśli dasz sobie chwilkę wytchnienia od pracy, wpadniesz na jakiś nowy pomysł?

Zapytany przeniósł wzrok z sufitu na podłogę i westchnął głośno.

– Może masz rację – powiedział i podszedł do panelu sterowania. – Ustawię wszystko na tryb automatyczny...

– To tak można? – zapytał zaskoczony Wiktor.

– Można – potwierdził doktor i uruchomił odpowiedni program. – Ustawię tak, by dozownik rozpylał coraz grubszą warstwę substancji utrwalającej, a w międzyczasie lasery będą robić swoje. Obrazom przyjrę się później.

Stary weteran uśmiechnął się i klepnął Rafała po plecach. Razem wyszli z domu Sylwestra Sapielhy.

*

Promienie słoneczne odbijały się od powierzchni jeziora bezlikiem błyszczących refleksów. Prawie nie było wiatru, a okoliczny las wydawał się spokojny. Słyszeć było tylko szum liści.

Ewa spacerowała po plaży. Nogawki spodni podwinęła do połowy łydki, trzymała dłonie w kieszeniach i czerpała przyjemność z chłodu wody, która obmywała jej stopy. Głęboko odetchnęła i przymykając oczy zwróciła twarz w stronę słońca. Mimowolnie uśmiechnęła się, kiedy poczuła na skórze ciepło jego promieni. Stała tak przez chwilę, delektując się wewnętrznym spokojem i harmonią.

Dobrze jest się oderwać od codziennego życia, stwierdziła w myślach. Od wszystkich problemów, od siebie samej Westchnęła cicho, gdy poczuła, że ta magiczna chwila pogodzenia się z całym światem minęła. Otworzyła oczy i zobaczyła w oddali kobietę, która podobnie jak ona stała na brzegu jeziora. I nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie długa biała suknia i parasol chroniący od słońca, w przedwojennym stylu. Ewa przymknęła oczy, żeby lepiej się przyjrzeć niewyraźnej postaci, kiedy niedaleko usłyszała trzask gałęzi. Okazało się, że przez krzaki przedziera się Janek. Ewa nie wiedziała, czego chłopak szuka w chaszczach, ale na pewno nie był nią zainteresowany. Nauczycielka ponownie spojrzała w stronę tajemniczej kobiety majaczącej na brzegu jeziora, ale okazało się, że już jej tam nie ma. Przez moment Ewa lustrowała najbliższą okolicę, ale nigdzie nie mogła jej znaleźć. Wreszcie stwierdziła, że musiało jej się wydawać. Pewnie jakiś powiewający biały przedmiot ułożył się tak, że z oddali wyglądał jak staromodna suknia. Przecież

nie było innej sensownej odpowiedzi. W końcu odwróciła się na pięcie i dołączyła do grupy, z którą przyszła nad jezioro.

Kilkanaście metrów dalej, na rozłożonym ręczniku, leżała na brzuchu Zuzanna Werner. Głowę położyła na skrzyżowanych ramionach, a jej oczy osłaniały duże, ciemne okulary. Obok niej klęczał Jacek i smarował jej plecy kremem do opalania.

Ewa prychnęła śmiechem, widząc przejętą twarz chłopaka. Malowała się na niej mieszanina uczuć: od nabożnej czci przez pożądanie objawiające się wypiekami na twarzy aż do napięcia i skupienia. Młodzieniec nie odrywał wzroku od ciała dziennikarki. Tasiemki stanika były rozwiązane i zsunęły się z pleców, Ewa domyślała się więc, że Jacek ma właśnie okazję zobaczyć nieco więcej, niż dziennikarka zwykle pokazuje. Spojrzenie chłopaka prześlizgiwało się po jej szczupłym ciele, na chwilę zatrzymując się na jej pośladkach, okrytych jedynie dolną częścią kostiumu kąpielowego.

Ewa, nadal się uśmiechając, dotarła do swojego ręcznika i doszła do wniosku, że także się trochę poopala. Kiedy zaczęła zdejmować koszulkę i spodnie, zobaczyła, że na plaży stoi Janek. Ze skwaszoną miną rzucał kamieniami w jezioro. Domyślała się, dlaczego Mazurek jest zawiedziony: chodziło o to, że Zuzanna Werner wybrała towarzystwo Jacka, a biedak musiał obejść się smakiem.

Ewa zlitowała się nad nim.

– Janek! – krzyknęła, machając ręką.

Kiedy chłopak usłyszał swoje imię, natychmiast poweselał i nabrał chęci do żartów. Energicznie pomachał Ewie i podbiegł do niej truchtem.

Ależ jestem próżna, stwierdziła w myślach, bo błysk w oku Janka na jej widok w samym bikini sprawił jej przyjemność.

– Mogę ci w czymś pomóc? – zapytał, pochylając się w jej kierunku i uśmiechając się szeroko.

– W zasadzie to możesz – powiedziała Ewa, podając chłopakowi tubkę kremu do opalania.

– Ekstra! – ucieszył się i klasnął w dłonie.

Tymczasem Ewa położyła się na ręczniku i ułożyła się wygodnie. – Proponuję masaż gratis – powiedział Janek.

– W porządku – roześmiała się Ewa. – Tylko czy potrafisz to robić?

– A czy szewc potrafi naprawiać buty? – odpowiedział pytaniem. – Pewnie, że potrafię, zaraz sama się przekonasz!

Janek delikatnie rozwiązał jej stanik i zabrał się do roboty. Ewa zdziwiła się, kiedy młodzieniec zaczął sprawnie odnajdywać palcami wszystkie miejsca, w których jej mięśnie były zbite i spięte. Jego pewne, zdecydowane ruchy świadczyły o tym, że nie jest to jego pierwszy masaż. Być może ukończył jakiś kurs?

– Dlaczego nie macie jeszcze żadnych wyników? – zapytała z przymkniętymi

oczami.

Poczuła, że Janek się zawahał – jego dłonie zatrzymały się na chwilę, ale po chwili znów podjął masaż.

– Wyniki mamy – powiedział powoli, po czym roześmiał się. – Tylko negatywne!

Sapnęła, bo właśnie rozmasowywał bolesne miejsce.

– Chodzi mi o to – zaczęła ponownie, przerywając swoją wypowiedź cichymi westchnieniami – że minęło kilka dni, a jeszcze nie udało się zobaczyć wnętrza domu za czasów Sapiehy. Mam wrażenie, że Rafał zaczyna się denerwować...

– A pewnie, że doktor zaczyna się denerwować! – odparł głośno Janek, przechodząc do masowania kolejnej części pleców. – Eksperyment udał się na uczelni w kontrolowanych warunkach, a w terenie jakoś nie chce wyjść.

Przez chwilę oboje się nie odzywali. W pewnym momencie Ewa jęknęła z bólu, ale zarazem z ulgi, kiedy kolejne spięte miejsce uległo pod mocnym naciskiem knykci jej masażysty.

– Chyba długo nikt cię nie masował – stwierdził ten ze śmiechem, widząc jej reakcję.

– A ten eksperyment na uczelni faktycznie się udał? – Ewa zignorowała jego uwagę. – Nie nagięliście trochę faktów?

Janek skończył masaż i wycisnął na dłoń sporą ilość kremu. Zamknął tubkę, przyciskając jej wieczko przedramieniem i powiedział powoli: – Jesteśmy naukowcami, nie naginamy faktów. Stolik, wazon i kwiaty były wyraźnie widoczne, bez żadnej ściemy. Tylko wiesz, to były kontrolowane warunki, sztuczne ustawienie, w cholerę silnych żarówek, które świeciły bez przerwy przez wiele dni. Może udało nam się tylko potwierdzić fakt, że światło odbite od jednych przedmiotów zapisuje się w innych. A nie to, że duchy to takie właśnie zapisy, które samoczynnie się uaktywniają. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

Ewa odwróciła głowę, zaskoczona jego tonem głosu.

– Chcesz powiedzieć, że przyjazd tutaj był błędem? – zapytała, podnosząc się na jednym ramieniu.

Nagle stwierdziła, że niechcący pokazuje Jankowi zbyt dużo, więc ponownie klapnęła na ręcznik.

– Chcę tylko powiedzieć – mówił dalej młodzieniec, rozsmarowując krem na jej plecach delikatnymi ruchami – że być może jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Poza tym czy tłumaczenie istnienia duchów tylko za pomocą praw fizycznych nie wydaje ci się trochę... bluźniercze? A przeprowadzenie eksperymentów w domu Sapiehy nie pachnie nadmierną pewnością siebie? Ja, na miejscu Mistrza, jak go niektórzy nazywają, byłbym nieźle wkurzony...

Aż przestała oddychać, słysząc te słowa. Nie miała pojęcia, że i takie myśli chodzą mu głowie!

Wtedy student pochylił się i szepnął jej do ucha: – Podoba mi się, jak jęczysz...

Ewa odwróciła się gwałtownie i napotkała iskrzące z rozbawienia spojrzenie studenta. Zdała sobie sprawę z tego, że Janek powiedział to wszystko specjalnie, tak dla żartu. I najwidoczniej po to, by ją zdenerwować.

– Jesteś straszny... – stwierdziła i gwałtownym ruchem uniosła biodra do góry.

Roześmiał się tylko i przewrócił na piasek obok ręcznika.

– Powinnaś zobaczyć swoją minę! – śmiał się, trzymając za brzuch i przewracając się na plecy, aż po policzkach spływały mu łzy. – To było genialne!

Ewa pokręciła głową z niedowierzaniem. Powinna być zdenerwowana zagrywką młodego studenta, ale jakoś nie potrafiła się na niego gniewać.

*

22 marca 1928

W najbliższych dniach rozpoczniemy nasze seanse. Jestem wielce ciekaw, czego dane nam będzie doświadczyć i czy zdołamy ujrzeć ich praktyki. Aparatura jest prawie gotowa. Sądzę, że sprowadzenie wytrzymałej niemieckiej stali będzie korzystne. Kotły muszą zarówno wytrzymać olbrzymie ciśnienie, jak i nie zardzewieć, gdyż pomieszczenie będzie pełne pary. Jestem bliski rozwikłania zagadki Guślarki z Jaskini! Niedługo ten ponury, starożytny kult śmierci ujawni przede mną swe tajemnicze arkana. Jestem przekonany, że moja teoria jest słuszna i że odpowiedni kształt ścian pozwoli na uzyskanie oczekiwanego obrazu tego, co miało tu miejsce na długo przed chrystjanizmem...

*

Rafał odłożył pamiętnik Sapiehy z zamyślonym wyrazem twarzy. Był zaskoczony faktem, że Sylwester Sapieha starał się wykonać podobny eksperyment. Wszystko wskazywało na to, że jakimś tajemniczym sposobem miał zamiar wywołać obrazy wydarzeń sprzed wielu lat. Doktora zastanawiała wzmianka o Guślarce z Jaskini i przedchrześcijańskim kulcie śmierci. Czy możliwe było, że Sapieha specjalnie postawił dom na miejscu starożytnego kultu, by w spokoju przeprowadzać swoje eksperymenty? To by wyjaśniało, dlaczego tak bardzo starał się zakupić ten kawałek ziemi. Czy sama konstrukcja domu miała przywołać zapisane w okolicznym terenie wspomnienia dawnych rytuałów? To z kolei tłumaczyłoby, dlaczego budynek powstawał tak długo...

Naukowiec był podekscytowany. Z tego, co zdążył wyczytać w pamiętniku, wynikało, że Sapieha starał się podejść do swoich zainteresowań w sposób niemal naukowy. Miał też niejasne przeczucie, że na kolejnych kartkach znajdzie coś, co pomoże jemu samemu pokonać obecne problemy, a zwłaszcza jeden, jakim był brak

pozytywnych wyników badań. Że przeczyta coś, co naprowadzi go na właściwy trop albo zainspiruje do znalezienia prawidłowego rozwiązania. Szczególnie że eksperymenty trwały już drugi tydzień i jak dotąd każdy uzyskany obraz pokazywał tylko kłębowisko losowo rozmieszczonych punktów.

*

W zaciszu pomieszczenia na piętrze Jacek odpoczywał od eksperymentów i uczestniczących w nich osób. Nawet lubił ich wszystkich, ale towarzystwo innych osób na dłuższą metę go zwyczajnie męczyło. Wziął więc ze sobą leżak i rozłożył go przy oknie, by mieć widok na uspokajającą zieleń lasu. Cała reszta grupy była gdzieś na dole, dokoła budynku, nadal jednak ich słyszał. Dlatego też wyciągnął z kieszeni odtwarzacz mp3 i założył słuchawki douszne.

Co prawda wielu słuchaczy uważało Metallicę wręcz za muzykę pop, jednak Jacek od lat miał do niej wielki sentyment. Utwory tego zespołu towarzyszyły mu w zasadzie od momentu, w którym zaczął świadomie wybierać, czego słucha. Oczywiście, jak wielu innych fanów Metalliki, preferował ich starsze płyty z Ride the Lightning na czele, choć ten album powstał jeszcze przed jego urodzeniem.

Kiedy tylko usłyszał pierwsze takty Fade to Black, wziął głębszy oddech i odciął się od rzeczywistości, po raz pierwszy od dłuższego czasu czując się w pełni swobodnie.

*Life it seems, will fade away
Drifting further every day
Getting lost within myself
Nothing matters no one else*

Jacek zamknął oczy i zaczął miarowo kiwać głową, kiedy nagle usłyszał w tle czyjś głos. Czyżby ktoś go wołał?

Nie dadzą człowiekowi spokoju, pomyślał i wyciągnął jedną słuchawkę. Rozejrzał się dokoła, czekając, aż głos znów się odezwie, ale w pobliżu panowała tylko cisza. Wzruszył ramionami i wrócił do słuchania. Jednak po chwili znowu usłyszał jakiś głos w tle.

Tym razem zareagował zdecydowanie szybciej, prawie wyszarpując słuchawkę i pauzując utwór. Rozejrzał się dokoła, ale nic więcej nie usłyszał. Westchnął więc ciężko, wstał i wyrzwał na korytarz – nikogo nie było w pobliżu.

Przez chwilę zastanawiał się, czy to przypadkiem nie Janek płata mu figle, ale stwierdził, że on nie miałby do czegoś takiego cierpliwości, raczej skoczył by mu na plecy, żeby go nastraszyć. Na pewno nie było w jego stylu chować się po kątach i nawoływać co jakiś czas, delikatnie budując napięcie.

Jak będą czegoś ode mnie chcieli, pomyślał poirytowany Jacek, to będą musieli sami po mnie przyjść.

Ponownie usiadł na leżaku i wrócił do słuchania. Trochę trwało, zanim znowu się rozluźnił, ale słuchając ostatnich słów utworu był już z powrotem w swojej strefie relaksu.

*Yesterday seems as though it never existed
This house greets me warm, now I will just say goodbye.*

Jacek wyprostował się gwałtownie i prawie się zakrztusił własną śliną. Przecież to nie były te słowa!

No nie róbcie sobie jaj, pomyślał. Szybko cofnął utwór i z duszą na ramieniu wysłuchał tego samego fragmentu jeszcze raz:

*Yesterday seems as though it never existed
Death Greets me warm, now I will just say goodbye.*

Tak, teraz było w porządku. Ale dla pewności cofnął utwór jeszcze raz. Ponownie usłyszał oryginalny tekst.

Jackowi zrobiło się zimno. Tutaj nie mogło być mowy o pomyłce, wyraźnie słyszał zmieniony początek zdania.

Ten dom wita mnie ciepło, pomyślał Jacek. W tym kontekście to dość straszne...

Nagle stwierdził, że chyba woli towarzystwo innych osób niż samotne przeżywanie halucynacji. Szybko złożył więc leżak i postanowił wyjść na zewnątrz.

*

Marianna Ślęzak spacerowała wokół budynku, chcąc zbadać swoje reakcje na nowe otoczenie. Martwiło ją to miejsce. Doktor Żmudowicz, zdecydowany za wszelką cenę osiągnąć to, co sobie początkowo zakładał, wykazywał coraz większe zaangażowanie w cały projekt. Brak efektów musiał być dla niego wyjątkowo frustrujący i widać było, że czasami przestaje panować nad własnymi emocjami. Sama była świadkiem tego, jak krzyknął na Janka, co wcześniej mu się nie zdarzało. Cały czas miał poważną i skupioną minę, widocznie nieustannie rozmyślając o tym, w jaki sposób zakończyć sukcesem kolejny eksperyment.

Bioenergoterapeutka miała bardzo złe przeczucia. Cały czas odnosiła wrażenie, że ktoś ją obserwuje, a od samego budynku bije aura nienawiści. Najgorsze było jednak to, że nie udało jej się zajrzeć w przyszłość i sprawdzić, co będzie się działo dalej. Jej wizje stały się chaotyczne i zagmatwane, a obrazy zmieniały się jak w kalejdoskopie. Nie potrafiła w nich ujrzeć niczego konkretnego. Co więcej, każda taka próba

kończyła się dla niej bólem głowy i mdłościami. Raz tylko próbowała siłą woli przebić zasłonę rozmytych obrazów: ujrzała wtedy oślepiające białe światło, a ból głowy stał się nie do zniesienia. Światło to jednak nie było ciepłe, nie wyczuwała w nim żadnej istoty. Sprawiało wrażenie... jakby sztucznego.

Tak rozmyślając, weszła do domu Sapiehy, do największego pomieszczenia zastawionego różnorodnymi sprzętami, krzesłkami, stolikami, a także resztkami jedzenia rozrzuconymi na jednorazowych talerzach. Przy największym stoliku siedział Rafał Żmudowicz z łokciami opartymi o blat. Bez słowa wpatrywał się w bliżej nieokreślony punkt przed sobą. Jego nieobecny wzrok sugerował, że intensywnie o czymś rozmyślał. Znowu. Mechanicznie pocierał przy tym palcami kilkudniowy zarost.

Podeszła kilka kroków i nagle poraziło ją światło, odbite od jakiejś gładkiej powierzchni.

– Ale ładnie dzisiaj słońce świeci – powiedziała z pozoru lekkim tonem, nadal jednak czuła się wyjątkowo nieswojo. – Taka śliczna pogoda, a pan ciągle siedzi w cieniu tych starych ścian. Wyszedłby pan trochę na słońeczko...

Rafał spojrzał na nią lekko nieprzytomnym wzrokiem, jakby nie dotarło do niego, co przed chwilą powiedziała. Wreszcie skupił na niej spojrzenie, a następnie przeniósł je na podłogę. Szarawy beton był oświetlony promieniami słonecznymi, wpadającymi przez dawno wybite okno. Doktor popatrzył na wyraźnie odcinający się od światła cień i zamrugał kilka razy.

Wreszcie uśmiechnął się szeroko i stwierdził: – Pani Marianno, jest pani genialna!

Nagle jakby wstąpiła w niego nowa energia, szybko wstał i wyprostował kręgosłup. Tymczasem bioenergoterapeutka spoglądała na niego nic nierozumiejącym wzrokiem. Wreszcie doszła do wniosku, że ponieważ sama nie jest naukowcem, pewnie nie ma szans zrozumieć, na jaki genialny pomysł wpadł Żmudowicz.

– Jacek! Janek! – krzyknął Rafał donośnym głosem, zaglądając do sąsiedniego pokoju. – Gdzie są ci chłopcy, kiedy są potrzebni?

Odgłos szybkich kroków świadczył o tym, że studenci usłyszeli swojego wykładowcę. Weszli, trzymając w rękach wypełnione czymś słoiki.

– Cześć, doktorze – powiedział na powitanie Janek. – Wiedziłeś, że w pobliżu jest pełno jagódek? Eldorado normalnie! Całe pole! Chcesz spróbować?

Rafał roześmiał się i sięgnął do słoika. Wyciągnął stamtąd kilka jagód i wrzucił sobie do ust. Po chwili pokiwał głową z uznaniem i stwierdził: – Całkiem niezłe. A teraz ruszamy na poszukiwania innego pomieszczenia.

– A coś jest nie tak z tymi, w których robiliśmy eksperymenty wcześniej? – zapytał Jacek, również sięgając do słoika i zajadając się owocami.

– Bardzo nie tak – stwierdził Rafał. – Wszystkie znajdują się od strony południowej. A co to oznacza?

Obaj chłopcy spojrzeli po sobie, zastanawiając się nad odpowiedzią. Wreszcie Janek wzruszył ramionami i spojrzął pytająco na Jacka. Ten w odpowiedzi pokręcił tylko głową i przeniósł spojrzenie na doktora.

– Nie mamy pojęcia – odpowiedział Jacek z ustami pełnymi jagód.

– Oznacza to, że codziennie wpada do nich sporo światła – odparł Żmudowicz. – W związku z tym ślady zapisane w ścianach będą niewyraźne. I nawet jeśli wcześniej pomieszczenie było ładnie zapisane, obraz ten na pewno został zniekształcony przez promienie słoneczne odbite od podłogi.

– Racja – podłapał Janek. – A jak słońce zachodziło, promienie mogły nawet padać bezpośrednio na ścianę. Nic dziwnego, że nie mamy żadnych wyników!

– W takim razie – powiedział Jacek, drapiąc się po głowie. – Musimy tylko znaleźć pokój, do którego nie mogły bezpośrednio wpadać promienie słoneczne. Czyli gdzieś w północnej części domu.

– Dokładnie! – powiedział Rafał i skierował się w stronę pozbawionych balustrady schodów. – Jest kilka takich pomieszczeń. Trochę zawilgocone i ciemne, więc nie będzie się nam przyjemnie pracowało, ale wyniki powinny być tego warte.

*

Pomieszczenie znajdowało się na pierwszym piętrze, w północnej części budynku. Ściana na zewnątrz zarosła winoroślą do tego stopnia, że jedyne okno w pokoju zostało niemal w całości zasłonięte przez gałązki i liście. Sprzątanie pokoju zajęło Drużynie JJ kilka godzin, więc dopiero następnego ranka możliwe stało się przeprowadzenie eksperymentu.

Tak samo jak pierwszego dnia badań, w pomieszczeniu zgromadzili się wszyscy uczestnicy projektu. Zuzanna Werner krążyła po pokoju, rejestrując wszystko, co działo się dookoła niej.

– Doktorze – zaczęła, kiedy zatrzymała się na wprost Rafała, stojącego za pulpitem sterującym – czym dzisiejszy eksperyment różni się od poprzednich?

Żmudowicz uśmiechnął się lekko. Jego twarz, jeszcze wczoraj blada, dzisiaj nabrała nowych kolorów. Był nawet ogolony, co świadczyło o zdecydowanej poprawie nastroju.

– Tylko miejscem – powiedział do kamery. – To pomieszczenie znajduje się w północnej części domu Sapiehy. Oznacza to, że nie trafiają tutaj promienie słoneczne. Do poprzednio badanych przez nas pokoiów słońce dostawało się bez przeszkód i padało bezpośrednio na ścianę, co, jak twierdzą, spowodowało zniszczenie zapisanych tam wcześniej śladów światła. W tym miejscu jednak zapisane na ścianach informacje powinny być o wiele wyraźniejsze.

Rafał spojrział jeszcze na pulpit sterujący i gdy upewnił się, że wszystko jest w porządku, oznajmił: – Proszę wszystkich o założenie gogli.

Eksperyment przebiegł bez zmian.

*

Marianna Ślęzak nie potrafiła się skupić na obserwowaniu eksperymentów. Prawdę powiedziawszy, ostatkiem sił stała w miejscu. Czuła wielki niepokój, miała ochotę odwrócić się na pięcie i po prostu uciec. Cały czas odnosiła wrażenie, że coś ją obserwuje. I że jest to byt, który nie życzy sobie ich obecności w tym budynku, coś, co ma zamiar ich skrzywdzić. Pot zrosił jej czoło, nie mogła złapać oddechu.

W końcu Ewa zauważyła, że z bioenergoterapeutką dzieje się coś niedobrego. Wystarczyło jedno spojrzenie na jej pobladłą twarz.

– Czy chce pani stąd wyjść? – szepnęła jej do ucha.

Starsza kobieta pokiwała energicznie głową i mocno chwyciła dziewczynę za ramię. Wyszły na korytarz, odprowadzane zdziwionymi spojrzeniami pozostałych uczestników projektu. Tylko Rafał Żmudowicz nie odrywał spojrzenia od panelu sterowania.

Marianna nerwowo rozglądała się na boki. Ewie zaczął udzielać się jej nastrój i też odniosła wrażenie, że ktoś idzie za nimi korytarzem. Odwróciła głowę, ale niczego nie zobaczyła. Mimo wszystko przyspieszyła kroku.

Kiedy na ścianę została rozpylona substancja utrwalająca, Mariannę przeszył dreszcz. Szeroko otworzyła oczy. Poczwała, jakby powietrze w korytarzu stało się nagle niezwykle ciężkie. Oddychała z trudem, a idąc czuła znaczny opór, jakby próbowała poruszać się w lepkim i gęstym budyniu.

Gdy lasery wystrzeliły pierwsze promienie w kierunku ściany, by wstępnie ją zeskanować, ciało Marianny poraził nagły impuls. Chwilę później Ewa aż podskoczyła ze strachu, bo starsza kobieta nagle krzyknęła. Przewróciła oczami i zaczęła osuwać się na podłogę. Młoda kobieta starała się ją podtrzymać, była jednak niska i drobna, a bioenergoterapeutka zbyt ciężka, by Ewa mogła ją unieść. W ostatniej chwili Marianna oparła się przedramieniem o ścianę i zdołała utrzymać równowagę. W jej oczach pojawił się niemal zwierzęcy strach.

Nie potrafiła bliżej określić natury impulsu, jaki przed chwilą odczuła. Skojarzył jej się z elektrowstrząsami, jakie stosuje się w szpitalach w przypadku zatrzymania akcji serca. Tak jakby nagły opór powietrza był skumulowaną energią, a impuls prądem z elektrod, jakim ratuje się umierające ciało. Miała wrażenie, że to, co przed chwilą się stało, wzbudziło rezonans w energetycznej strukturze budynku. Wydawało się, że elektrowstrząs przywrócił do życia jakąś cząstkę tego martwego domostwa.

Bioenergoterapeutka szła coraz szybciej, ciągnąc za sobą Ewę, która starała się dotrzymać jej kroku. Truchtem zbiegły po nierównych schodach, jakimś cudem utrzymując równowagę, i znalazły się na zewnątrz budynku. Marianna ciężko dysząc oparła się dłońmi o kolana. Wstrząsnął ją dreszcz obrzydzenia na myśl o tym, co mogło oznaczać to, czego przed chwilą doświadczyła.

Ewa położyła jej dłoń na plecach i patrzyła na nią uważnie. Sama była wyraźnie wytrącona z równowagi. Ale kiedy spojrzała na słońce, zieleni i spokojny wiatr, łagodnie poruszający gałęziami i liśćmi, strach, jaki odczuwała chwilę wcześniej, szybko się ulotnił. Pozostało jednak nieprzyjemne wrażenie, że przed chwilą zdarzyło się coś bardzo dziwnego i niewłaściwego.

– Dobrze się pani czuje? – zapytała, patrząc na starszą kobietę współczująco.

Marianna pokiwała głową i odetchnęła głęboko. Wreszcie wyprostowała się i spojrzała z obawą na dom Sylwestra Sapiehy.

– Już nigdy tam nie wejść – szepnęła i objęła się ramionami, mimo że było bardzo ciepło.

*

Na ekranie panelu sterującego pojawił się obraz sześcianu ułożonego z setek tysięcy niebieskawych punktów. I już na pierwszy rzut oka Rafał zauważył, że tym razem wyniki są inne niż te uzyskiwane do tej pory. Wnętrze bryły wydawało się bardziej uporządkowane, dało się ujrzeć jakieś regularne kształty.

Doktor poprawił nieco obraz, zmodyfikował odległości pomiędzy poszczególnymi punktami, po czym jego oczom ukazało się coś na kształt pomieszczenia. Wszystko wydawało się mocno spłaszczone, a ściany odchyłały się pod dziwnymi kątami, tak jakby ktoś „ścisnął” pomieszczenie. Przekrój przypominał z grubsza trapez, a punkty położone wewnątrz niego ułożyły się dziwnie w poskręcane kształty, które w niczym nie przypominały mebli czy jakichkolwiek innych sprzętów domowych. Był to jednak wyraźny postęp w stosunku do poprzednich prób i Rafał Żmudowicz był zadowolony z wyniku.

– Tym razem coś mamy – powiedział i uśmiechnął się szeroko. – Co prawda obraz jest nadal bardzo niewyraźny, ale wydaje mi się, że uzyskaliśmy obraz tego pomieszczenia za czasów Sapiehy!

Chłopcom wyrwało się z gardeł ciche westchnienie. Podeszli do pulpitu sterującego i nachylili się nad ekranem. Jacek zerknął, a potem odsunął o krok, robiąc miejsce filmującej wyniki eksperymentu dziennikarce.

– Może jak trochę popracujemy nad danymi – kontynuował doktor radosnym tonem, odwracając się do obiektywu – uda nam się uzyskać nieco lepszy obraz.

Jednakże samo analizowanie wyników zajmie nam jeszcze sporo czasu. Tymczasem będziemy kontynuowali pomiary, by zebrać jak najwięcej danych.

– W takim razie gratuluje pierwszego sukcesu, doktorze – powiedziała Zuzanna Werner, po czym obróciła kamerę w swoim kierunku. – Jak widzimy, eksperymenty w nawiedzonym domu Sylwestra Sapiehy nabrały tempa. Udało się zarejestrować pierwsze konkretne ślady światła, zapisane w ścianach tego pomieszczenia. Ale, jak przed chwilą usłyszeliśmy, jest to dopiero początek pracy, jaka czeka uczestników eksperymentu. Przeprowadzone zostaną dodatkowe pomiary, a zebrane dane przejdą czasochłonną analizę. I być może już za kilka dni uda nam się dowiedzieć czegoś więcej na temat tego bardzo tajemniczego miejsca, w którym obecnie się znajdujemy.

Dziennikarka wyłączyła kamerę. Janek spojrzał na nią z uznaniem.

– Słysząc, że jest pani profesjonalistką – powiedział z szacunkiem w głosie. – Tak na poczekaniu przygotowała pani całkiem zgrabną gadkę.

Zuzanna lekceważąco machnęła dłonią i uśmiechała się lekko.

– Nic szczególnego nie powiedziałam – odparła i przecesała włosy palcami. – Można to było zrobić lepiej. Poza tym co to za dziennikarz, któremu brakuje języka w gębie?

Stojący nieopodal Wiktor Tokarzewski z kolei podszedł do doktora i wyciągnął do niego dłoń.

– Gratuluję, Rafale – powiedział poważnym tonem. – Jak dotąd nie widzę powiązania pomiędzy wynikami eksperymentu a pojawianiem się duchów, ale udało ci się udowodnić, że ślady światła istnieją. A to już całkiem sporo.

Rafał spojrzał na starszego fantastę i uśmiechnął się z przymusem.

– Nie wydajesz się być pod wrażeniem – stwierdził, ściskając jego dłoń z lekkim wahaniem.

– Wręcz przeciwnie! – odparł Tokarzewski, podnosząc głos. – Uważam, że jest to fascynujące osiągnięcie! Jestem szczęśliwy, że mogę uczestniczyć w tym projekcie. Naprawdę! Tylko że nie widziałem jeszcze nic, co wskazywałoby na jednoznaczne, powtarzam, jednoznaczne, powiązanie między tymi śladami światła a pojawianiem się duchów – Rozumiem – stwierdził doktor. – Cóż, w takim razie będziemy musieli dalej przeprowadzać eksperymenty, prawda?

Wiktor pokiwał głową, ale nie wyglądał na przekonanego.

Rozdział 5

Rafał leżał w łóżku w przyczepie i nie mógł zasnąć. Oparł głowę na rękach i wpatrywał się w sufit. Przez otwarte okno wpadało do środka świeże, chłodne powietrze. W zasadzie w przyczepie można było wytrzymać jedynie w nocy i nad ranem. W ciągu dnia wewnątrz było piekielnie gorąco, mimo że zaparkowali w cieniu. Wchodzili więc tam tylko na chwilę, by coś wziąć lub odłożyć. Ale teraz, kiedy zapadła ciemność, a temperatura na zewnątrz znacznie opadła, w przyczepie kempingowej nie było tak źle. Doktor co prawda nie miał nic przeciwko nocowaniu na dworze, ale wolał wygodę kanapy od twardego gruntu.

Żmudowicz wsłuchiwał się w odgłosy nocy, tak inne od tych słyszanych w mieście. Miejsce pracujących silników, przetaczających się główną ulicą ciężarówek czy okrzyków wracających z pubu rozweselonych gości zajęła cisza, z rzadka przerywana tajemniczymi skrzekami i krzykami małych zwierząt. Oczywiście do tej gamy odgłosów trzeba było jeszcze dodać donośne chrapanie Wiktora Tokarzewskiego, który spał na sąsiedniej kanapie.

Rafał cicho westchnął, zastanawiając się nad tym, co powiedział ten stary ekspert od ezoteryki, kiedy gratulował mu uzyskania pierwszego w miarę wyraźnego obrazu pokoju. Według Tokarzewskiego doktor właśnie udowodnił, że w przedmiotach zapisują się ślady światła, ale nie wykazał ich powiązania z duchami. Rafał chcąc nie chcąc musiał zgodzić się z tokiem rozumowania starszego mężczyzny. Powinien znaleźć sposób na to, by informacje zapisane w strukturach przedmiotów pojawiły się samoistnie. Musi zrozumieć mechanizm automatycznego wzbudzania śladów światła i wykorzystać go.

– Muszę po prostu wywołać ducha – pomyślał i sapnął, powstrzymując śmiech.

Wtedy mógłby wszystkim udowodnić, że duchów w powszechnym rozumieniu tego słowa zwyczajnie nie ma. Może dzięki temu ludzie przestaliby marnować czas na próby kontaktowania się ze zmarłymi bliskimi, pomogłoby im to zaakceptować prawdę, że nie ma życia pozagrobowego. Może uchroniłoby przed bólem związanym z kolejnymi niepowodzeniami. Dzięki jego odkryciu innym udałooby się uniknąć tego, co on przeżył podczas wielokrotnych prób skontaktowania się ze zmarłą Alicją...

Wtedy Rafał usłyszał krzyk Zuzanny Werner. Zerwał się w jednej chwili, gotowy do działania.

Gwałtownym ruchem poderwał się z kanapy i zaczął zakładać spodnie, podskakując na jednej nodze i robiąc przy tym wielki hałas. Dziennikarka nadal krzyczała, ale w jej głosie oprócz strachu słychać było gniew.

– Co się... – jęknął Wiktor, przecierając oczy ze zdumienia.

Nie miał pojęcia, co się dzieje, ale zanim się podniósł, Rafał wybiegał już na zewnątrz przyczepy, zarzucając na siebie koszulę.

Krzyki Zuzanny dobiegały z lewej strony budynku, z miejsca, które nie było widoczne od strony przyczep. Tak naprawdę prawie nic nie było widać – niebo tej nocy było wyjątkowo mocno zachmurzone.

Jacek wyjrzał z samochodu.

– Kto tak wrzeszczy? – zapytał, rozglądając się dokoła.

– Zostań na miejscu – krzyknął Rafał.

Zauważył padające z za rogu budynku światło latarki, skierowane na rosnące w pobliżu gęste krzaki. Ktoś właśnie przedzierał się przez zarośla, uciekając w stronę ciemnego lasu. Rafał nie wiedział, co o tym myśleć. Zwolnił bieg. Skręcił za budynek i zobaczył przed sobą roztrzęsioną dziennikarkę, która w jednej ręce trzymała latarkę, a w drugiej kamerę.

– Skurwiele! – krzyknęła jeszcze raz i skierowała światło latarki w stronę Rafała.

– To ja – powiedział doktor, unosząc ręce do góry. – Co się dzieje?

Dziennikarka była wyraźnie wytrącona z równowagi, jej oddech szybki i urywany. Opuściła latarkę tak, że światło padało jej na stopy. Wreszcie odetchnęła głęboko i zadrżała.

– Ktoś nas napadł – powiedziała i spojrzała na Rafała wielkimi z przerażenia oczami.

Po chwili do dwójki dołączył Wiktor. Nic nie mówiąc przysłuchiwał, się rozmowie.

– Jak to? – zapytał doktor i rozejrzał się dokoła czujnym wzrokiem.

– Normalnie! – krzyknęła, obejmując się rękoma, jej dłonie drżały. – Jacyś ludzie przedostali się na posesję i weszli do domu Sapiehy!

– Pani Zuzanno – powiedział Wiktor, podchodząc do kobiety, która była na skraju hysterii. Położył dłonie na jej ramionach uspokajającym gestem. – Proszę spokojnie opowiedzieć wszystko od początku.

Werner kiwnęła głową, spojrzała jeszcze na zarośla, w których coś się wcześniej poruszało i zaczęła opowiadać.

– Nie mogłam spać – powiedziała i wbiła wzrok w ziemię – więc postanowiłam się przejść i sprawdzić, czy jest ziarno prawdy w tych wszystkich doniesieniach, że w tym domu straszy. Wzięłam kamerę i poszłam na spacer. Wydawało mi się, że chyba faktycznie coś słyszę z wewnątrz. Więc weszłam do środka, a tam byli jacyś ludzie! Niszczyli sprzęt!

– Co takiego? – zapytał Rafał powoli, jakby nie zrozumiał tego, co przed chwilą usłyszał.

– Niszczyli sprzęt! – krzyknęła Zuzanna.

– Spokojnie, spokojnie – powiedział cicho Wiktor, spoglądając na nią współczująco. – Już po wszystkim.

– Niech pani mówi dalej. – Doktor domagał się wyjaśnień.

– Zaskoczyłam ich, kiedy weszłam do środka – kontynuowała dziennikarka. – Chyba się mnie nie spodziewali, bo uciekli. Wtedy zaczęłam krzyżeć i ich gonić. Ale zniknęli, skurwiele!

Rafał spojrział na rozwścieczoną Zuzannę i uśmiechnął się nieznacznie.

– Pani Zuzanno – powiedział tonem, w którym brzmiały nutki wesołości. – Świetna robota!

Spojrzała na niego zaskoczona i zamrugła kilka razy.

– Wiktorze, odprowadź panią Zuzannę do przyczepy – poprosił. – Zaraz przyjdę, tylko sprawdzę, co z naszym sprzętem. Poproszę o latarkę.

Dziennikarka bez słowa podała ją doktorowi i wraz z Wiktorem odeszła w kierunku przyczepy. Kawalek dalej stali z przejętymi minami Janek i Jacek. Rafał machnął w ich stronę, by do niego dołączyli. We trójkę poszli sprawdzić, co zostało zniszczone.

Kiedy weszli do środka, ich oczom ukazał się katastrofalny widok. Czarne skrzyneczki, poprzewracane lasery i rozrzucone w nieładzie kable walały się po całym głównym pomieszczeniu na parterze.

– O cholera – mruknął Janek. Kucnął, by lepiej przyjrzeć się bałaganowi.

Rafał omiół spojrzeniem całe pomieszczenie, po czym rzucił w stronę Jacka: – Sprawdź, co z ekranami rejestrującymi, które zostawiliśmy na piętrze.

Student spojrział sceptycznie w stronę mrocznego wnętrza domu. Uznał jednak, że gdyby nie wykonał polecenia, Janek naśmiewałby się z niego aż do końca badań terenowych, a potem zapewne rozpowiedziałby o tym wszystkim na roku. Dlatego zacisnął zęby i bez słowa sprzeciwu wszedł po schodach, powtarzając sobie w myślach, by uważać na nierówne stopnie.

– I jak? – zapytał doktor, nachylając się nad sprawdzającym sprzęt Jackiem.

– Trudno powiedzieć – stwierdził student, przebierając w walających się po podłodze przedmiotach. – Pocięli kable, ale mamy sporo zapasowych, więc to nie problem. Kilka laserów pewnie nie będzie działało, ale resztę trzeba będzie podłączyć i sprawdzić. Źle to wygląda, ale chyba nie jest najgorzej. Wydaje mi się, że mieli za mało czasu, żeby dokonać poważniejszych zniszczeń.

Szybkie kroki na korytarzu świadczyły o tym, że Jacek powrócił z wyprawy na piętro.

– Ekranu nienaruszone – powiedział szybko. Był trochę blady i głęboko odetchnął, kiedy znalazł się ponownie w znanym mu towarzystwie.

Rafał pokiwał głową, zadowolony. Wiedział, że gdyby ekrany zostały zniszczone, nie mogliby kontynuować eksperymentów. Tymczasem wyglądało na to, że

napastnicy nie wyrządzili zbyt wielkich szkód.

– Dobra, zostawmy to na razie – zakomenderował z ulgą w głosie. – Porozmawiamy z panią Werner i zobaczymy, co dalej.

*

W przyczepie było tłoczno. Zuzanna Werner siedziała na kanapie, obejmując dłońmi filiżankę herbaty. Miejsce obok niej zajął Wiktor, a na sąsiedniej kanapie przycupnęła Marianna z zatroskanym wyrazem twarzy. Obok bioenergoterapeutki siedziała Ewa. Splecione dłonie wsunęła między kolana. Rafał stał, oparty plecami o ścianę przyczepy. Chłopcy siedzieli na podłodze z podkurczonymi nogami, obejmując ramionami za kolana.

– Ilu było tych napastników? – zapytał naukowiec, wsuwając kciuki w kieszenie spodni.

– Wydaje mi się, że dwóch – odparła Zuzanna.

– Rozpoznałaby ich pani? – spytał Wiktor i pochylił się w stronę dziennikarki.

Werner tylko pokręciła głową.

– Było ciemno – powiedziała. – A oni zaraz zaczęli uciekać. Nie widziałam ich wyraźnie.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Wreszcie ciszę przerwała Ewa.

– Myślicie, że to byli zwyczajni chuligani? Czy może chodziło o coś więcej?

– Co masz na myśli? – Wiktor zmarszczył brwi.

Ewa przełknęła ślinę i poprawiła się na swojej części kanapy.

– Bo zastanawiam się – zaczęła powoli – czy ci ludzie trafili tu przypadkowo, czy może zrobili to specjalnie? Chyba powinniśmy wziąć pod uwagę to, że ktoś chciał nam przeszkodzić w eksperymencie...

– Co ty mówisz!? – wykrzyknęła przestraszona Marianna. – Że ktoś zrobił to specjalnie? Żeby nam przeszkodzić?

– A czy możemy to wykluczyć? – Ewa odpowiedziała pytaniem na pytanie, wzruszając ramionami.

– Ale, ale... – Marianna zaczęła się jąkać ze zdenerwowania – to oznacza, że my też jesteśmy w niebezpieczeństwie! Musimy wezwać policję!

– Nie popadajmy w paranoję – powiedział Rafał. – Nie wydaje mi się, byśmy znaleźli się w jakimś wielkim niebezpieczeństwie. Ktoś chciał tylko zniszczyć nasz sprzęt i uciekł, kiedy tylko pojawiła się pani Zuzanna. Może to byli chuligani z którejs z okolicznych wiosek?

Wiktor roześmiał się krótko, a kiedy wszyscy spojrzeli w jego stronę, powiedział: – Bądźmy rozsądni! Jaki chuligan przeszedłby kilka kilometrów nocą w lesie, by coś zniszczyć? Na pewno bliżej swojego miejsca zamieszkania też znalazłby coś do

zdemolowania. Jakąś szopę, przystanek PKS-u, cokolwiek. Ci osobnicy chcieli nam przeszkodzić i jest to jedyne rozsądne wytłumaczenie ich obecności. Nie możemy tego bagatelizować, a wezwanie policji uważam za uzasadnione...

Rafał spoważniał i pokiwał powoli głową – argumentacja starego weterana była bardziej niż rozsądna.

– A miałam przecucie, żeby tu nie przyjeżdżać – szepnęła Marianna i zadrżała.

– Czy może sobie pani przypomnieć wygląd tych ludzi? – zapytał znów Rafał. – Może coś charakterystycznego w ubraniu, zachowaniu, głosie?

Powoli pokręciła głową, ale w następnej chwili utkwiła spojrzenie w kamerze. Nie uszło uwadze Wiktora, że Rafał całkowicie przemilczał kwestię powiadomienia policji, ale postanowił jeszcze nie zabierać głosu w tej sprawie. Domyślał się, że funkcjonariusze raczej doradziliby przerwanie eksperymentów, a oni mogą nie mieć już drugiej szansy. I choć ciężko było mu to przyznać przed samym sobą, wołał nikogo nie powiadamiać i kontynuować badania. Nikomu nic się nie stało, poza tym to zapewne był tylko pojedynczy przypadek...

– Nie wiem, czy coś zobaczymy – powiedziała dziennikarka, wyciągając laptop. – Było naprawdę ciemno.

– No tak, film! – krzyknął Janek i klasnął w dłonie.

Dziennikarka uruchomiła sprzęt, podłączyła kamerę do laptopa i odtworzyła film.

Obraz przez chwilę drgał, twarz Zuzanny przesuwiała się po ekranie, a czasami całkowicie z niego znikiała. W tle widać było ponure kontury zrujnowanego budynku. Dziennikarce trudno było utrzymać stabilny kadr, ponieważ w jednej ręce trzymała kamerę, a w drugiej latarkę. Kiedy wreszcie udało jej się odpowiednio ustawić, zamrugła kilkukrotnie i rozluźniła mięśnie twarzy wykonując kilka grymasów – wtedy Janek nie wytrzymał i prychnął śmiechem.

– Jest krótko po godzinie drugiej w nocy. – Głos Zuzanny był wyraźny, lecz nieco zniekształcony. – Znajdujemy się przed rzekomo nawiedzonym domem Sylwestra Sapiehy. Już za chwilę dowiemy się, czy relacje świadków ze spotkań z nadnaturalnymi istotami w tym miejscu zawierają choć odrobinę...

W tym momencie dało się słyszeć w tle jakiś bliżej nieokreślony trzask. Zuzanna gwałtownie odwróciła głowę, a obraz zadrżał. Jacek wyprostował się nagle i zachłysnął powietrzem.

– Widzieliście!? – zapytał zszokowany i pokazał palcem ekran.

– Nie teraz – warknął Rafał i machnął ręką, nawet nie patrząc na studenta. – Później zobaczymy jeszcze raz, od początku.

– Ale... – próbował oponować młodzieniec.

– Cii! – syknął Wiktor, przykładając sobie palec do ust i marszcząc gniewnie brwi.

Obraz na ekranie laptopa pokazywał, jak dziennikarka zbliża się do domu Sylwestra Sapiehy. Słyszeć było szelest trawy pod jej butami. Im bliżej budynku się

znajdowała, tym wyraźniejsze były dochodzące z wewnątrz odgłosy – uderzenia, szuranie, przytłumione śmiechy i rzucane półgłosem komentarze.

Zuzanna nagrywała to, co widziała.

W kadrze pojawiło się wejście do budynku. Futryna pozbawiona była drzwi, więc wewnątrz można było dostrzec poruszające się postacie. Zuzanna wskoczyła do pomieszczenia i skierowała światło latarki na dwóch zaskoczonych mężczyzn.

– Kurwa! – warknął jeden z nich, rzucił na podłogę trzymany w ręku laser i zaczął uciekać korytarzem.

– Pomocy! – wrzasnęła dziennikarka, a obraz wyraźnie się zachybotał. – Pomocy, złodzieje!

Dopiero kiedy Zuzanna zaczęła krzyczeć, drugi z wandalów zdecydował, że najwyższa pora się ulotnić i ruszył sprintem w ślad za swoim towarzyszem. Dziennikarka omiotła latarką pomieszczenie i widząc zniszczenia sapnęła gniewnie.

– Zniszczyli sprzęt, skurwiele – powiedziała powoli, ale zaraz potem jej głos wzniósł się na wyżyny gniewu i oburzenia. – Skurwiele!

Kiedy minęło pierwsze zaskoczenie, ruszyła w ślad za wandalami, próbując ich dogonić i wykrzykując kolejne niewybredne epitety. Jej ton głosu i sposób mówienia świadczył o tym, jak bardzo była wściekła. Ewa aż uniosła brwi, kiedy patrzyła na pogoń Zuzanny Werner za tamtymi dwoma – wiedziała bowiem, że ona sama na widok wandalów zaczęłaby uciekać. A na pewno nie goniłaby ich ciemnymi korytarzami domu Sylwestra Sapiehy!

Zuzanna przebiegła korytarzem i wydostała się na zewnątrz przez okno, w którym od dawna nie było już szyby.

Film skończył się na kadrze przedstawiającym krzaki, w których zniknęli wandy. Słychać było głos Rafała Żmudowicza. Po chwili ekran zrobił się czarny.

– No cóż, to tyle – stwierdziła Zuzanna, spoglądając na zebranych.

– Postąpiła pani bardzo odważnie – stwierdził Janek przymilnym tonem.

– Bardzo odważnie – zgodził się Wiktor poważnym tonem. – Ale i trochę nierozsądnie.

Wszyscy spojrzeli na starszego mężczyznę, a po chwili dotarło do nich znaczenie jego słów.

– To straszne, kiedy pomyślę, co mogło się pani stać, pani Zuzanno! – jęknęła Marianna i załamała ręce. – Przecież tacy ludzie pewnie są zdolni do wszystkiego! Miała pani niezwykle szczęście, że się wystraszyli.

– Zgadza się – powiedział powoli Rafał. – Będziemy musieli ustalić, jak powinniśmy teraz postępować. Jak przypilnować sprzętu, aby nikt go nie ruszył i jak zapewnić wszystkim bezpieczeństwo.

– Nie chciałbym wchodzić w twoje kompetencje, Rafale – zaczął Wiktor, poprawiając okulary – ale czy bierzesz pod uwagę możliwość wezwania policji i

zakończenia eksperymentu?

Doktor Żmudowicz spojrział na starszego mężczyznę niczym na szaleńca.

– Zakończenia!?! – zapytał, a w jego oczach pojawiły się niebezpieczne błyski.

Wiktor podniósł ręce do góry w obronnym geście i odezwał się szybko: – Tak tylko pytam...

W przyczepie zapanowała pełna napięcia cisza. Obaj mężczyźni mierzyli się spojrzeniami: rozgniewany wzrok Rafała napotkał emanujące spokojem oczy Wiktora. Młodość i gwałtowność spotkała się z doświadczeniem i opanowaniem.

Wreszcie ciszę przerwał Jacek, odzywając się dziwnie napiętym tonem: – Czy możemy wreszcie jeszcze raz puścić początek filmu?

Zuzanna ponownie odtworzyła nagranie. Jacek w skupieniu wpatrywał się w ekran. Miał wypieki na policzkach, zacisnął usta w cienką linię.

Kiedy monolog Zuzanny został przerwany odgłosami z wnętrza domu Sylwestra Sapiehy, Jacek zatrzymał film. Sapnął tylko i palcem wskazał na coś za plecami dziennikarki.

Na widok tego czegoś Ewa poczuła, że zjeżyły się jej włosy na karku, a na ramionach pojawiła się gęsia skórka. Na ciemnym tle budynku, kilka metrów za dziennikarką, stała kolejna postać. Mimo że jej obraz był trochę niewyraźny, bez trudności można było rozpoznać mężczyznę ubranego w staromodny frak, w wysokim kapeluszu na głowie i z charakterystycznie zakręconymi wąsikami.

– Co u licha? – wyrwało się Rafałowi, który także pochylił się nad laptopem.

– Kto to jest? – zapytała Zuzanna histerycznym tonem. – Jak znalazł się na filmie?

Jacek przesunął nagranie o kilka klatek do przodu, a następnie do tyłu.

– Przecież nikogo tam nie było – szepnęła przerażona dziennikarka i przygryzła dolną wargę.

– I nie powinno być – stwierdził Rafał Żmudowicz, kiedy dotarło do niego, gdzie wcześniej widział tę postać. – To Sylwester Sapieha...

*

Rafał musiał przyznać, że zarejestrowanie na filmie Zuzanny Werner postaci Sapiehy mocno nim wstrząsnęło. Starał się nie myśleć o tym zdarzeniu jako o manifestacji ducha, ale raczej jako o samoistnym wzbudzeniu śladów światła. Mimo to niepokoił go fakt, że obraz pojawił się na zewnątrz budynku. Zgodnie z jego tokiem rozumowania najwyraźniejsze ślady światła powinny zapisać się w środku. Tymczasem Sylwester Sapieha stał na zewnątrz jak gdyby nigdy nic. Może miał w zwyczaju tak robić za życia? Może zwykle wychodził ze swojego domu i stawał w bezruchu w tym samym miejscu? Może dzięki temu ślad jego obecności mógł zapisać się gdzieś na zewnętrznych ścianach domu?

Widok charakterystycznych rysów twarzy nieżyjącego maga spowodował, że w głowie doktora ponownie pojawiły się wątpliwości, które jakiś czas temu udało mu się stłumić i schować w bezpiecznym miejscu. Dlaczego w przypadku automatycznego wzbudzania śladów światła pojawiają się tylko niewyraźne postacie ludzkie? Przecież utrwały się te przedmioty, które się nie poruszały. W takim razie bardziej logiczne byłoby, gdyby pojawiały się widmowe żyrandole, stoły, szafy, komody albo inne meble. Dlaczego więc osoby? Czy mechanizm zapisywania śladów światła w przedmiotach miał w ogóle cokolwiek wspólnego z tak zwanymi „duchami”?

Rafał z największym wysiłkiem odsunął od siebie wątpliwości. Utwierdzał się w przekonaniu, że musi istnieć jakiś związek pomiędzy tymi dwoma zjawiskami. Musi!

A on to udowodni...

*

Po nocnych odwiedzinach dwójki wandalii Janek i Jacek dostali polecenie, by przenieść cały sprzęt na piętro budynku, do jedyne go pomieszczenia, które jeszcze posiadało drzwi. Rafał ustalił, że ten pokój będzie zamykany przy pomocy łańcucha i kłódki. Wspólnie postanowili też wprowadzić nocne warty, by strzec terenu wokół domu Sylwestra Sapiehy, tak by nikt się nie zakradł. Miało to również dać coś w rodzaju poczucia bezpieczeństwa tym, którzy akurat spali.

Tymczasem atmosfera robiła się coraz bardziej napięta. Marianna Ślęzak prawie w ogóle nie wychodziła z przyczepy, a wszystko, o czym mówiła, dotyczyło jej złych przeczuc i mrocznej wizji, iż niebawem stanie się coś złego. Była coraz bardziej blada i tak roztrzęsiona, że mogłaby wystraszyć się własnego cienia.

Wiktor za to stał się bardziej małomówny niż zwykle. Podejrzewał, że uczestnictwo w eksperymencie było z jego strony poważnym błędem. Z niepokojem obserwował zmiany zachodzące w Rafale i jego coraz większą determinację, by udowodnić swoje racje, co wyglądało na kielkujący fanatyzm. Wiedział też, że doktor potajemnie czyta dziennik Sapiehy w poszukiwaniu dodatkowych informacji bądź wskazówek, mimo obietnic, że nie będzie dotykał starego i delikatnego dokumentu.

Za to w Zuzannę Werner wstąpił jakby nowy duch. Z entuzjazmem zgłosiła się do uczestnictwa w nocnych wartach i aktywniej pomagała w eksperymentach. Ewa jednak podejrzewała, że to tylko poza, próba poradzenia sobie z własnym strachem i niepewnością maskowana poprzez zadziorność i brawurę.

W zasadzie tylko Janek nie wykazywał żadnych zmian w zachowaniu. Nadal dużo się śmiał, wygłupiał i popisывał prymitywnymi żartami. Ale i jemu w końcu przestało być do śmiechu...

*

Lasery ustawione zostały w równym rzędzie tuż przy ścianie, zaraz za szyną z dozownikiem utrwalacza. Ekran rejestrujący czekał w gotowości. Rafał i Janek znajdowali się w jednym z pomieszczeń na piętrze, w południowej części budynku. Był to kolejny pokój, który skanowali, a do którego bezpośrednio nie trafiały promienie słoneczne.

Obaj bez słowa założyli gogle ochronne. Przeprowadzali eksperyment już tak wiele razy, że wykonywanie kolejnych czynności stało się rutyną. Stanęli za panelem sterowania.

Rafał wydał odpowiednią komendę i lasery zaczęły obracać się we wszystkie strony, błyskając promieniami. Po chwili pierwsza porcja danych spłynęła do komputera.

– Lasery zmierzyły odległości między sobą – stwierdził Rafał i zabrał się za kolejny etap eksperymentu, w którym ściana miała zostać pokryta cieniutką warstwą substancji utrwalającej, by ją wstępnie zeskanować.

Nagle Janek gwałtownie zacisnął dłonie na krawędzi panelu sterowania, tak mocno, że aż zbieleły mu knykcie. Student sapnął i z zaciśniętymi ustami popatrzył na linię laserów. W jego oczach było widać jednocześnie strach i niezdrową fascynację.

Rafał podążył za jego wzrokiem i zaskoczony stwierdził, że jedno z małych urządzeń na trójnogu powoli się przesuwa. Otworzył szeroko oczy i usta. Patrzył oniemiały, jak laser wyłamuje się z równego rzędu i z cichym szuraniem przemieszcza centymetr po centymetrze w stronę ściany. Doktor wzdrygnął się, ale nie poruszył: podobnie jak Janek zamarł w jednej pozycji.

Po chwili urządzenie przechyliło się, stając teraz na dwóch z trzech krótkich nóżek, po czym przewróciło się z cichym uderzeniem i znieruchomiło.

Rafał gwałtownie nabrał powietrza w płuca. Nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że przez cały czas wstrzymywał oddech.

– No chyba żartujecie – mruknął Janek i ostrożnie zbliżył się do przewróconego lasera.

Kucnął obok i delikatnie podniósł go z podłogi. Obejrzał ze wszystkich stron, po czym ustawił ponownie. Potem spojrzął na Rafała i zapytał poważnym, wręcz grobowym tonem: – Więc jak to nazwiesz, doktorze? Automatycznym wzbudzaniem śladów ruchu?

Zapytany nie był w stanie stwierdzić, czy w tonie głosu studenta kryje się ironia, być może po raz pierwszy słyszał go mówiącego całkowicie serio.

Rozdział 6

Wiktor słuchał z uwagą relacji Janka, stojąc w pobliżu przyczepy i paląc papierosa. Zachmurzyło się, ale było całkiem ciepło, więc wszyscy mieli na sobie lekkie ubrania. Ewa, jak zwykle w koszulce z krótkimi rękawkami, włożyła dłonie do kieszeni spodni i również przysłuchiwała się temu, co mówił student. Obok stał Jacek, jak zwykle ubrany na czarno, oraz Zuzanna Werner.

Młoda nauczycielka obserwowała twarz Janka. Jego spojrzenie i cała postawa świadczyły o tym, że być może po raz pierwszy od czasu, kiedy go poznała, młody student mówił poważnie. W jego głosie nie było słyhać fałszu, lecz przejęcie, a nawet lekką nutę strachu.

Kiedy młodzieniec skończył, Wiktor pokiwał głową i stwierdził: – Poltergeist.

Jacek podrapał się po głowie – Ewa uśmiechnęła się na widok pieszczocha na jego nadgarstku – po czym zapytał: – Jak w tym filmie o tym domu, co był wybudowany na cmentarzu indiańców?

– Coś w tym stylu – potwierdził Wiktor. – Poltergeist to duch, który zachowuje się dokładnie tak, jak to przedstawiłeś, Janku. Porusza przedmiotami, może nawet rzucać nimi w ludzi, jeśli dysponuje wystarczającą mocą. Zwykle jest jednak niegroźny, choć dość uciążliwy dla mieszkańców. Jego obecność tłumaczy doniesienia o tajemniczych odgłosach dochodzących z tego miejsca.

– Ale czy przypadkiem poltergeist nie przywiązuje się raczej do ludzi niż do miejsc? – zapytał z wahaniem Janek. – Zresztą jakie ma znaczenie, jak go nazwiemy? Duch to duch – dodał.

– Najpierw duch Sapiehy – ciągnął ekspert. – Teraz to. Coś tu się zaczyna dziać, nie uważacie?

Ewa powoli pokiwała głową, spojrzała po kolei na wszystkich zebranych, po czym westchnęła i powiedziała: – Wiecie, te eksperymenty mają chyba na to wpływ.

Wiktor dopalił papierosa i rzucił filtr na trawę, po czym przydeptał go butem.

– Co masz na myśli? – zapytał, spoglądając na nauczycielkę z zainteresowaniem.

– Na początku przecież nic się nie działo – zaczęła tłumaczyć. – Oprócz tego dziwnego wrażenia, które miałam w domu. Jakby był tam ktoś jeszcze, kto mnie obserwował. To pojawiało się tylko czasami. Ale wydaje mi się, że od momentu rozpylenia tej substancji i robienia pomiarów, takie rzeczy zaczęły zdarzać się częściej. Pani Marianna, która jest przecież bardzo wyczulona na tego typu sprawy, dziwnie zachowywała się w trakcie poprzedniego eksperymentu. Wtedy, kiedy uciekła

z domu. Od tego czasu nie chce tam wrócić. Moim zdaniem nasze działania mają wpływ na ten dom. Tak jakby wzmacniały to, co w nim siedzi...

Wszyscy słuchali jej uważnie i w ciszy. Wiktor wyciągnął kolejnego papierosa, zapalił go i spojrział w niebo.

– Jeśli masz rację – powiedział powoli, jednocześnie wydmuchując dym. – To może się tu zrobić naprawdę niebezpiecznie...

*

24 maja 1928

Nie potrafię odgadnąć źródła naszych niepowodzeń. Wszystkie badania okazały się nieudane. Obrazy były bardzo zamglone i tak zniekształcone, że niemożliwością było cokolwiek z nich zrozumieć. A cóż mówić o poznaniu tych starożytnych praktyk! Z pewnością jest coś, co umyka memu rozumowaniu, jakiś drobny element, stanowiący właściwe uzupełnienie tej układanki. Będę pracował dalej, święcie wierzę w powodzenie naszych seansów...

*

Rafał odłożył dziennik Sapiehy. Cały czas był pod wrażeniem tego, że on i dawny właściciel domostwa mają ze sobą aż tyle wspólnego. Sylwester Sapieha okazał się bardziej naukowcem niż magiem, za jakiego go powszechnie uważano. A jego eksperymenty przeprowadzane we własnym domu miały wiele wspólnego z tym, czym zajmował się teraz Żmudowicz.

Spojrzął na zegarek i zdziwił się, kiedy zobaczył, jak jest późno. Wiktor już od dawna chrapał na swojej kanapie. Rafał ponownie sięgnął po dziennik Sapiehy. Jak zawsze robił to tylko wtedy, kiedy Tokarzewski nie widział. Obiecał przecież, że nie będzie dotykał delikatnego woluminu.

Wtedy jego uwagę zwróciły odgłosy na zewnątrz przyczepy.

*

Zuzanna Werner właśnie patrolowała okolicę, kiedy do jej uszu dobiegł cichy szelest. Była właśnie na tyłach domu Sylwestra Sapiehy, gdy usłyszała, jak ktoś przedziera się przez zarośla. Nie namyślając się wiele, mocniej chwyciła latarkę i pobiegła w kierunku źródła odgłosów. Słuch jej nie mylił.

Kiedy wybiegła zza rogu budynku, stanęła twarzą w twarz z dwoma zamaskowanymi mężczyznami. Obaj byli ubrani na czarno i mieli na głowach kominiarki. Oświetleni promieniem latarki, zastygli na moment. Jeden z nich przyjrzał się Zuzannie, ręką osłaniając oczy przed światłem, i powiedział z niedowierzaniem: – To znowu ta dziwka z telewizji...

Drugi rozluźnił się wyraźnie i podszedł kilka kroków.

– No, no – powiedział cicho. – Pani Werner znowu sama w nocy. Chyba tym razem damy się skusić, co nie Pastooh?

Pierwszy zaśmiał się nieprzyjemnie, po czym stwierdził: – Się wie...

Wtedy, wyłaniając się jakby spod ziemi, pojawił się Jacek. Stał pomiędzy dziennikarką a dwoma zamaskowanymi osobnikami, w rękach trzymając potężny drąg. Przygarbiony, na lekko ugiętych nogach, spojrzał wściekle na intruzów, gotowy w każdej chwili zaatakować.

– Wypierdalać! – warknął przez zęby.

Widząc agresywną postawę studenta, zamaskowani mężczyźni zaczęli się wycofywać. Ten, który wcześniej podszedł do dziennikarki, uniósł dłonie w górę, by pokazać, że nie ma złych zamiarów.

– Jeszcze się spotkamy, śmieciu – rzucił na odchodne i czmychnął w stronę ciemnego lasu.

Zuzanna odetchnęła głęboko, kiedy zamaskowani mężczyźni rozplynęli się w mroku.

– Dziękuję – powiedziała. – Dobrze, że postanowiliśmy robić dwuosobowe warty...

Jacek kiwnął głową. Adrenalina nadal krążyła mu we krwi. W zasadzie nie potrafił się bić i nie wiedział, co by się stało, gdyby musiał walczyć z intruzami. Ale zaryzykował i udało mu się.

Wtedy z przyczepy wybiegł Rafał i spojrzał na nich pytająco.

– To znowu byli oni – powiedział student, wreszcie opuszczając trzymany przez siebie kij.

– Cholera – mruknął doktor i przygładził dłonią włosy. – Czy z wami wszystko gra? Komuś coś się stało?

Zuzanna przecząco pokręciła głową.

– Nie, nic się nie stało – powiedziała z ulgą. – Ale kto wie, co by było, gdyby nie pojawił się Jacek i ich nie przegonił. Tym razem byli odważniejsi.

Rafał podszedł do chłopaka i poklepał go po ramieniu.

– Dobra robota – powiedział z uznaniem.

– Dobra robota!? – warknął student i spojrzał na niego z gniewem. – Żadna tam dobra! Ci goście naprawdę chcą nam przeszkodzić! I tym razem posunęli się za daleko. Musimy coś z tym zrobić, doktorze. I to natychmiast...

Gniewne okrzyki zaalarmowały pozostałych uczestników projektu. Nawet Marianna Ślęzak opuściła bezpieczne wnętrze przyczepy.

– Nie może być tak, że ktoś zakrada się tu w środku nocy! – Jacek nadal nie mógł się uspokoić.

Ewa, która jeszcze dopinała guziki naprędce założonej koszuli, nigdy nie widziała

go tak wściekłego. Był blady i żywo gestykulował.

– Nie widzisz, co tu się dzieje? – Jacek zbliżył się do Rafała. – Wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie i powinniśmy kogoś o tym powiadomić!

Janek natomiast roześmiał się cicho i powiedział jak zwykle wesołym tonem: – Hej, wyluzuj, Jacek. Nie siej defetyzmu! Pewnie ci goście chcieli nas tylko nastraszyć albo coś. Może jednak to tylko wygłupy...

Student gwałtownie odwrócił się w jego stronę i powiedział przez zęby: – Będziesz tak mówił, aż komuś stanie się krzywda!

Rzucił z impetem drąg na ziemię, odwrócił się do wszystkich plecami i pomaszerował w kierunku samochodu, w którym spał.

Wszyscy spoglądali za nim w ciszy. Po chwili przenieśli spojrzenie na zasepioną twarz Rafała. Nagle wydarzyło się coś, co sprawiło, że aż podskoczyli ze strachu – kiedy Jacek zniknął za rogiem domu Sylwestra Sapiehy, z budynku dobiegł głośny łomot.

*

– Co znowu? – jęknął Rafał, spoglądając na mroczne kontury budynku.

– Może napastników było więcej? – zastanowiła się Zuzanna Werner.

Odgłos powtórzył się. Brzmiało to tak, jakby ktoś demolował pomieszczenie na piętrze – tamto, w którym schowali cały sprzęt.

– Może – stwierdził Rafał. – Jedno jest pewne: musimy to sprawdzić.

– Ja tam nie wejść! – W wysokim głosie Marianny Ślęzak brzmiał ogromny, prawie zwierzęcy strach.

– Ja też nie – powiedziała dziennikarka i położyła dłoń na ramieniu bioenergoterapeutki. – Pójdziemy do przyczepy i poczekamy.

Nim się oddaliły, Marianna doskoczyła do Rafała i chwyciła go za koszulę. Jej uścisk był nadspodziewanie silny.

– Niech pan tam nie wchodzi, panie Rafale! – krzyknęła.

Doktor delikatnym, ale zdecydowanym gestem uwolnił się z jej uścisku i powiedział: – Pani Marianno, proszę poczekać w przyczepie. Sprawdzenie, co się dzieje, zajmie nam tylko chwilę.

– Niech pan tam nie wchodzi – jęknęła znów bioenergoterapeutka. Wyraźnie osłabła, jakby uleciała z niej cała energia.

Bezwładnie opuściła ramiona i pozwoliła dziennikarce odprowadzić się do przyczepy.

– Jeśli to któryś z tych pacanów – Jacek ponownie dołączył do grupy i podniósł drąg – to spuszczę mu tęgie lanie...

– Spokojnie – stwierdził Rafał. – Najpierw zobaczymy, kto to.

Przenieśli spojrzenie na Ewę i Wiktora.

– Pójdę do przyczepy – powiedziała spokojnie nauczycielka i oddaliła się.

W przeciwieństwie do niej Wiktor nie miał zamiaru odchodzić.

– Idę z wami – powiedział pewnym głosem. – Bo to wcale nie musi być jeden z tych wandalów Rafał tylko prychnął gniewnie, ale nic nie powiedział. Wszyscy czterej skierowali się w stronę wejścia do budynku.

*

Spowite mrokiem wewnątrz domu Sylwestra Sapięhy robiło jeszcze bardziej przytłaczające wrażenie niż za dnia. Rafał próbował sobie wmówić, że to, co czuje, to tylko normalny o tej porze chłód nocy. Na korytarzu było bardzo ciemno, bo nawet delikatne światło księżyca nie mogło się tu przedostać. Tylko promienie latarek wydobywały z ciemności fragmenty brudnych, zniszczonych ścian oraz podłogę pokrytą drobnym pyłem i grudkami tynku.

Mężczyźni zatrzymali się niepewnie przed pomieszczeniem, w którym trzymali sprzęt, a z którego jeszcze przed chwilą najprawdopodobniej dobiegały dziwne odgłosy. Wpatrywali się w wiszący na drzwiach ciężki metalowy łańcuch i kłódkę.

– Wiedziałem – szepnął Wiktor z przejęciem.

Rafał wyciągnął z kieszeni duży, prosty klucz i zdjął zabezpieczenia. Odetchnął głęboko i jednym mocnym szarpnięciem otworzył drzwi.

Promienie latarek wpadły do wnętrza pokoju, ukazując krajobraz jak po przejściu tornada. Wszędzie panował nieład. Jeden z ekranów rejestrujących leżał w kawałkach, pośród kabli i części z roztrzaskanych laserów. Większość czarnych walizek była otwarta, a dwie zostały dosłownie rozerwane.

Rafałowi rzuciło się w oczy zamknięte okno. Od lat pozbawione było szyb, wydawało się jednak mało prawdopodobne, by ktokolwiek chciał przecisnąć się przez mały otwór w drewnianej ramie, zamiast zwyczajnie je otworzyć. Poza tym, jak zauważył doktor, na zewnątrz nie dało się zauważyć żadnej liny, więc intruz musiałby wspiąć się po prawie gładkiej ścianie na pierwsze piętro. I to w nocy. Wniosek mógł być tylko jeden, ale Rafał nie chciał go na razie zaakceptować.

– Jest cholernie silny – powiedział Wiktor, klękając obok zmasakrowanej, powyginanej walizki. Oświetlił ją latarką, przesunął dłonią po pofałdowanej powierzchni i pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Cholernie, cholernie silny...

Nagle coś przeleciało przez pomieszczenie i z głośnym trzaskiem wylądowało na głowie Jacka. Student krzyknął z bólu i strachu i zatoczył się do tyłu. Potknął się o kable i z hukiem przewrócił na podłogę. Z czoła spływała mu krew.

Janek doskoczył do kolegi i pomógł mu wstać.

– Spierdalamy! – krzyknął.

Wiktor też skierował się do wyjścia, ale zahaczył o kable, które jakimś tajemniczym sposobem się poruszyły. Stracił równowagę, ale oparł się ręką o ścianę i nie upadł.

Wszyscy czterej spanikowali. Krzycząc i kierując snopy światła w różnych kierunkach, próbowali wydostać się z pokoju. Przedmioty, do tej pory leżące spokojnie na podłodze, zaczęły się przemieszczać. Niektóre unosiły się w powietrzu, inne z impetem roztrzaskiwały się o ściany. Towarzyszył temu szum wiatru i nienaturalny chłód.

Rafał cudem uniknął pocisku w postaci oświetlacza i wybiegł na korytarz. Przez moment wydawało mu się, że na jego końcu, ledwo widoczny w mroku, stał jakiś mężczyzna w kapeluszu i staromodnym fraku. Ale kiedy skierował tam światło latarki, nie ujrzał nikogo.

Minęli go w biegu dwaj studenci, a za nimi Wiktor, któremu udało się wyplątać z gąszczu kabli. Doktor bez zwłoki podążył za nimi. Uspokoił się nieco, dopiero kiedy wybiegł na zewnątrz. Nie wiedział nawet, jakim cudem udało mu się tak szybko zbiec po nierównych schodach: w amoku musiał przeskakiwać po dwa, trzy, a nawet pięć stopni.

– To było niesamowite! – krzyknął Janek i podskoczył radośnie. W jego spojrzeniu widać było iskierki fascynacji, jakby doznał religijnego objawienia.

– Taa, kurewsko niesamowite – mruknął jego kolega i delikatnie zbadał ranę na czole.

Rafał przyjrzał mu się dokładnie.

– Do wesela się zagoi – stwierdził z ulgą. – Ale trzeba ci założyć opatrunek.

Jacek pokiwał głową i cała czwórka skierowała się do przyczepy. W jej otwartych drzwiach stała Ewa, wpatrując się w ciemność zmartwionym wzrokiem. Jak tylko zobaczyła wyłaniające się z mroku światła latarek, wybiegła im naprzeciw.

– Co się stało!?! – zapytała, widząc rannego Jacka.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Wreszcie ciszę przerwał Wiktor: – Zostaliśmy zaatakowani przez ducha.

Ewa spojrzała na Rafała, ale ten tylko zacisnął usta.

– Przydałby nam się Twardowski – powiedział Janek, prychnąwszy śmiechem. Kiedy wszyscy spojrzeli na niego zdziwieni, wyjaśnił: – Jako mieszkańcy Bydgoszczy powinniście wiedzieć, że dawno, dawno temu odwiedził nasze miasto Twardowski. Pomógł oczyścić dom burmistrza, w którym straszło. Być może udało mu się tylko dlatego, że pomagał mu diabełek o imieniu Węgliszek.

– Węgliszek? – zapytał Jacek, odwracając się w stronę najstarszego członka wyprawy. – To nie jest przypadkiem nazwa tej knajpy, w której zakładałeś Meteora?

Wiktor posmutniał i pokiwał głową. Dokładnie tak nazywała się kawiarnia, w

której kilkadziesiąt lat temu wszystko się zaczęło. Lokal został niedawno zamknięty, co nieodmiennie kierowało myśli starszego fantasty ku przemijaniu i własnej śmiertelności.

Doktor Żmudowicz przysłuchiwał się wymianie zdań, ale nie skomentował. Bez słowa wpatrywał się w dom Sylwestra Sapiehy.

*

Był prawie ranek, kiedy Rafał mógł wreszcie spokojnie przejrzeć dziennik Sylwestra Sapiehy. Wiktor wraz z całą resztą uczestników ekspedycji przez kilka godzin dyskutowali o nocnych wydarzeniach, zbyt podekscytowani, by odpoczywać. Dopiero kiedy napięcie nieco opadło i wszyscy poczuli, jak bardzo są zmęczeni, postanowili wreszcie iść spać.

Doktor pospiesznie przerzucał kolejne strony, nie zważając na to, że może uszkodzić delikatny przedmiot. Wodził wzrokiem po linijkach równego, lekko pochyłego pisma w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, czemu do tej pory uzyskiwali tak niewyraźne obrazy.

Zdawał sobie sprawę, że kończy mu się czas na rozwiązanie tej zagadki. Nadal uparcie bronił się przed zaakceptowaniem jedyne wniosku, jaki mógłby wysnuć na podstawie nocnych doświadczeń. Takiego, że mieli do czynienia z potężnym duchem, który nawiedzał dom Sylwestra Sapiehy. Być może nawet z duchem samego właściciela. Z wysiłkiem odsunął od siebie myśl o istnieniu nadnaturalnych istot i ponownie skupił się na czytaniu dziennika.

Przerzucił kolejną kartkę, ale jego uwagę przykuło kilka słów na poprzedniej stronie. Zatrzymał się więc i cofnął, nieumyślnie zaginając delikatny papier. Nie zwracał jednak na to uwagi. Jeszcze raz spojrzął na tekst i uśmiechnął się z zadowoleniem. Pochylił się nad dziennikiem i zaczął czytać dokładniej.

*

13 sierpnia 1928

Zagadka rozwiązana! Odpowiedź okazała się być całkiem oczywistą. Wyraźne obrazy sprzed wieków formują się tylko w określonej odległości od źródła informacji! Uzyskaliśmy je, ustawiając szyby równoległe do ściany. Regulując ich ustawienie, udało się wywołać bardzo wyraźny obraz przeszłości! Mechanizm działa podobnie jak w przypadku zwierciadeł lunety, w której to odległość od poszczególnych soczewek umożliwia nam odpowiednie ustawienie ostrości urządzenia. Zaiste, bardzo prosty mechanizm! Pozostaje tylko ponownie ustawić narzędzia w piwnicy i wydrzeć starożytnemu kultowi jego tajemnice. Jestem przekonany, że nieśmiertelność jest na wyciągnięcie ręki...

*

Rafał westchnął głęboko i zapatrzył się w sufit przyczepy. Właśnie odnalazł ostatni element układanki. Aby uzyskać prawidłowe obrazy z zeskanowanych śladów światła, musiał tylko znaleźć odpowiednią odległość ekranu rejestrującego od ściany! A być może nawet nie będzie musiał ustawiać go fizycznie.

Szybko sięgnął po laptop. Westchnął ciężko i zaczął stukać palcami o blat stolika, przy którym siedział. Zastanawiał się, czy istnieje możliwość zmodyfikowania odległości ekranu od skanowanej powierzchni w samym programie. Obawiał się jednak, że nie przewidział takiej możliwości, więc pewnie informatyk nie zawarł jej w kodzie.

Rafał zaczął od zweryfikowania już istniejących odczytów. Wszedł do archiwum, by sprawdzić, co może zrobić z dotychczas zarejestrowanymi obrazami.

– Cholera – warknął.

Właśnie zdał sobie sprawę z tego, że może modyfikować sam obraz, ale nie dane wejściowe. Zmiana wielkości punktów i ich wzajemnych odległości czy obracanie wizualizacji na wszystkie strony nie stanowiły problemu. Ale kiedy dane napłynęły już do komputera, program brał pod uwagę fizyczną odległość ekranu rejestrującego – na tym etapie nie można było jej modyfikować.

Po kolejnych kilkunastu minutach Rafał znalazł jednak na to sposób. Metoda była nieco wolniejsza niż modyfikacja już zebranych danych, ale powinna przynieść oczekiwane rezultaty, mógł bowiem na etapie mierzenia odległości pomiędzy kolejnymi elementami systemu zmodyfikować ich wartości. Dzięki temu program przyjmie, że ekran rejestrujący znajduje się bliżej albo dalej niż w rzeczywistości – zależnie od wprowadzonej wartości. Co prawda przy każdej zmianie będzie trzeba wykonywać kolejny skan powierzchni, ale lepsze to niż ciągłe poprawianie ustawień sprzętu. Poza tym Rafał obawiał się, że ekran musiałby znajdować się daleko, wręcz poza pomieszczeniem, aby obraz był wyraźny. Albo tak blisko, że zabrakłoby miejsca na lasery. Przy modyfikowaniu odległości w programie eksperymentator był w stanie wprowadzić dowolne wartości, nawet te niemożliwe do uzyskania w realnym świecie.

Doktor ziewnął i przygładził nieco rozczochrane włosy. Zdawał sobie sprawę z tego, że zostało mu niewiele czasu na sprawdzenie nowej metody. Po pierwsze, za niecały tydzień miał minąć pełny miesiąc od rozpoczęcia projektu. Po drugie, Rafał wiedział, że w każdej chwili pozostali uczestnicy mogą wymusić na nim zakończenie eksperymentów i powrót do Bydgoszczy. Nie można było im odmówić słuszności – zamaskowani intruzi i dziwne zdarzenia w samym budynku stanowiły potencjalne zagrożenie dla ich bezpieczeństwa. Nie mógł oszukiwać sam siebie, że wszystko jest w porządku. I między innymi dlatego tak bardzo chciał udowodnić swoją teorię: by pokazać wandalom – kimkolwiek byli – że duchy nie istnieją, że to on ma rację i że

entuzjaści spirytystyzmu potrafią sięgać tylko po argumenty siłowe. Gdy poznają wyniki jego eksperymentów, wreszcie będą musieli ugiąć się w obliczu faktów.

Przede wszystkim jednak myślał o tych wszystkich nieszczęśliwych ludziach, którzy w pustej wierze w życie pozagrobowe próbowali znaleźć pocieszenie po stracie bliskich osób. Którzy, tak jak Rafał, próbowali się z nimi skontaktować i pozwalali się oszukiwać kolejnym szarlatanom. Właśnie teraz miał szansę skończyć z tym bezdusznym procederem raz na zawsze.

Musiał się jednak spieszyć i uzyskać odpowiednie wyniki najszybciej, jak potrafił. Zdawał sobie przy tym sprawę, że jest jeszcze jedno miejsce, w którym nie próbował skanować śladów światła. Idealnie nadawało się do tego celu, ponieważ w ogóle nie dochodziło do niego światło słoneczne. Było to miejsce oświetlone jedynie przez lampy – nieruchome źródło światła, które najlepiej zapisuje ślady światła w przedmiotach.

Piwnica...

*

Poranek był pochmurny i zimny.

Rafał z pewnym wahaniem wspiął się po niebezpiecznych schodach na piętro i zajrzał do pomieszczenia, z którego tak szybko uciekał w nocy. Bałagan w środku robił jeszcze bardziej przygnębiające wrażenie, gdy oglądało się go za dnia. Zniszczenia były ogromne i doktor zastanawiał się, czy uda mu się z tego stosu roztrzaskanych urządzeń zebrać choćby jeden działający zestaw do przeprowadzenia pomiarów.

Nie poddawał się jednak. Lasery powkładał z powrotem do walizek – odrzucił tylko te, których na pewno nie dało się już zreperować. Kable były w większości nieuszkodzone, tylko niektóre miały powyrywane bądź obluzowane wtyki, co akurat łatwo dawało się naprawić.

W najgorszym stanie były ekrany rejestrujące. Zostały zbudowane modułowo, więc można było składać je z części, ale wydawało się to trudne, bo wiele elementów ucierpiało.

Doktor zaczął znosić na parter kolejne urządzenia, które wydawały mu się najmniej uszkodzone. Kiedy kolejny raz zszedł na dół, w salonie czekał na niego Janek. Student miał podkrążone oczy i włosy w nieładzie, co oznaczało, że nie spał zbyt dobrze ostatniej nocy.

– Widzę, że pracujemy od rana, co, doktorze? – zapytał jak zwykle wesołym tonem.

Rafał kiwnął głową i spojrzał na niego z fanatycznym zapałem w oczach.

– Znalazłem sposób! – powiedział, nieświadomie zaciskając pięści. – Wiem, jak zmodyfikować pomiary, by uzyskać wyraźny obraz!

Podszedł do Janka, chwycił go mocno za ramiona i powiedział przez zęby: – Tym razem nam się uda!

W progu stał oparty ramieniem o framugę Wiktor i w milczeniu obserwował poczynania naukowca. Najwyraźniej uznał, że zobaczył już wystarczająco dużo, bo bez słowa odwrócił się i poszedł porozmawiać z pozostałymi członkami ekipy.

*

Wiatr był coraz silniejszy, szarpał gałęziami i wyginał pnie drzew. W powietrzu dało się słyszeć głośny szum liści i skrzypienie, jakie wydają ocierające się o siebie konary. Temperatura zdecydowanie spadła, więc uczestnicy projektu mieli na sobie długie spodnie, bluzy i swetry. Ewa stała na brzegu jeziora z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Zaciskała szczęki, a jej włosy rozwiewał wiatr. Wpatrywała się w bliżej nieokreślony punkt gdzieś pomiędzy taflą wody a niebem, zastanawiając się, w jaki sposób jeden człowiek może tak bardzo się zmienić w ciągu kilku lat: z kontaktowego optymisty, którego energia inspirowała innych do działania, w fanatycznego ponuraka, chcącego za wszelką cenę udowodnić swoją teorię. Westchnęła cicho, kiedy zdała sobie sprawę, że jej dawne uczucia do Rafała zdążyły całkowicie wyparować w ciągu kilku ostatnich tygodni. To nie był ten człowiek, co kiedyś i – co najgorsze – zapewne już nigdy nim nie będzie.

– Chyba wszyscy wiemy, o czym będziemy rozmawiać – powiedział Wiktor poważnym tonem, poprawiając okulary na nosie. – Nie ma co owijać w bawełnę. Myślę, że zgadzamy się co do tego, że eksperyment stał się niebezpieczny.

Zebrani smutno pokiwali głowami, wpatrując się w piasek. Domyślali się, jaki będzie wynik tej rozmowy. I mimo że takie postawienie sprawy wydawało im się uzasadnione, mieli pewne wyrzuty sumienia, jeszcze zanim podjęli decyzję.

– Bardziej niż niebezpieczny – dodała blada jak ściana Marianna Ślęzak. – Ten dom jest zły, bardzo zły...

– Miałem okazję to poczuć – stwierdził Jacek i mimowolnie dotknął palcami plastra na czole. – I zobaczyć też.

– No i jeszcze ci goście, co zakradają się w nocy – powiedziała Zuzanna Werner i objęła się ramionami. – Uważam, że powinniśmy zakończyć cały projekt, zanim stanie się coś, czego wszyscy będziemy żałować.

Wiktor westchnął cicho i pokiwał głową. Wyglądał, jakby kamień spadł mu z serca, kiedy przekonał się, że grupa myśli podobnie jak on.

– Tylko że Rafał nigdy się na to nie zgodzi – dodała Ewa po chwili milczenia. – On chce wykorzystać czas, jaki dostał, i nie wydaje mi się, by miał zamiar

zrezygnować.

– On na pewno nie zrezygnuje – roześmiał się Jacek. – To uparty kawał sukinsyna.

– No ale musimy z nim chociaż porozmawiać – przekonywała Marianna. – To przecież jemu grozi największe niebezpieczeństwo!

– Ach, ten brak aury... – mruknął Wiktor. – Prawie zapomniałem.

– Wszyscy jesteśmy dorośli. – Poirytowany ton dziennikarki świadczył, że ma już tego wszystkiego dość. – Każdy ma prawo do własnych decyzji. Jeśli chce, niech zostanie i dalej eksperymentuje. Zostawmy mu jeden samochód, a drugim wyjedźmy. Przecież pomieścimy się, bo jest jeszcze przyczepa. A do Bydgoszczy nie jest znowu tak daleko....

Przez chwilę w milczeniu rozważali jej słowa. Wiktor spoglądał na wszystkich po kolei, ale nikt nie wyglądał, jakby chciał się wyłamać. Uśmiechnął się lekko, choć było mu żal wyjeżdżać. Przecież wizyta w domu Sylwestra Sapiehy dała mu tak wiele: zmieniła cały jego pogląd na ezoterykę. Mało kto wiedział o tym, że ten weteran fandumu tak naprawdę nigdy nie wierzył w duchy. Aż do teraz...

– No dobrze – powiedział Wiktor. – W takim razie zbieramy swoje rzeczy. Do wieczora powinniśmy być gotowi do wyjazdu. Wtedy porozmawiamy z Rafałem i zobaczymy, co powie. Dzisiaj stąd wyjeżdżamy, z nim lub bez niego...

Rozdział 7

Rafał przetarł zmęczone oczy, ale uśmiechnął się z zadowoleniem, kiedy usłyszał znajomy dźwięk uruchamianego sprzętu. Z pomocą Janka po kilku godzinach pracy udało mu się naprawić jeden ekran rejestrujący i kilka laserów potrzebnych do tego, by wykonać eksperyment.

Kiedy doktor podniósł wzrok, zdał sobie sprawę z tego, jak późna jest już godzina. Zaczynało się ściemniać, więc nie zostało mu zbyt wiele czasu.

– Musimy znieść cały sprzęt do piwnicy – powiedział, pokazując Jankowi walizki.
– Zanieś te skrzynki, a ja rozmontuję ekran, bo cały nie przejdzie przez drzwi.

– Do piwnicy? – zapytał student z lekkim wahaniem. – Czy ta bioenergoterapeutka nie wspominała czasem kiedyś, że tam coś jest?

– Zgadza się – mruknął Rafał i machnął ręką. – Tam też są najlepsze warunki do zapisywania śladów światła.

Westchnął i podszedł do chłopaka.

– Słuchaj – zaczął pojednawczym tonem – jeśli będziemy mieli pecha, to na przeprowadzenie eksperymentu zostanie nam tylko ten wieczór, rozumiesz? W nocy mogą przyjść ci goście albo znowu jakaś siła rozpieprzy nam sprzęt tak, że nie złożymy nawet połowy ekranu. A piwnica to najlepsze miejsce.

– Jak chcesz, doktorze – powiedział Janek i wzruszył ramionami. Na jego twarzy pojawił się tajemniczy uśmiech.

Podbiegł do skrzynek i, chwyciwszy dwie z nich, skierował się do piwnicy. Tymczasem Rafał zabrał się za odłączanie kabli i demontaż ekranu rejestrującego.

Kiedy już wszystko było skończone, usłyszał ciche pukanie. Odwrócił się i zobaczył stojącego w progu Wiktora.

– Musimy porozmawiać – powiedział starszy mężczyzna i wskazał dłonią podwórze.

W tym momencie pojawił się również Janek, gotowy, by zabrać kolejne rzeczy na dół.

– Przenieś resztę sprzętu do piwnicy. – Doktor wydał polecenie studentowi.

Wyprostował się i wytarł zakurzone dłonie w spodnie. Pewnym krokiem minął Wiktora i wyszedł na zewnątrz, gdzie zobaczył stojących w półokręgu pozostałych członków zespołu.

– Co to, sąd kapturowy? – zapytał i skrzyżował ramiona na piersi w obronnym geście.

Wiktor jako najstarszy ze zgromadzonych stanął naprzeciw niego, obok Zuzanny

Werner.

– Porozmawialiśmy o ostatnich wypadkach i... – zaczął.

– Czyżby? – zapytał coraz bardziej zdenerwowany Rafał.

– Owszem – kontynuował Wiktor nieco głośniej. – Porozmawialiśmy i doszliśmy do wniosku, że musimy przerwać eksperyment...

– Wy podjęliście taką decyzję? – odpowiedział mu Rafał głosem ociekającym jadem. – W swej niezmiernie mądrości podjęliście jakąś decyzję dotyczącą całego projektu? Chyba zapominacie, kto tutaj pociąga za sznurki. To ja to zorganizowałem i do mnie należy decyzja o ewentualnym wcześniejszym zakończeniu projektu!

– Nie utrudniaj nam tego – odpowiedział Wiktor, starając się załagodzić sytuację.

– Chcemy przecież się dogadać.

Obok doktora pojawił się Janek, wyraźnie zaniepokojony przebiegiem rozmowy. Spojrzał na Jacka i ruchem brwi zapytał go, o co chodzi. Ten jednak tylko pokręcił smutno głową.

– Nie chcecie się dogadać – powiedział cicho doktor. – Chcecie tylko sabotować mój projekt, coś, nad czym ciężko pracowałem całe lata. A teraz, kiedy jestem o krok od udowodnienia swojej teorii, wbijacie mi nóż w plecy!

Słyszając te słowa, Janek uniósł brwi i zdziwiony spojrział na doktora. Pokręcił głową i uśmiechnął się do siebie.

– To nie tak – jęknął Wiktor i bezradnie rozłożył ręce.

– Właśnie że tak! – krzyknął Rafał. – Wbijacie mi nóż w plecy! Jeśli chcecie, to znikajcie. Sam dokończę robotę!

– Co się z Tobą dzieje, Rafale? – Ton Wiktora zrobił się ostrzejszy. – Alicja na pewno nie chciałaby, żebyś się tak zachowywał!

– Nie mieszaj do tego mojej żony!

Tokarzewski pokiwał głową i powiedział spokojniejszym tonem: – Nie zostawiasz nam więc wyboru. Powodzenia.

Odwrócił się i ruszył w kierunku gotowego do drogi samochodu.

– Janek? – Jacek spoglądał wyczekująco na swojego kolegę z roku.

Podczas gdy kolejni uczestnicy projektu wchodzili do samochodu, student stał obok doktora bez ruchu.

– Na pewno chcesz jechać? – zapytał Janek dziwnie wesołym tonem, tak jakby powaga sytuacji wcale do niego nie dotarła. – Przecież jesteśmy zespołem, jesteśmy wręcz jak bracia. Jak Byd i Gost normalnie!

Widząc, że przyjaciel nie reaguje potrząsnął tylko głową, stanął na baczność i zsalutował. Jacek zrozumiał ten gest, więc odwrócił się, odszedł zajął miejsce za kierownicą.

Rafał spoglądał na Ewę, która jako jedyna stała jeszcze naprzeciwko niego. Wreszcie nauczycielka uśmiechnęła się smutno, pożegnała dawnego kolegę gestem

dłoni i również wsiadła do samochodu. Rafał zacisnął szczęki, krótko kiwnął głową i obrócił się na pięcie. Już po chwili obaj z Jankiem zniknęli w domu Sylwestra Sapiehy.

*

Student zapalił silnik i położył dłonie na kierownicy. W samochodzie byli z nim Wiktor i Ewa. Marianna i Zuzanna siedziały w przyczepie.

– Czy na pewno dobrze robimy? – zapytała nagle Ewa, pochylając się do przodu. Jej głowa znalazła się pomiędzy przednimi fotelami.

Wiktor obrócił się do niej i powiedział spokojnie: – Nie pozostawił nam przecież wyboru. – Po rozmowie z Rafałem był całkowicie przekonany, że decyzja była słuszna. – Wspólnie ustaliliśmy, że przebywanie w tym miejscu stało się zbyt niebezpieczne.

– No tak, ale... – szepnęła i opadła na swoje miejsce.

Nie odzywała się przez jakiś czas. Jacek wrzucił pierwszy bieg i dodał gazu. Samochód powoli ruszył z miejsca.

– Stój! – krzyknęła nagle Ewa.

Auto zatrzymało się gwałtownie.

Nauczycielka chwyciła swój plecak i otworzyła drzwi. Wyszła na zewnątrz i podeszła do przedniego okna. Wiktor opuścił szybę i spojrzał na nią smutnym wzrokiem.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – powiedział z powagą i wyciągnął do niej dłoń. – Powodzenia.

– Masz mój numer telefonu – zawołał jeszcze Jacek, pochylając się w stronę prawego okna. – Po wszystkim zadzwoń i daj mi znać, że wszystko u ciebie w porządku.

– Zadzwonię – powiedziała Ewa i uśmiechnęła się lekko. – Trzymajcie się.

Wiktor zamknął okno, samochód ruszył. Minął stojącą nieruchomo Ewę i wytoczył się z polanki. Dziewczyna uniosła dłoń na pożegnanie, zapatrzona w oddalający się pojazd. Po chwili przyczepa zniknęła za zakrętem.

Poprawiła plecak i odwróciła się w stronę domu. Zapadał zmrok. Z wiszących nisko, granatowych chmur właśnie zaczął padać deszcz. Masywna sylwetka domu Sylwestra Sapiehy, górująca nad lasem, miała w sobie coś niepokojącego. Nie pierwszy raz Ewa miała wrażenie, że dom żyje własnym życiem. I że teraz spogląda na nią, w pełni świadomy swojej potęgi, rzucając jej wyzwanie. Zaprasza do środka, złośliwie pozorując gościnność. W pustych, ciemnych oknach czuć było tę groźbę.

Ewa westchnęła i ruszyła w stronę wejścia.

*

W piwnicy pomimo kilku rozstawionych na podłodze reflektorów panował półmrok. Rafał stał za panelem sterowania, zaraz za ekranem rejestrującym, przed którym znajdował się rząd laserów oraz szyna z dozownikiem substancji utrwalającej.

Janek stał kilka kroków za nim i wpatrywał się w jego plecy. Widział, jak doktor szybkimi ruchami przygotowuje wszystko do kolejnego eksperymentu. Zdawał sobie sprawę z tego, jak późna jest godzina i że za chwilę coś może...

Nagle jeden z laserów przesunął się o kilka centymetrów, a Rafałowi włosy stanęły dęba.

– Cholera – mruknął jakby nigdy nic. – Przeprowadzę drugi pomiar odległości.

Janek tymczasem nasłuchiwał. Kiedy wreszcie do jego uszu dobiegł odgłos odjeżdżającego samochodu, kiwnął głową z zadowoleniem. Pochylił się nad swoją torbę i zaczął w niej grzebać. Robił to niespiesznie, choć wydawał się podniecony. Wreszcie wyciągnął stamtąd nóż z ostrzem długim na kilkanaście centymetrów i przyjrzał mu się z satysfakcją.

– Miałem nadzieję, że do tego dojdzie – powiedział, prostując się i mocniej chwytając rękojeść broni.

– Do czego? – zapytał Rafał, nadal pochylony nad panelem.

– Do tego, że pozostali wyjadą – odpowiedział Janek, zbliżając się do niego.

– Co masz na... – Rafał chciał odwrócić się w stronę studenta, lecz było już za późno.

Janek wbił nóż w plecy doktora.

Ten zdążył tylko krzyknąć z bólu i zaskoczenia, po czym opadł na panel sterowania. Student zadał kolejny cios. Pod ciężarem dwóch mężczyzn składany stolik, na którym stał panel, załamał się i obaj ciężko upadli na podłogę. Rozległ się rumor, a połamane części stojaka potoczyły się w kilku kierunkach. Janek dźgał Rafała raz za razem, krew była już na jego rękach, koszuli i twarzy.

– Najpierw chciałem użyć drąga Jacka – powiedział student chrapliwym tonem. – Ale kiedy wspomniałeś o tym nożu w plecach, wiedziałem, co będzie bardziej odpowiednie...

Rafał pomimo bólu i ran próbował się bronić. Przewrócił się na plecy i uderzył Janka pięścią w twarz. Ale był już zbyt słaby, by zrobić mu poważniejszą krzywdę. Tymczasem student nie ustawał w zbrodniczych atakach, dźgając doktora w brzuch i klatkę piersiową. Raz za razem, bez wytchnienia. Wreszcie odsunął się od niego, wstał i spojrzał z góry na swoje dzieło.

– Widzisz, doktorze – powiedział, ramieniem rozmazując sobie krew na czole. – To, co chciałeś zrobić, to profanacja. Poza tym te twoje teorie nie spodobały się niektórym ludziom, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Ale ty byłeś uparty, tak bardzo uparty.

Chłopaki zdemolowali trochę sprzęt, ale się nie przejąłeś. Przyszli nawet drugi raz, ale nadal trwałeś przy swoim. Nawet kiedy druga strona pokazała ci swoją moc, ty nadal uparcie wierzyłeś w swoją teorię. Byłeś w błędzie! Duchy istnieją!

Patrzył teraz, jak opadający z sił Rafał próbuje wstać. Spazmatycznie łapiąc powietrze i próbując utrzymać równowagę, doktor podniósł się na kolana. Nogi mu drżały, z ust ciekła krew, ale nie ustawał w próbach.

– Duchy istnieją – powtórzył Janek. – I zaraz się o tym przekonasz, ty żywotny skurwysynu...

Kiedy doktor wreszcie z trudem stanął na nogi, chłopak kopnął go w brzuch. Mężczyzna jęknął i znów stracił równowagę, wpadając na ekran rejestrujący, po czym zwałił się na lasery. Łomotowi, jaki temu towarzyszył, zawtórował nagle krzyk Ewy: – Nie!

Janek gwałtownym ruchem odwrócił się w jej stronę i zaklął: – Kurwa! Dlaczego nie mogłaś odjechać tak jak wszyscy!?

Ewa, nie zwracając uwagi na studenta, rzuciła się w stronę Rafała. Uklękła przy nim i dotknęła jego twarzy, przyglądając się oczom wypełnionych bólem i niedowierzaniem.

Doktor zakaszał po raz ostatni. Drgał jeszcze, próbując desperacko złapać haust powietrza, ale płuca miał już wypełnione krwią. Zaczął charczeć i dygotać. Po chwili przestał się ruszać, a na jego ustach pojawiły się krwiste bąbelki powietrza.

– Wiesz, nawet cię lubiłem – powiedział Janek, zbliżając się do nauczycielki. – Szkoda, że zmarnuje się takie śliczne ciało...

Ewa wiedziała, że nie ma czasu do stracenia. Mimo tego, że przed chwilą widziała śmierć swojego dawnego przyjaciela, instynkt nakazał jej szybko działać. Wstała więc i spróbowała przebiec obok Janka, unosząc ręce w obronnym geście. Poczowała szarpnięcie, ale udało jej się dobiec do schodów prowadzących na parter. Bez namysłu zaczęła się po nich wspinać. Potknęła się i uderzyła kolanem w drewniany stopień. Kiedy podparła się rękoma, zauważyła, że ma krew na przedramieniu. Zdała sobie sprawę, że Janek musiał zadrasnąć ją nożem, kiedy przebiegała obok.

– Nie uciekniesz! – krzyknął student i rzucił się za nią.

Dotarła na parter, a przez jej głowę przewijały się gorączkowe myśli. Wiedziała, że Janek biega szybciej od niej, a samochód znajdował się dość daleko od budynku. Jeśli od razu rzuci się w tamtym kierunku, student dopadnie ją na otwartej przestrzeni, gdzie nie będzie miała żadnych szans. Dlatego zamiast do wyjścia pobiegła w stronę schodów prowadzących na piętro. Być może uda jej się dotrzeć do pokoiów na górze, a tym samym zwiększyć dzielącą ją od Janka odległość. W tym widziała jedyną szansę na ocalenie.

*

Ciało Rafała Żmudowicza leżało na przewróconych laserach, tuż obok szyny z dozownikami. Jakimś sposobem kable nadal łączyły kluczowe elementy systemu. Tymczasem ustawiony na działanie automatyczny panel zaczął wykonywać wstępny skan ściany. Dozownik, posłuszny binarnym rozkazom płynącym z panelu sterowania, ożywił się i przesunął się w lewo, aż do momentu, w którym natrafił na nieruchomą głowę Rafała. Przez chwilę małe silniczki ukryte w urządzeniu buczały cicho, daremnie próbując przesunąć przeszkodę, aż wreszcie zamilkły – program uznał, że dozownik dotarł do krańca szyny, po której się poruszał. Tuleja rozwinęła się, a głowica cichutko zabzyczała, zmieniając konfigurację, by rozpylić substancję w postaci cienkiej mgiełki. W chwili gdy chmurka płynu pojawiła się w powietrzu, a jej drobne kropelki zaczęły osadzać się na ścianie i opadać na dół, wprost na ciało doktora, dom zadrżał i zajęczał niczym żywa istota...

*

Ewa dopadła schodów na piętro i rzuciła się na górę. Do tej pory zawsze pamiętała o tym, że nie ma tu balustrady i że stopnie nie są równe. Tym razem wyleciało jej to z głowy. Potknęła się i z impetem uderzyła kolaniem w betonowy kant. Była zła na siebie, że zapomniała o niebezpieczeństwie, nie było jednak czasu do stracenia. Pokonując przeszywający ból, podniosła się i kontynuowała ucieczkę. Gdy dotarła na piętro, natychmiast skręciła w korytarz. Cały czas słyszała za sobą odgłos goniącego ją studenta – był tak blisko, że aż bała się obejrzeć za siebie. Wiedziała, że musi jak najszybciej uciekać, wyteńczyć wszystkie siły. Zdawała sobie sprawę, że to rozgrywka o wszystko, że nie ma co liczyć na negocjacje.

Musiała uciekać.

Wtedy nastąpił wstrząs. Był tak silny, że nauczycielka osunęła się na ścianę. Nagle usłyszała dziwny dźwięk, coś w rodzaju niskiego pomruku, który przetoczył się korytarzem. Miała wrażenie, że powietrze nagle zrobiło się bardzo ciężkie, prawie nie dało się nim oddychać. Żeby uciekać dalej, musiała włożyć w to całe swoje siły. Poruszała się w zwolnionym tempie, jakby przedzierała się przez coś o konsystencji budynku.

Tego jeszcze brakowało, pomyślała w panice. Nie dość, że goni mnie szaleniec, to jeszcze sam dom chce zrobić mi krzywdę!

Powietrze lekko zafalowało, a ściany i podłoga na chwilę zmieniły kolor. Przez moment nie wyglądały na zniszczone. Wydawały się zadbane, miały przyjemne dla oka kolory. W korytarzu zamajaczył brązowy dywan i lampy dające delikatne żółtawe światło.

Włosy stanęły jej dęba.

*

Tymczasem w piwnicy dozownik zakończył spryskiwanie substancją utrwalającą. Z powodu wygięcia szyny i wewnętrznego uszkodzenia samego urządzenia większość płynu wylądowała na podłodze. Twarz, dłonie i inne odsłonięte części ciała Rafała lśniły perłście od osadzonej na nim substancji. Jego ubranie pociemniało od wilgoci. W powietrzu wciąż unosiły się drobne kropelki płynu.

Wtedy program przystąpił do realizacji kolejnego zadania. Do życia obudziły się poprzewracane oświetlacze, wysyłając laserowe promienie we wszystkich kierunkach. Domem wstrząsnęło po raz drugi i tym razem pomruk brzmiał głośniejsze i o wiele groźniej.

Ciało Żmudowicza zaczęło lśnić wewnętrznym blaskiem...

*

Opór, który nie pozwalał Ewie biec, zniknął tak nagle, jak się pojawił, podobnie jak złudzenia wzrokowe. Nauczycielka z hukiem wylądowała na podłodze, a ponad jej głową przetoczył się głośny ryk, który zmroził ją do szpiku kości. Niski dźwięk brzmiał jak okrzyk wściekłości i radości jednocześnie. Tak jakby ktoś wreszcie wydostał się na wolność...

Szybko wstała i wznowiła ucieczkę. Wtedy poczuła kolejne szarpnięcie, tak jakby coś próbowało chwycić ją za ubranie na plecach. Było to tak nagłe i zaskakujące, że krzyknęła krótko z przerażenia i wygięła się do tyłu. Zatoczyła się w bok i wpadła do najbliższego pomieszczenia, przewracając się po raz kolejny.

Pod palcami poczuła miękki materiał, a kiedy uniosła wzrok, ujrzała, że znajduje się w bibliotece. Wzdłuż wszystkich ścian stały szczelnie wypełnione książkami regały, na podłodze leżał dywan, a obok stał wygodny fotel, na którym ktoś siedział. Przerażona i zaskoczona jednocześnie, powoli przesunęła wzrokiem wzdłuż sylwetki mężczyzny i rozpoznała go natychmiast. Sapieha! Mag wydawał się realny, tak jak całe przywrócone do życia pomieszczenie. Niespiesznie wstał, a na jego twarzy pojawił się wyraz tryumfu.

– Już czas – powiedział z przejęciem, a całą jego postać wypełniła moc.

Nagle biblioteka znikła i Ewa z przerażeniem zdała sobie sprawę, że z pokoju, do którego trafiła, nie było drugiego wyjścia.

Dotarła do nagiej ściany i oparła się o nią. Wtedy zobaczyła, jak do środka wchodzi Janek z uśmiechem zadowolenia na twarzy.

– A mogłaś wyjechać z innymi – powiedział.

Był cały zakrwawiony, wyglądał demonicznie. Miał karmazynowe smugi na ubraniu. Ewa zobaczyła też jakąś postać, stojącą na korytarzu za Jankiem. Otworzyła szeroko oczy i gwałtownie nabrała powietrza.

Widząc autentyczne przerażenie na jej twarzy, Janek się odwrócił. Stał jak wryty, kiedy spojrzał wprost w spokojne oczy szpakowatego mężczyzny w wysokim kapeluszu na głowie, ubranego w staromodny frak i podpierającego się laską. Z wrażenia zachłysnął się powietrzem, czując zarazem nagły wstrząs i ból. Powoli spojrzał w dół i zobaczył z przerażeniem, że z jego ciała wystaje drewniana laska, która okazała się bardziej materialna, niż przypuszczał. Zdziwiony bardziej niż przestraszony, dotknął jej, jakby nie rozumiejąc, co się stało.

Ewa nie mogła uwierzyć w to, co widzi przed sobą. Przez chwilę zapomniała nawet o bólu. Janek stał jeszcze, lecz wyraźnie słabł: na jego plecach pojawiła się szybko powiększająca się szkarłatna plama. Za nim nauczycielka wciąż widziała mężczyznę, który nie powinien żyć od bardzo dawna: Sylwestra Sapiehę. Otaczała go aura nienawiści i potęgi. Jego postać momentami zanikała, tak jakby falujące powietrze tworzyło fatamorganę.

Tymczasem z domem zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Powietrze drgało, a na przemian ze światem rzeczywistym pojawiał się widok sprzed dziewięćdziesięciu lat. Pomieszczenie wyglądało jak opuszczona rudera, by za chwilę prezentować się jak za czasów największej świetności. Ściany pokryte łuszczącym się tynkiem zamieniały się w schludnie pomalowane, a potem ponownie powracały do pierwotnego stanu. To samo działo się z podłogą, oknami, sufitem, wszystkim, co znajdowało się w zasięgu wzroku Ewy. Postać Sapiehy falowała zgodnie z rytmem przenikania się rzeczywistości. Kiedy pojawiał się widok z okresu międzywojennego, ciało maga stawało się bardziej materialne i wyraźniejsze, a gdy wracały czasy współczesne, obraz słabł, rozmywał się. Jego twarz wyrażała ogromne skupienie i wysiłek. Ewa zauważyła, że naukowiec-okultysta staje się coraz bardziej realny bez względu na to, która rzeczywistość w danym momencie dominowała. Sylwester Sapieha wydostawał się na wolność!

W tym samym momencie cienie opuściły swoje miejsca i falując zaczęły rozpełzać się po pomieszczeniu. Ich kształty poruszały się płynnie, z diabelską gracją. Podstępnie zbliżały się do drgającego w agonii studenta i zaczęły wspinać się po jego ciele.

Ewa patrzyła na to sparaliżowana z przerażenia. Całą sobą odczuwała zbliżające się niebezpieczeństwo. Nie wiadomo skąd pojawił się wiatr, a temperatura odczuwalnie spadła. Wtedy jej uwagę zwrócił dźwięk, do tej pory prawie niesłyszalny. Teraz narastał i stawał się coraz wyraźniejszy. Brzmiał niczym rytualny śpiew, którego źródło znajdowało się gdzieś poniżej. Melodia zdawała się dziwnie piękna, jej dźwięki wwierały się w umysł, powodowały, że chciało się ją nucić.

Tymczasem cienie dotarły do Janka i kontynuowały wspinaczkę po jego ciele. Sylwester Sapieha nie poruszał się i obserwował całe zdarzenie bez mrugnięcia okiem, bardziej skupiony na swoim celu niż na obserwowaniu, jak pożerają studenta. Macki

dotarły do głowy chłopaka, aż wreszcie oblepiły go całkowicie. Dopiero wtedy upiór wyciągnął z jego ciała laskę. Czarna postać opadła na podłogę z głośnym plaśnięciem. Po chwili stopiła się z resztą ciemności, jakby wchłonięta przez mroczne zakamarki domu.

Sapieha wskazał laską Ewę, a cienie ruszyły w jej kierunku. Zbliżając się do nauczycielki, zaczęły unosić się niczym pędy młodych roślin. Kołysząc się w takt coraz głośniejszego śpiewu, rosły, aż prawie dosięgły sufitu pomieszczenia. Nieustannie zmieniające i przenikające się rzeczywistości, czarne macki... Wszystko to wydawało się Ewie zupełnie nierealne.

Nie miała gdzie uciekać, więc tylko podkurczyła nogi, starając się wcisnąć jak najgłębiej w kąt. Kilka metrów dalej stał Sylwester Sapieha i spokojnie się przyglądał. Wydawał się coraz bardziej pewny tego, że udało mu się wrócić do realnego świata. Nagle nauczycielkę oślepiło jasne światło. Zaskoczona przymknęła oczy, a kiedy je otworzyła, zobaczyła przed sobą świetlistą postać mężczyzny. Istota wyciągnęła jedną rękę w kierunku cieni, które uciekły przed jasnością. Próbowaly podejść do tajemniczego przybysza, ale bijące od niego światło było zbyt silne. Niestrudzenie ponawiały ataki, ale za każdym razem musiały się wycofywać. Wyglądało to tak, jakby świetlista postać walczyła z mrocznym przyływym fal ciemności.

Ewa nabrała powietrza i zszokowana zapytała: – Ragnus?

Świetlista postać skinęła głową i gestem kazała jej się podnieść. Ewa jęknęła i, opierając się o ścianę, podźwignęła na nogi. Nie mogła uwierzyć własnym oczom: wszystko wyglądało jak w jakimś dziwnym, szalonym śnie.

Z jednej strony stał Sylwester Sapieha, z drugiej Rafał Żmudowicz w postaci błyszczącej zjawy. Pomiedzy nimi o dominację walczyły światło i ciemność, a wokoło dom nieustannie zmieniał postać. Cienie poruszały się rytmicznie, cały czas atakowane i odpierane przez jasność. Zażarta batalia toczyła się przy akompaniamencie pomrukiwań budynku i hipnotycznego śpiewu.

Świetlisty postąpił krok naprzód i cienie musiały ustąpić mu pola. Ciemność zaczęła się cofać, a Ewa, korzystając z ochrony, wyszła z pokoju, prowadzona przez nadprzyrodzonego opiekuna. Mimo że czuła się osłabiona i obolała, zdołała utrzymać się na nogach.

Duch Rafała krok za krokiem zbliżał się do Sapiehy, którego twarz wykrzywiła się w grymasie irytacji i rozczarowania – mag słabł, a jego postać ponownie zaczęła się rozmywać. Ciemność ustępowała, a dom zaczął warczeć niczym dzikie zwierzę. Śpiew stał się szybszy, ton chóru głosów zaczął się wznosić aż do niezrozumiałego pisku. Dźwięk był tak nieprzyjemny i drażniący, że Ewa musiała zakryć uszy.

Żmudowicz i Sapieha stanęli w końcu twarzą w twarz. Dawny właściciel wznosił groźnie laskę, nagły opór zatrzymał świetlistą zjawę. Wydawało się, że mag zaprzestał prób przedostania się do realnego świata, całe swoje siły przeznaczając na walkę.

Mrok zgęstniał pomiędzy nimi, a upiór uśmiechnął się lekko. Jasna postać wyciągnęła dłonie w kierunku Sapiehy i napała na barierę. Cienie szalejące wokół tych dwóch nadprzyrodzonych istot strzelały we wszystkich kierunkach, omijając jednak Rafała. Ewa wyczuła drżenie podłogi, a w powietrzu dał się słyszeć niski warkot. Pojawiające się i znikające raz po raz żyrandole zaczęły się kołysać. Zmiany oświetlenia i świdrujący w uszach pisk spowodowały, że Ewie zrobiło się niedobrze.

Pojedynek trwał. Duch Rafała pochylił się do przodu, napierając coraz mocniej. Wreszcie postać Sylwestra Sapiehy zamigotała i znikła, cienie rozpierzchły się, a wizje wnętrza sprzed dekad nie pojawiły się więcej. Dom jęknął z rozczarowaniem.

Ewa, kuśtykając, podążała za duchem Rafała, który prowadził ją do wyjścia. Wszystko drżało, a z sufitu sypał się pył. Nauczycielka miała wrażenie, jakby ściany po obu stronach korytarza napierały na nich, podejmując daremne próby zmiżdżenia obojga.

Po pełnej napięcia minucie oboje dotarli do wyjścia. Ewa wybiegła na zewnątrz i obejrzała się za siebie. Budynek zafalował jej przed oczami, jakby zmieniał kształty. Okna wykrzywiły się, przypominając ciemne oczodoły. Dach wygiął się jak groźnie nastroszone brwi, a z wejścia wydobył się najgłośniejszy do tej pory ryk wściekłości. Po chwili wszystko wróciło do normy. Budynek znieruchomiał.

Ewa spojrzała w bok, na stojącą blisko niej świetlistą postać. Duch Rafała odwzajemnił jej spojrzenie, a potem nagle obrócił się w prawo. Ruch był tak szybki, że Ewa aż podskoczyła ze strachu. Ale wtedy ujrzała stojącą niedaleko widmową postać kobiety. Nauczycielka rozpoznała ją od razu. Nie mogła mieć wątpliwości: tę twarz widziała wielokrotnie na zdjęciach, które pokazywał jej Rafał.

– Alicja – szepnęła Ewa. Patrzyła na dwa duchy ze łzami w oczach.

Świetlista postać z wahaniem ruszyła w stronę półprzezroczystej kobiety. Gdy byli zaledwie kilka metrów od siebie, duch Rafała zatrzymał się nagle. Przez chwilę spoglądał na mroczny budynek, a potem ponownie spróbował podejść do zjawy Alicji. Ale i tym razem mu się to nie udało, jakby coś trzymało go na smyczy. Wyciągnął w jej kierunku lśniące dłonie i szarpnął się w bezsilnej złości.

Nagle popłynął z powrotem w stronę domu Sylwestra Sapiehy. Otworzył usta w niemym krzyku, lecz nie mógł powstrzymać tego, co się z nim dzieje. Powoli zbliżał się do mrocznego gmachu, jakby ciągnięty tajemniczą siłą. Wreszcie zniknął w ciemnym wnętrzu.

Ewa rozplakała się i opadła na trawę. Wycierając łzy rękawem, spojrzała w stronę zjawy. Lecz ducha kobiety już nie było.

Została sama. W górze, ponad jej głową, jawiła się tylko mroczna fasada nawiedzonego domu Sylwestra Sapiehy.

Voluntas
est
tantum

Rozdział 1

Dziewięciolatek spojrział ze łzami w oczach na górującego nad nim ojca. Tak bardzo nie chciał wyjeżdżać! Tutaj, w Bydgoszczy, chodził do szkoły, tutaj przecież miał kolegów i nie wyobrażał sobie innego życia. Ale że był posłusznym dzieckiem, zamiast się sprzeciwić, tupać nogami ze złości albo się obrazić, po prostu stał i płakał.

– Wszystko będzie dobrze, Janku. – Tata pochylił się nad nim i drżącą dłonią pogładził go po policzku. Mimo że próbował uśmiechać się pokrzepiająco, w jego oczach dało się zauważyć coś jeszcze. Janek nie potrafił określić, co to takiego, był jednak pewny, że ojca w takim stanie widział po raz pierwszy w życiu.

– Bądź dzielnym chłopcem – dodał tata.

Chłopiec pokiwał głową i zaszlochał cicho. Im bardziej próbował opanować płacz, tym trudniej było mu zachować kamienny wyraz twarzy. Łzy pociekły po policzkach.

– Romku, nic nie rozumiem – powiedziała cicho mama Janka, podchodząc do nich powoli. Objęła się ramionami, tak jakby chciała się przed czymś obronić. – Skąd ta nagła decyzja o wyjeździe? Co z twoją pracą? Co z badaniami Sylwestra?

– Naszymi badaniami! – warknął Romuald tak gwałtownie, że Janek podskoczył ze strachu. Chłopiec zadrżał i wykrzywił usta wykrzywił w podkówkę. – Od lat to były nasze wspólne badania – powiedział nieco spokojniej mężczyzna, po czym machnął ręką zrezygnowany: – Zresztą to i tak nie ma znaczenia. Sylwester Sapieha nie żyje...

– Co takiego? – Mama Janka zasłoniła dłonią usta w geście zaskoczenia. Drugą ręką oparła się o blat stołu, cofając o krok. – Kiedy to się stało?

– Dzisiaj – powiedział grobowym tonem Romuald.

*

John Szymanowicki pamiętał. Mimo że działo się to osiemdziesiąt pięć lat temu i tysiące kilometrów stąd, wspomnienia były nadal jak żywe. Widział je i odczuwał, przeżywał po raz kolejny.

Pokój, w którym leżał, był urządzone ze smakiem, w klasycznym stylu. Wnętrze sprawiało wrażenie przytulnego dzięki utrzymanym w stonowanym kolorze ciemnego brązu meblom i drewnianej podłodze, ocieplonej puszystym dywanem. Nic w wyglądzie pomieszczenia nie świadczyło o wyjątkowym położeniu mieszkania: znajdowało się ono na dwudziestym trzecim piętrze jednego z wielu nowoczesnych

drapaczy chmur górujących nad Chicago. Dopiero po bliższym przyjrzeniu się uważny obserwator mógłby zauważyć, że to, co początkowo brał za okna, jest w rzeczywistości wbudowanymi w ściany ciekłokrystalicznymi monitorami najnowszej generacji, które wyświetlały sielankowy pejzaż sadu. Widoczne na ekranach drzewa owocowe właśnie kwitły, a ich gałęzie, upstrzone kolorowymi kwiatami, falowały pod wpływem lekkiego wiatru. Jako akompaniament z ukrytych głośników sączył się delikatny dźwięk szeleszczących liści i cichy świergot ptaków.

Na wyglądającym na wiekowy drewnianym regale leżała skomplikowana aparatura, nieustannie monitorująca stan leżącego na łóżku starego, umierającego człowieka. Dziesiątki czujników rejestrowały prawie każdą czynność jego organizmu. Jedynym wyjątkiem od tej reguły była kroplówka, podłączona do ramienia pacjenta i podająca mu substancje odżywcze. John Szymanowicki rzadko był teraz przytomny, nie był więc w stanie przyjmować pokarmów w normalny sposób. Większość czasu spędzał w świecie wspomnień i majaków.

*

Chłopczyk spoglądał szeroko otwartymi oczami na rysunki, znajdujące się w księdze, która spadła ze stołu. Rejestrował wszystkie okropne szczegóły – z każdą z naszkicowanych postaci stało się coś strasznego. Krew ściekała z nadgarstków, płomienie paliły ciało, twarz wykrzywił niemy krzyk. Obok rysunków znajdowały się też napisy, niektóre po polsku, inne po łacinie.

– „Ból, strach i cierpienie można przezwyciężyć” – przeczytał szeptem Janek. – „Jednakowoż potrzebna jest ku temu moc umysłu potężniejsza od tej, która rodzi się z ich powodu. Voluntas est tantum...”.

– Jak możesz myśleć o badaniach w takim momencie? – pytała dalej mama Janka. Głos jej się łamał. – Taka tragedia! Spłonął cały szpital! Nie tylko Sylwester, ale i pacjenci, personel... Mój Boże, spalili się żywcem...

Romuald Szymanowicki podszedł do żony i objął ją. Sam był roztrzęsiony i bliski załamania.

– A ty w tym czasie zakradasz się do domu Sylwestra – ciągnęła oskarżycielskim, bliskim płaczu tonem. – I kradniesz jego notatki!

– Nasze notatki! – krzyknął Romuald i zamiast przytulić żonę, potrząsnął nią gwałtownie. – Nasze! Mam do nich takie samo prawo jak on...

Kobieta rozplakała się, a gniew jej męża nagle gdzieś się ulotnił. Spojrzał na nią i wreszcie przytulił mocno.

– Przepraszam... – mruknął i wtulił twarz w jej włosy. – To wszystko to dla mnie zbyt wiele...

– No tak. – W głosie jego żony ponownie zabrzmiała irytacja i gniew. – To przecież ty jesteś ten biedny!

Spojrzała na syna.

– Co Janek czyta? – zapytała.

Romuald odwrócił się w stronę dziecka i zbladł, widząc otwarte notatki Sylwestra Sapiehy, nad którymi pochylał się chłopiec. Kilka książek musiało spaść podczas jego kłótni z żoną.

– Nie czytaj tego! – warknął i doskoczył do syna, łapiąc go za ramiona. – Rozumiesz?! Nigdy, przenigdy tego nie czytaj!

Janek patrzył na ojca przerażony. Nie wiedział, czy bardziej bać się tego, co zobaczył w księdze, czy furii ojca. Cały czas miał przed oczami krwawe rysunki, a jego myśli zaczęły wypełniać przerażające wyobrażenia tortur...

*

John Szymanowicki poruszył się na łóżku. Jego pomarszczone powieki zadrgały, tak jakby chciał je otworzyć, lecz nie był w stanie. Rejestratory stanu zdrowia pacjenta zanotowały zwiększone ciśnienie i przyspieszone tętno. Na razie jednak główny komputer ograniczył się do dalszego obserwowania, jako że odczyty nie informowały o stanie zagrażającym życiu.

Palce staruszka poruszyły się niespokojnie, a po chwili jego dłoń zacisnęła się, chwytając skraj prześcieradła.

– Dlaczego?... – jęknął cicho po polsku, choć już od wielu lat mówił wyłącznie po angielsku. – Dlaczego?...

*

Z niedowierzaniem spoglądał na notatki Sylwestra Sapiehy. Jak przez mgłę przypominał sobie, że jako dziecko widział już kilka rysunków pochodzących z jego zapisków, ale zawsze myślał o nich jako o fantasmagoriach zrodzonych w oparach szaleństwa. Jednakże to, co w tej chwili trzymał w dłoniach...

Zaciągnął się dymem z papierosa i zgasił go w popielniczce. Powoli zaczął sobie zdawać sprawę z wagi swojego odkrycia. Jan – choć od czasu emigracji do Stanów Zjednoczonych kazał mówić na siebie John – pokręcił głową z niedowierzaniem. Teraz dopiero zrozumiał, skąd tak naprawdę wzięły się niektóre z leków opatentowanych przez firmę jego ojca.

Moją firmę, poprawił się w myślach John i potarł palcami czoło. Kilka tygodni temu jego ojciec odszedł z tego świata i zostawił mu w spadku całkiem niezłe prosperujące przedsiębiorstwo produkujące leki – Romuald Szymanowicki Pharmacy. Przedsiębiorstwo o początkowo dość słabej pozycji na rynku było w stanie w

odpowiedniej chwili wyprodukować kilka wyjątkowych specyfików, dzięki którym – mimo olbrzymiej konkurencji – cały czas prosperowało.

I to przy tak paskudnej nazwie, dodał w myślach John. Już od długiego czasu namawiał ojca na jej zmianę, lecz ten był nieugięty. Teraz, kiedy to John został szefem, nic już nie stało na przeszkodzie, by tego dokonać. Procedura ruszyła i niedługo zamiast długiego i kompletnie nieczytelnego dla Amerykanów nazwiska na pigułkach i tabletkach znajdzie się nowe logo, przedstawiające sylwetkę konia otoczoną krótkim napisem „RS Pharm”.

Ale zmiana nazwy to nic w porównaniu z tym, co John właśnie odkrył. Badania Sylwestra Sapiehy były rewolucyjne i wyprzedzały swoje czasy co najmniej o kilkadziesiąt lat. Co więcej, Romuald zdołał wykorzystać tylko skromną część jego dokonań w dziedzinie medycyny, biologii, psychiatrii i psychologii, opisanych w kilkunastu księgach jego autorstwa, pełnych rycin i notatek. Materiały te do niedawna były zamknięte w sejfie, do którego dostęp miał tylko ojciec, a teraz, po jego śmierci, również John.

Mężczyzna wyciągnął z paczki kolejnego papierosa, zapalił go i zaciągnął się dymem. Odchylił się do tyłu na krześle i zapatrzył w sufit swojego gabinetu. Po chwili westchnął cicho i przeczesał włosy dłonią.

– Dlaczego nie wykorzystalesz wszystkich pomysłów Sapiehy, tato? – mruknął w zamyśleniu.

Być może część z nich była niemożliwa do zrealizowania z uwagi na ówczesny poziom techniki. A może Romuald nie chciał od razu wyciągać wszystkich asów z rękawa? Tyle że pomysłów i formuł było w tych notatkach tak wiele...

John sięgnął po kolejną książkę i zaczął przeglądać jej zawartość. Przebiegał wzrokiem po liniijkach równego, lekko pochylonego pisma. W pewnym momencie trafił na fragment, który przykuł jego uwagę. Papieros prawie wypadł mu z rozchylonych ust. Szybko cofnął się do początku i przeczytał wszystko jeszcze raz, dokładnie.

Odetchnął mocno, zamrugał i ponownie spojrzął na zapisane słowa. Po dłuższej chwili zdał sobie sprawę z tego, że zapomniał o papierosie, smętnie zwisającym na krawędzi warg, więc ostrożnie strzepnął z niego popiół, by uchronić cenny rękopis. Czy to, co przeczytał, to tylko brednie szaleńca, czy też ten fragment księgi Sapiehy rzeczywiście przekazywał prawdę o pożarze w szpitalu psychiatrycznym, w którym stracił życie autor pamiętnika? Choć należałoby raczej mówić o... rytuale odprawionym w szpitalu psychiatrycznym.

Nie, nie chciał w to uwierzyć. Potrząsnął głową i roześmiał się nerwowo. A jeśli? Do tej pory wszystkie notatki Sylwestra Sapiehy wydawały mu się bardzo spójne i logiczne. Z tej perspektywy opis rytuału pasowałby do reszty rozważań tego szalonego naukowca...

Nie, Sylwester Sapięha nie był szalony. Z pewnością był ekscentrykiem i wizjonerem, którego pomysły i wiedza wyprzedzały jego czasy, ale na pewno nie był szalony. Jak w takim razie traktować opis rytuału w szpitalu psychiatrycznym, w wyniku którego stracił życie?

*

Staruszek był coraz bardziej niespokojny. Nie minęło pół minuty, kiedy do środka pomieszczenia wkroczył wysoki, szpakowaty mężczyzna ubrany w drogi garnitur. Osobisty lekarz Szymanowickiego trzymał w ręku tablet, na którym miał pogląd na pełen obraz stanu zdrowia pacjenta. Kilka wykresów i liczb mówiło mu więcej na ten temat niż widok szepczącego po polsku staruszka.

Za lekarzem do pomieszczenia weszła młoda kobieta w białym kitlu. Pielęgniarka była potrzebna tylko w wypadku, gdyby wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Stała więc w rogu pomieszczenia i splotła dłonie za plecami, oczekując na dalsze polecenia.

Lekarz przyglądał się wykresom z zaszępionym wyrazem twarzy. Przez ostatnich kilka miesięcy wspinał się na wyżyny swoich umiejętności, mając do dyspozycji cały potencjał oficjalnych i nieoficjalnych leków firmowych RS Pharm, ale zdawał sobie sprawę z tego, że powoli przegrywa batalię o życie pacjenta. Szybko zmienił kilka ustawień i lekko zmodyfikował mieszankę, która trafiała do jego żył.

Staruszek lekko się uspokoił i zaczął mamrotać coś niezrozumiale.

*

Im więcej John Szymanowicki czytał o dokonaniach Sylwestra Sapięhy, im więcej jego pomysłów wdrażał w swojej firmie, tym bardziej był przekonany, że pożar w szpitalu psychiatrycznym nie był wypadkiem, lecz zaplanowanym rytuałem. Przeprowadzonym dokładnie według opisanych wytycznych.

Sapięha zdawał się być opętany myślą o nieśmiertelności i uważał, że kluczem do niej jest sam umysł i wola każdego człowieka. Jego celem było pokonanie ograniczeń, które powodowały, że człowiek nie był w stanie w pełni wykorzystać swojego potencjału. Uważał, że ciało ogranicza człowieka. Dlatego też jego badania nad lekami miały na celu nie tyle utrzymanie dobrego zdrowia, co raczej pozwolenie umysłowi i woli człowieka na nieskrępowany rozwój. Co ostatecznie miało doprowadzić do prawdziwej nieśmiertelności.

John nie do końca rozumiał tok myślenia Sapięhy. Mimo, że brzmiało to spójnie i sensownie, zbyt mocno przypominało ten cały ezoteryczny bełkot wszelkiej maści przewodników duchowych. I gdyby nie fakt, że były to twierdzenia Sylwestra Sapięhy, zapewne wyrzuciłby wszystko do kosza. Ale zbyt wiele już zarobił na tych

pomysłach i badaniach, by bagatelizować dokonania tego człowieka w każdej innej dziedzinie.

A kiedy po głębszym zbadaniu treści zapisków zdał sobie sprawę z tego, że pożar w szpitalu był tylko jedną z części rytuału, po której powinny nastąpić kolejne, zaczął odczuwać niepokój i lęk. Coraz częściej miewał przejmujące poczucie czyjejs obecności. Tak jakby Sylwester Sapieha nigdy nie odszedł, jakby naprawdę istniał, gdzieś tam, pochwycony pomiędzy dwoma światami, pomiędzy życiem i śmiercią. Istniał i nadal czekał na swoją szansę powrotu...

*

Lekarz odwrócił wzrok od tabletu, po czym przyjrzał się staruszkowi, swojemu wieloletniemu szefowi. John Szymanowicki leżał teraz nieruchomo, a jego oddech stał się płytki i urywany. Szpakowaty mężczyzna jeszcze raz spojrział na tablet smutnym wzrokiem. Przez ostatnią godzinę żonglował ustawieniami mieszanki, ale wskazania były coraz gorsze. Nawet użycie całej najnowszej technologii RS Pharm nie było w stanie zatrzymać tego procesu, co najwyżej mogło przedłużyć agonię pacjenta.

Zdawał sobie sprawę z tego, że według wszelkich prawideł sztuki lekarskiej John Szymanowicki powinien nie żyć już od bardzo długiego czasu. I że prawdopodobnie są to ostatnie chwile człowieka, który kierował firmą przez pięćdziesiąt lat i sprawił, że małe przedsiębiorstwo przeobraziło się w międzynarodową korporację.

*

John z niepokojem przyglądał się swojemu synowi. Nikt by nie przypuszczał, że ten wyglądający jak nastolatek chłopiec ma trzydzieści lat. Wszystko dzięki osiągnięciom RS Pharm w dziedzinie powstrzymywania starzenia się. Ten tajny program był dostępny tylko dla elity Stanów Zjednoczonych, dla ludzi, którzy nie stali w świetle jupiterów, unikali fleszy i reporterów, ale posiadali prawdziwe pieniądze i prawdziwą władzę.

Walter Szymanowicki nie musiał jednak płacić za te wyjątkowe kuracje ani grosza: od małości był karmiony zarówno odpowiednio przygotowanym jedzeniem, jak i medykamentami. Jego organizm został wzmocniony prawie pod każdym względem, ale to mu nie wystarczało. Regularne ćwiczenia spowodowały, że potrafił biec kilometrami bez śladu zadyszki, a gdy stanął do walki, łatwo mógł poradzić sobie z kilkoma większymi i silniejszymi od siebie przeciwnikami. Przede wszystkim jednak miał o wiele bardziej wyczulone zmysły niż jego rówieśnicy. Przekładało się to na świetne wyniki w strzelaniu i umiejętność radzenia sobie w zaskakujących sytuacjach. Walter potrafił działać błyskawicznie i zdecydowanie. Co więcej, był także ponadprzeciętnie inteligentny. Bardzo szybko się uczył i miał

świątą pamięć. Płynnie władał pięcioma językami, w tym polskim i japońskim, kolejne sześć w pełni rozumiał, chociaż miałyby problem z komunikacją. Interesował się różnorodnymi zagadnieniami, a jeśli coś przyciągnęło jego uwagę, zawsze starał się poznać temat dogłębnie i od praktycznej strony.

Ostatnio jednak zainteresował się okultyzmem i to właśnie ten fakt tak niepokoił Johna.

– Nie widzę nic złego w chęci powiększenia swoich możliwości umysłowych – powiedział mu poważnym tonem Walter. – Każdym sposobem. Moje praktyki mają mi tylko pomóc podczas wspinania się na szczyt, ojcze. To narzędzie, a nie cel sam w sobie.

– Powiedziałem: nie! – warknął John, po czym zaczął gwałtownie kaszleć. Zasłonił usta dłonią, w której nadal trzymał palącego się papierosa i próbował powstrzymać atak duszności. Z oczu pociekły mu łzy, a nos natychmiast się zapchał.

Korzystając z okazji, że ojciec nie może mówić, Walter kontynuował: – Dobrze wiem, że chowasz gdzieś notatki Sylwestra Sapiehy. Trochę czytałem na jego temat i wiem, że mówi się o nim jako o polskim Aleisterze Crowleyu. Umieram z ciekawości, tato. Skoro miał tyle pomysłów z dziedziny medycyny czy psychiatrii, to musiał też próbować niesamowitych rzeczy w okultyzmie, ezoteryce czy parapsychologii. Naprawdę muszę zobaczyć te notatki!

John powoli uspokajał się, wreszcie chrząknął i zachrypniętym głosem odpowiedział gniewnie: – Nigdy!

*

Wzrok doktora przemykał po wykresach i cyfrach. Coraz częściej trzeba było zmieniać dawkowanie leków, ale odczyty parametrów życiowych Johna Szymanowickiego były coraz gorsze. Palce doktora zawisły w powietrzu, nie dotknęły jednak ekranu tabletu. Lekarz westchnął ciężko i opuścił dłoń.

Po chwili jego wzrok napotkał pytające spojrzenie stojącej obok pielęgniarki. Doktor pokręcił smutno głową. Kobieta zrozumiała – czekali już tylko na nieuniknione.

*

John siedział na fotelu, a nogi miał przykryte grubym kocem. Zakaszał gwałtownie i przyłożył do ust chusteczkę. Po chwili odetchnął głębiej. Kiedy przekonał się, że atak się skończył, odłożył szmatkę na kolana, obok księgi z zapiskami Sylwestra Sapiehy. Pozostałe woluminy leżały jeden na drugim, tuż przy nodze fotela.

Staruszek musnął dłonią okładkę i drgnął. Spoglądając na ogień płonący w kominku pogładził delikatnie grzbiet książki, po czym otworzył na wybranej losowo stronie. Spojrzał na ilustracje i skrzywił się. Przypomniawszy sobie nagle obrazy, które widział dawno temu, jako dziewięciolatek – to były te same rysunki. Smutnym wzrokiem przebiegł po wyobrażeniach okrutnych cierpień i położył dłoń na obrazkach. Ponownie przeniósł wzrok na ogień i wpatrując się w płomienie zacisnął palce, powoli gniotąc trzymaną w dłoni kartkę. Kiedy był bliski wyrwania jej i wrzucenia do kominka, zatrzymał się i zamknął oczy. Oddychał ciężko i głęboko. Wreszcie zgarbił się i rozluźnił dłoń.

Zdał sobie sprawę z tego, że po prostu nie jest w stanie zniszczyć notatek z badań Sylwestra Sapielki. Prawdę powiedziawszy, obawiał się tego, co się w nich znajduje. I oczywiście tego, co zrobi z tym Walter. Mimo tych obaw nie potrafił spalić ksiąg. Było w nich bowiem ukryte więcej dobrodziejstw niż niebezpieczeństw.

John westchnął ciężko i zamknął księgę. Zamiast zniszczyć zapiski zabrał się za pisanie listu do swojego syna. Postanowił, że przynajmniej postara się go ostrzec i w jakiś sposób przygotować na to, co może go czekać podczas lektury. Miał szczerą nadzieję, że postępuje słusznie.

*

Lekarz spoglądał w zadumie na ledwie drgające wskaźniki na swoim tablecie. Z ponurą fascynacją obserwował proces umierania, przełożony na język dynamicznie zmieniających się wykresów i cyfr. Wreszcie komunikaty alarmowe zniknęły, ekran uspokoił się, a ciche, charakterystycznie brzmiące buczenie wskazywało na zatrzymanie akcji serca.

– Czas zgonu – powiedział lekarz, spoglądając na cyferblat swojego roleksa – dziesiąta szesnaście.

Wpisał na tablecie kilka dodatkowych szczegółów do swojego raportu, zanotował imię i nazwisko świadka zgonu, po czym przeniósł wzrok na ciało staruszka.

Nagle zdał sobie sprawę, że przez ostatnią godzinę spoglądał tylko na ekran, a nie na swojego pacjenta. I choć znajome wydawały mu się obrazy odczytów, twarz Johna Szymanowickiego była mu teraz całkiem obca. To wrażenie skłoniło go do refleksji na temat przedmiotowego traktowania człowieka przez medycynę. Gdzieś we wnętrzu drgnął, kiedy przypomniał sobie swoje zaangażowanie z czasów, kiedy dopiero skończył studia, poczucie misji i chęć niesienia pomocy potrzebującym. Refleksje zakończył truizmem, że po pewnym czasie dla każdego lekarza pacjenci stają się tylko kolejnymi przypadkami, co miało zagłuszyć doznane właśnie odczucie przykrości i zdusić w zarodku wyrzuty sumienia. Westchnął cicho, po czym wzruszył ramionami.

Beznamiętnie zatwierdził swój raport i kierując się w stronę drzwi rzucił do pielęgniarki: – Chodźmy, nasza praca tutaj została zakończona.

*

Na środku wielkiej sali treningowej stał Walter Szymanowicki. Wyglądał na atletycznie zbudowanego dwudziestolatka, choć w rzeczywistości zbliżał się do czterdziestki. Był spocony po długich ćwiczeniach, ale nie sprawiał wrażenia zmęczonego. Jego oczy nadal patrzyły przytomnie, czał się w nich błysk przewrotnego rozbawienia. Być może powodem jego dobrego humoru było to, że czterej stojący naprzeciwko niego i uzbrojeni w pałki sparingpartnerzy wahali się przed atakiem. Mimo ich przewagi liczebnej Walter był spokojny i roztaczał wokół aurę pewności siebie. Za to w spojrzeniu jego przeciwników widać było nie tylko respekt, ale także obawę. Dobrze wiedzieli, co się zaraz stanie, przerabiali ten scenariusz już dziesiątki razy.

Ruszyli w tym samym momencie. Mężczyzna stojący najbliżej Waltera zaatakował gwałtownie, próbując wytrącić go z równowagi i zająć tak, by pozostali mieli szansę powodzenia. Grad ciosów jednak nigdy nie sięgał celu, Szymanowicki za każdym razem usuwał się z drogi nadlatującej pałki. Było coś nonszalanckiego w jego ruchach, tak jakby to on był drapieżnikiem w walce i właśnie bawił się swoją ofiarą niczym kot z myszą. Kiedy zauważył, że trzech przeciwników ustawiło się dookoła niego, szybko chwycił dłoń tego, który zaatakował jako pierwszy i płynnym ruchem odebrał mu broń, jednocześnie precyzyjnym pchnięciem wytrącając go z równowagi. Sekwencję zakończył krótkim uderzeniem pałki w głowę, po którym tamten przewrócił się i znieruchomiał.

I dopiero wtedy rozpoczęła się prawdziwa walka. Trzech sparingpartnerów zaatakowało z trzech różnych stron. Nawet prawdziwy mistrz walki miałby problem w takiej sytuacji, jednak Walter wyglądał tak, jakby dobrze się bawił. Jego ruchy były błyskawiczne i dokładne. Tym razem nie było w nich żadnego lekceważenia, tylko maksymalne wykorzystanie energii, siły i warunków fizycznych. Pałki unosiły się i opadały, a Szymanowicki unikał ich bądź w ostatniej chwili blokował własną bronią. Przeciwnicy jednak nie ograniczali się tylko do walki za pomocą powleczonych gumą rur, ale używali również pięści i nóg. Na nic jednak zdały się ich ataki, Walter stał w samym środku i uwijał się jak w ukropie. Był praktycznie nietykalny.

Leżący na macie mężczyzna otrząsnął się i widząc, jak wygląda sytuacja, szybko dołączył do atakujących. W jego umyśle tliła się nadzieja, że może tym razem uda im się pokonać szefa.

Tempo walki jeszcze wzrosło, a Walter, zamiast się martwić, zaczął się uśmiechać. Czuł rozpiekającą go energię i jeszcze coś więcej. Działał instynktownie, reagując

dokładnie tak, jak powinien, i w odpowiednim czasie. Jego działania były tak szybkie, że wydawało się, jakby wyprzedzał ataki swoich przeciwników. Zanim pałka jednego z nich zbliżyła się do niego, on już wznosił swoją do bloku. Zanim ktoś inny zaczął wyprowadzać kopniak, Walter już wykonywał krok, by usunąć się z drogi. Był o ułamek sekundy przed nimi.

I wykorzystał to z brutalną efektywnością.

Po kilkunastu kolejnych sekundach nierównej walki wszyscy czterej sparingpartnerzy Waltera Szymanowickiego leżeli na macie nieruchomi bądź zwijający się z bólu.

Jedyny nadal stojący mężczyzna oddychał ciężko, a jego twarz rozjaśniał szeroki uśmiech. Lata badań, medytacji, ćwiczeń umysłu i eksperymentalnych technologii wreszcie zaczynały przynosić efekty. Wiedział, że na razie potrafi przewidywać ruchy przeciwników tylko na chwilę przed ich wykonaniem i tylko w stanie tego charakterystycznego fizycznego uniesienia, podobnego do ekstazy derwiszy.

Był to jednak obiecujący początek.

Rozdział 2

Ewa Makuszevska skończyła pracę kilkanaście minut temu, ale nadal siedziała na swoim miejscu w biurze firmy Business Solutions & Development, częściowo schowana za wysokim biurkiem. Przeglądała właśnie portal aukcyjny w poszukiwaniu najnowszej książki Petera J. Carrolla na temat magii chaosu. Koniuszki jej palców, z pomalowanymi na czarno paznokciami, prześliznęły się po klawiaturze, wpisując imię i nazwisko autora. Zaczęła przesuwac w dół listę wyników, przyglądając się kolejnym ofertom.

Lekarze oczywiście odradzali jej zainteresowanie taką tematyką, podobnie jak cymkolwiek, co jej umysł mógłby powiązać z tragicznymi wydarzeniami w domu Sapiehy. Równowaga psychiczna Ewy nadal była zachwiana po tamtych traumatycznych doświadczeniach. Dziewczyna nie miała zamiaru rezygnować ze swoich nowych zainteresowań. Poza tym już od dawna nie miała żadnych halucynacji czy majaków. Ba! Nawet koszmary się skończyły.

– A ty jeszcze w pracy, Ewuś? – Charakterystyczny, wysoki i lekko zachrypnięty głos Katarzyny Lewczuk wyrwał Ewę z rozmyślań. – Robisz nadgodziny?

Kasia zawsze mówiła głośno i lekko podniesionym głosem, tak jakby za chwilę miała oskarżyć swojego rozmówcę o jakieś przewinienie. Dodawała do tej mieszanki jeszcze odrobinę wyraźniej wyczuwalnej ironii, jakby mówiła z pozycji kogoś, kto posiada ogromną wiedzę i zna całą prawdę. Prawdę, którą gotowa była rzucić komuś w twarz, gdyby tylko dana osoba zrobiła coś, co mogłoby się jej nie spodobać.

Ewa uśmiechnęła się z wysiłkiem do starszej koleżanki, przyglądając się jej charakterystycznej, pociągłej twarzy o ostrych rysach i długim nosie. I mimo że Kasię upiększał starannie nałożony makijaż, a blond włosy miała zawsze ułożone, tak jakby przed chwilą wyszła od fryzjera, coś w jej wyglądzie przywoływało na myśl skojarzenie ze starą wiedźmą z domku na kurzej łapie, próbującej słodyczą i pochlebstwami omamić swoje ofiary, by wciągnąć je w pułapkę.

– Właśnie się zbieram. – Ewa starała się, by jej głos brzmiał swobodnie i żartobliwie.

Kasia zmierzała już w stronę wyjścia, ale podeszła jeszcze do charakterystycznego, białego biurka, za którym siedziała Ewa.

– Zawsze tak punktualnie wychodzisz – powiedziała. – Szesnasta i już cię nie ma. A dzisiaj proszę – prawie dwadzieścia po, a Ewuś jeszcze pracuje.

– Taki wyjątek od reguły – odparła dziewczyna, minimalizując na wszelki wypadek okno przeglądarki. Już teraz miała opinię osoby izolującej się, która słucha

dziwnej muzyki i ubiera się tylko na czarno, nie chciała więc pogarszać swojej sytuacji. Zdawała sobie sprawę z tego, że to, co usłyszy Kasia, w krótkim czasie zostaje przekazane dalej, i to praktycznie do każdej osoby z działu serwisu informatycznego. Przekonała się już wielokrotnie, że kiedy pracuje się w korporacji, dobre lub w ostateczności poprawne stosunki z pozostałymi współpracownikami są bardzo istotne. A w pewnych sytuacjach nawet ważniejsze niż realne umiejętności i doświadczenie zawodowe.

– Uważaj, bo się przepracujesz – roześmiała się Kasia, jak zwykle tak głośno, by było ją sływać w najodleglejszym krańcu sali.

Nadal stała przy biurku, co zastanowiło Ewę, zwykle bowiem rzucała krótkie „cześć” i szybkim krokiem wychodziła na główny korytarz biurowca, sprawiając wrażenie, że nieustannie się gdzieś spieszy. Kiedy jednak blondynka oparła się łokciem o półkę w charakterystycznym geście, Ewa wiedziała już dokładnie, o co chodzi.

– Fajny płaszcz – powiedziała, przyglądając się jej zielonkawemu trenczowi. – Nowy?

Zapytana rozpromieniła się, odsunęła kawałek od biurka i obróciła wokół własnej osi.

– Ładny, prawda? – odpowiedziała z uśmiechem i przybrała pozę niczym modelka na wybiegu, po czym poprawiła włosy. – Dostałam od mojego Karolka. Zobacz, oryginalny, z Marrini!

Ewa nie mogła nie zauważyć charakterystycznego znaczka jednej z droższych marek odzieżowych na przytkniętym jej praktycznie pod nos rękawie płaszcza.

– No faktycznie – potwierdziła, siląc się na podziw. – Pewnie dużo kosztował.

– To nie są tanie rzeczy – odparła coraz bardziej zadowolona Kasia, poprawiając na sobie płaszcz. – Nie każdy może sobie na nie pozwolić. Ale wiesz, że razem z Karolkiem prowadzimy firmę, więc nie było problemu. Wyobraź sobie, że wracam do domu, a tam taki prezent! Myślałam już nawet, że zapomniał o moich imieninach! Ale nie!

– Cudowny prezent – powiedziała Ewa, uśmiechając się do koleżanki.

– No nic, to lecę – rzuciła jej na odchodne koleżanka. – Do jutra!

Ewa ostatkiem sił powstrzymała się, by nie odetchnąć z ulgą, podczas gdy Kasia obróciła się na pięcie i szybkim krokiem wymaszerowała na korytarz. Dopiero wtedy dziewczyna pozwoliła sobie na ciche westchnienie. Rozluźniła się i wygodniej usiadła na obrotowym krześle.

Przywróciła okno przeglądarki i ponownie przyjrzała się liście książek. Po chwili wybrała najtańszą ofertę i złożyła zamówienie. Potwierdziła zakup i doszła do wniosku, że przelew zrobi, kiedy wróci do domu – nie miała ochoty spędzać w biurze więcej czasu, niż było to konieczne. Firma Business Solutions & Development źle jej

się kojarzyła, przede wszystkim za sprawą pracowników – jej zdaniem – zbyt entuzjastycznie uczestniczących w wyścigu szczurów. Katarzyna Lewczuk była tylko jednym z wielu barwnych okazów uosabiających wszechobecną tu hipokryzję, butę i zawiść. Oczywiście wśród pracowników zdarzały się osoby, z którymi można było swobodnie porozmawiać, bez obawy, że to, co się powie, będzie miało wpływ na czyjaś karierę. Takie wyjątki jednak należały do rzadkości.

Ewa wyłączyła komputer, odchyliła się na krześle w oczekiwaniu na zamknięcie systemu i spojrzała w sufit. Open space oświetlona była przy pomocy jasnych lamp, umieszczonych pomiędzy kasetonami. Białe ściany nadawały pomieszczeniu klimat szpitalnej sali. O tej godzinie było już całkiem cicho, ale zwykle w ciągu dnia kilkadziesiąt pracujących osób generowało charakterystyczny, jednostajny szum, a całe biuro wypełniał monotony dźwięk uderzania w klawisze. Ceniła ten spokój, kiedy większość pracowników opuściła siedzibę firmy, a za oknami robiło się już ciemno. To właśnie najbardziej lubiła we wczesnych jesiennych wieczorach: kiedy wychodziła z biurowca, miała wrażenie, że wkracza w inny, tajemniczy świat. W rzeczywistość, w której nie liczyło się to, czego można było dotknąć, ale to, co dało się odczuć. Zdawała sobie sprawę z tego, że stąpa po cienkiej granicy, odrzucając metafizykę, by utrzymać zdrowe zmysły, a jednocześnie tęskniąc za nadprzyrodzonymi doświadczeniami, bojąc się nieznanych zjawisk i fascynując nimi w tym samym momencie.

Kiedy komputer zamilkł, Ewa wyłączyła monitor i ociężale wstała miejsca. Wyprostowała się i rozluźniła ramiona. Kiedy pracowała jako nauczycielka, była w ciągłym ruchu. Biegając między piętrami czy też przemykając w pośpiechu po szkole, zwyczajnie nie miała okazji tkwić w jednej pozycji przez dłuższy czas. Tymczasem w obecnej pracy siedzenie w bezruchu przez całe osiem godzin było normą. A kiedy Ewa skupiała się na szybkim wykonywaniu kolejnych zadań, jej ciało napinało się, co po jakimś czasie powodowało charakterystyczny ból pleców i karku.

Przymknęła oczy i westchnęła cicho. Wreszcie zebrała się w sobie i schyliła po plecak. Trzymając go w garści, podeszła do wieszaka, szybko zarzuciła na siebie czarną kurtkę, po czym skierowała się do wyjścia.

– Cześć wszystkim! – powiedziała na odchodne. Odpowiedziało jej kilka apatycznych głosów. Niektórzy, nadal pogrążeni w pracy, ślęczeli przed monitorami, nadrabiając zaległości czy też próbując sobie poradzić z niemogącymi czekać problemami.

Wyszła na korytarz, minęła zamknięty już o tej godzinie sekretariat, aż wreszcie znalazła się w przestronnym holu biurowca. Jej wzrok prześlizgnął się po drzwiach, na których widniały oznaczenia ewakuacyjne. Przez chwilę pomyślała, że chyba nawet nie wie, jak wygląda klatka schodowa prowadząca na sam dół. Nigdy nie widziała, by ktoś z niej korzystał, nawet taki sportowiec-amator jak dyrektor działu serwisu

informatycznego Marcin Sakiewka. Ale nie można się było temu dziwić, jako że pomieszczenie, w którym pracowała Ewa, znajdowało się na dwunastym piętrze biurowca i trudno było wymagać od kogokolwiek wspinaczki schodami na taką wysokość. Wyjście ewakuacyjne pozostawało więc nadal tajemnicą, co w umyśle Ewy uruchomiło różne fantastyczne wizje. I mimo że wystarczyło tylko podejść i otworzyć drzwi, nigdy tego nie zrobiła, pozwalając, by tajemnicza klatka schodowa dodała choć trochę magii miejscu, które zwykle działało jej na nerwy.

Mimo że w holu znajdowały się dwie windy, rankiem zawsze trudno było się dostać do biura. Na parterze ustawiał się cały tłum, dlatego niektórzy mieli w zwyczaju pojawiać się w pracy o mniej typowych godzinach. Tymczasem teraz, po szesnastej, na korytarzu nie było nikogo i obie windy stały w miejscu, zawieszane gdzieś na piętrach. Ewa podeszła do ściany i nacisnęła przycisk, po czym cofnęła się o krok i wbiła spojrzenie w ekran przedstawiający kolejne zmieniające się cyfry. Nigdy nie rozumiała, dlaczego niektórzy naciskali jednocześnie oba przyciski. Jaka różnica, czy wyjdzie się z budynku pół minuty wcześniej, czy później?

Cyfry wskazujące, gdzie w danym momencie znajduje się winda, zatrzymały się na dwunastce, po czym rozległ się charakterystyczny brzdęk. Drzwi rozsunęły się, ukazując wnętrze przestronnej kabiny. Umieszczone na jej ścianach lustra powodowały, że wydawała się większa niż w rzeczywistości.

Ewa przekroczyła próg, jak zawsze przy tej okazji irracjonalnie zastanawiając się, co by się stało, gdyby winda nagle się zerwała. Czy gdyby ona sama znalazła się jedną nogą w środku, a częściowo na zewnątrz, jej ciało zostałoby przepołowione? Czy może zdążyłaby umknąć z powrotem na korytarz?

Odegnęła od siebie wizje katastrofy i nacisnęła przycisk z literą „P”. Dobrze wiedziała że współczesne zabezpieczenia w praktyce uniemożliwiają wystąpienie takich sytuacji, co jednak wcale jej nie uspokajało.

Podeszła dwa kroki dalej i pochyliła się w stronę lustra. Przyjrzała się swojej drobnej postaci i sympatycznie zaokrąglonej twarzy. Jej brązowe oczy były lekko zaczerwienione po ośmiu godzinach pracy przy komputerze. Dłonią poprawiała farbowane na mahoniowo włosy i strzepnęła paproch z czarnego, obcisłego golfu. Jeszcze raz obrzuciła wzrokiem całą swoją sylwetkę i pomyślała z melancholią o tym, jak bardzo można się zmienić w tak krótkim czasie. Z wesołej blondyneczki przeistoczyła się w poważną ciemnowłosą osobę, słuchającą mrocznej muzyki.

Kiedy stała naprzeciwko lustra, drzwi zaczęły się zasuwać. I gdy pozostała jedynie wąska szczelina, Ewa na moment ujrzała w lustrze windy odbicie stojącego na korytarzu mężczyzny. Był to widok tak zaskakujący i przejmujący, że kobieta gwałtownie zaczerpnęła powietrza. Ujrzała bowiem człowieka w płaszczu, z wysokim melonikiem na głowie i charakterystycznie zawiniętymi do góry wąsikami. Stał spokojnie przodem do kabiny windy, opierając się na eleganckiej lasce z ciemnego

drewna ze zdobionym uchwytem. Jego ostre rysy twarzy i intensywne spojrzenie chłodnych oczu nie pozostawiały miejsca na wątpliwości – ujrzała Sylwestra Sapiehę!

Błyskawicznie odwróciła się, ale drzwi już się zamknęły. Zaczęła szybko uderzać w przycisk otwierania, mając nadzieję, że winda nie ruszy w dół. Po chwili drzwi rozsunęły się, ale Ewa ujrzała tylko pusty główny hol. Wyszła z kabiny i rozejrzała się dokoła – nikogo w pobliżu nie było.

Przymknęła oczy i starała się uspokoić bijące szaleńczo serce. Była przekonana, że wreszcie poradziła sobie z koszmarem, w którym tkwiła przez ponad rok po wydarzeniach w opuszczonym domu Sylwestra Sapiehy. Wyglądało jednak na to, że omamy powróciły. Przez długi czas była jednak wolna od majaków, więc może to był pojedynczy przypadek? Coś jak flashback u osób, które przestały zażywać narkotyki? Jedno było dla Ewy pewne: skoro już raz poradziła sobie ze swoim szwankującym umysłem, uda jej się to ponownie.

Mimowolnie zaczęła rozmyślać o tym, co się wydarzyło blisko dwa lata wcześniej. Przypomniła sobie eksperymenty w opuszczonym budynku, pasję doktora Żmudowicza, która powoli zamieniała się w obsesję, tajemnicze wydarzenia i wreszcie śmierć Rafała oraz objawienie się nadnaturalnej potęgi domu Sapiehy. Jednakże najbardziej w pamięci Ewy utkwiał obraz świetlistej postaci, widma sprowadzonego wraz z ostatnim tchnieniem doktora. Zamazana twarz, zastygła w wyrazie niemej rozpacz, kiedy niewidzialna siła wciągnęła Rafała do ziejącego nienawiścią budynku.

Ewa z ulgą przyjęła informację o zburzeniu domu Sylwestra Sapiehy – władze miasta uznały, że budynek skupia na sobie zbyt wiele niezdrowego zainteresowania. Podobno zaczęły się tam odbywać spotkania tajemniczych grup i szukających dreszczyku emocji nastolatków. Wiadomo było, że w każdej chwili może się zdarzyć kolejna tragedia. Oczywiście, w świątku ludzi zainteresowanych ezoteryką zawrzało, lecz władze sugestią odrestaurowania budynku i uczynienia z niego atrakcji turystycznej zignorowały, tłumacząc, że nie posiadają na to odpowiednich funduszy. Jednak na ekipę rozbiórkową pieniądze znalazły się natychmiast. Ktoś nawet próbował zrobić w sieci akcję protestacyjną przeciw zniszczeniu budynku, ale w zapowiedzianym dniu nikt nie pojawił się na miejscu prac – nawet sam organizator.

Dziewczyna potrząsnęła głową, odganiając od siebie te myśli. Winda wciąż jeszcze stała na dwunastym piętrze, więc kiedy tylko Ewa nacisnęła guzik, drzwi rozsunęły się. Przekroczyła próg kabiny, wybrała parter i odwróciła się przodem do korytarza, rozglądając się wokół, kiedy drzwi się zamykały. Odetchnęła cicho, kiedy tym razem nie zauważyła nikogo.

Cofnęła się o krok, oparła ręką o poręcz i wbiła spojrzenie w mały ekranik wyświetlający kolejne piętra.

Pamiętała, że długo trwało, zanim doszła do siebie po tym, co wydarzyło się w

opuszczonym domu Sapiehy. Miesiące koszmarów, nieprzespanych nocy, zażywania leków, terapii i krańcowego wyczerpania. Jednak to utrata pracy w szkole zabolą ją najbardziej. Musiała także zmienić krąg znajomych, bo wcześniejsi przyjaciele odwrócili się od niej. Przeszkadzało im, że widziała rzeczy, które nie istniały i reagowała na nie. Ewie jednak udało się pozbierać i był to chyba największy sukces w jej życiu.

Charakterystyczny brzdęk oznajmił dotarcie do celu. Drzwi windy rozsunęły się i Ewa wyszła na korytarz. Skręciła na prawo i szybkim krokiem podążyła w stronę wyjścia. Minęła recepcję i zajętego własnymi sprawami recepcjonistę, po czym opuściła wysoki biurowiec, wychodząc na zewnątrz.

Na Fordońskiej powiało chłodem jesieni i wilgocią – jeszcze przed chwilą padał deszcz, lecz teraz w rześkim powietrzu rozchodziło się światło ulicznych latarni, odbijające się refleksiem w kałużach, którymi usiane były chodniki i mokre stopnie przed wejściem. Ewa zbiegła z nich lekkim krokiem. Zawsze dziwił ją ten nagły skok wigoru zaraz po zakończeniu pracy. Zwykle krótko przed szesnastą miała wrażenie, że każda poważniejsza czynność jest ponad jej siły, natomiast gdy tylko opuszczała budynek firmy, odczuwała zastrzyk energii.

Zmierzając w stronę przystanku autobusowego, Ewa cieszyła się, że przebudowa Fordońskiej ze względu na otwarcie IKE-i już dawno się zakończyła. Co prawda pracując w Business Solutions & Development zdążyła się jeszcze załapać na utrudnienia w ruchu spowodowane budową linii tramwajowej do Fordonu, ale nie były one szczególnie uciążliwe.

Rozmyślenia Ewy przerwało wibrowanie telefonu – ktoś do niej dzwonił. Wyciągnęła aparat z wewnętrznej strony kurtki, spojrzęła na wyświetlacz i uśmiechnęła się ciepło. Jacek Pastuszek. Ewa zaprzyjaźniła się z tym cichym chłopcem, który razem z nią uczestniczył w feralnym eksperymencie.

– Halo? – zapytała wesołym tonem.

– Cześć, Ewa – powiedział Jacek jak zwykle spokojnym tonem, choć dało się w nim usłyszeć nutki podekscytowania. – Nie przeszkadzam?

Dziewczyna uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Jacek każdą rozmowę telefoniczną rozpoczynał w ten sposób, to była jego mantra. Zawsze chciało jej się śmiać, kiedy słyszała to pytanie, bo przecież gdyby przeszkadzał, to zwyczajnie nacisnęłaby czerwoną słuchawkę.

– Cześć, Jacek – powiedziała, zwalniając kroku. – Nie, nie przeszkadzasz. Co słychać?

– Nie uwierzysz! – W głosie chłopaka dało się usłyszeć prawdziwe przejęcie.

– Co się stało? – Ewa zatrzymała się, całkowicie skupiając na rozmowie.

– Ktoś ukradł z siedziby klubu pamiątnik Sapiehy! – powiedział jednym tchem.

Ewa przypominała sobie, że odnaleziony w opuszczonym budynku dziennik trafił w

ręce Wiktora Tokarzewskiego, weterana bydgoskiego fandomu i szefa Klubu Miłośników Fantastyki Meteor. Wiktor obiecał zeskanować i udostępnić wolumin. Do tej pory jednak nie udało się tego zrobić, a sam pamiętnik leżał sobie spokojnie zamknięty na klucz w szafce jednego z Młodzieżowych Domów Kultury.

– Może ktoś z klubu go sobie pożyczył? – wyraziła swoje przypuszczenie Ewa.

– Co ty – odparł podniesionym głosem Jacek. – Wiktor pilnował go jak oka w głowie i nikomu nie pozwolił go nawet dotknąć.

Po wydarzeniach w domu Sapiehy Jacek dołączył do klubu prowadzonego przez Wiktora, gdzie szybko stał się kimś w rodzaju bohatera, kogoś, kto miał prawdziwe, przerażające doświadczenia z siłami nadnaturalnymi i wyszedł z nich obronną ręką. Podczas gdy piętno tych przeżyć spowodowało, że Ewa stała się bardziej zamknięta w sobie, dla Jacka okazały się być swego rodzaju przełomem. Z nieśmiałego samotnika stał się duszą towarzystwa.

– Poza tym – kontynuował – to było prawdziwe włamanie! Ktoś dostał się w nocy do środka budynku, zdemolował naszą salę, wyłamał drzwi szafki i zabrał dziennik.

– A udało się go chociaż zeskanować? – zainteresowała się Ewa.

– Nie – odrzekł chłopak i wyraźnie posmutniał. – Ktoś zawsze się deklarował, że to zrobi, ale Wiktor był bardzo ostrożny. Wiesz, dziennik jest dość kruchy, więc podczas skanowania można by go łatwo uszkodzić. Nie mamy więc nawet fragmentu.

– O kurczę, zgłosiliście to na policję? – Ewa się zasepiła.

– My nie, bo sprawą zajął się już dyrektor MDK- – odparł Jacek, po czym dodał z rezygnacją: – Oczywiście nikt nic nie widział ani nie słyszał. Obawiam się, że wolumin po prostu przepadł...

Pokiwała smutno głową, wiedząc przecież, jak najczęściej kończą się tego typu sprawy. Jeśli przestępca nie był głupi albo już wcześniej nie znajdował się pod obserwacją policji, najczęściej nie zostawał złapany. Tym bardziej że dziennik Sylwestra Sapiehy to bardzo łakomy kąsek dla miłośników ezoteryki i okultyzmu, więc pewnie była to kradzież na zlecenie i wolumin trafił do czyjejś prywatnej kolekcji.

– Wielka szkoda – powiedziała z prawdziwym żalem, a jednocześnie w jej głowie zaświtała nagła myśl, że doświadczyła właśnie fenomenu synchronicznej rzeczywistości: zaskakującego splotu powiązanych okoliczności. Przez długi czas nawet nie myślała o tym, co się stało dwa lata temu, aż tu nagle jednego dnia zwiduje się jej na korytarzu Sapieha, a jednocześnie przychodzi wiadomość, że jego dziennik został skradziony. – Musiały tam być naprawdę ciekawe rzeczy...

– No ba! – odpowiedział Jacek, po czym zamilkł na chwilę. – Pomyślałem sobie, że chciałabyś wiedzieć, ze względu na... na to, co się kiedyś stało.

– Mhm – mruknęła Ewa, tak jakby nie była pewna, czy jakiegokolwiek słowa przejdą jej przez nagle ściśnięte gardło. Zdziwił ją ten gwałtowny przyływ emocji. Musiała

odchrząknąć, po czym powiedziała: – Dzięki, Jacek. Mam nadzieję, że dziennik się odnajdzie.

– No, ja też – powiedział chłopak bez entuzjazmu i jakby po zastanowieniu dodał: – Słuchaj, może wyskoczylibyśmy gdzieś pogadać? Jakieś piwko czy coś?

Ewie od razu poprawił się humor.

– Z miłą chęcią – powiedziała radośnie. – Nawet znam takie jedno ciekawe miejsce. Pub Merlin, kojarzysz?

– Czy ja kojarzę Merlina?! – Jacek roześmiał się tak głośno, że w słuchawce aż zaskrzeczało. – To moje ulubione miejsce w Bydgoszczy!

– No to świetnie. – Ewa zdziwiła się, że ten wcześniej zamknięty w sobie chłopak tak bardzo zmienił się w ciągu ostatnich dwóch lat. – To może spotkajmy się tam w piątek. Powiedzmy... koło osiemnastej?

– Nie ma problemu – potwierdził. – Będę na pewno.

*

Walter Szymanowicki spoglądał na porośnięte trawą miejsce, w którym jeszcze do niedawna znajdował się dom Sylwestra Sapiehy. Stał z rękami w kieszeniach płaszcza, a na jego poważnej twarzy malował się wyraz melancholii. Jego wygląd dwudziestolatka nadal zadziwiał znajomych, a wszystko to za sprawą najnowszych osiągnięć w medycynie i farmakologii firmy RS Pharm, której od kilku lat był właścicielem.

Drogi zegarek na jego lewym nadgarstku wydał kilka cichych dźwięków. Walter włożył rękę do wewnętrznej kieszeni i wyjął stamtąd małą plastikową buteleczkę. Odkręcił wieczko i delikatnie wysypał na dłoń jedną małą tabletkę, po czym szybkim gestem wrzucił ją sobie do ust i połknął. Żeby utrzymać organizm w szczytowej formie i powstrzymać efekt starzenia, musiał regularnie przyjmować suplementy i jeść specjalnie spreparowaną żywność. Nie była to jednak szczególnie wysoka cena za znaczące przedłużenie życia, które – jeśli dobrze pójdzie i nie zakończy go jakiś wypadek – będzie trwało co najmniej sto pięćdziesiąt, a może nawet dwieście lat.

Mężczyzna spojrział w górę, na niebo zasnute szarymi chmurami, i przymknął oczy. Odetchnął głęboko chłodnym, wilgotnym powietrzem i pomyślał, że powrót do kraju, z którego pochodziła jego rodzina, to dziwne uczucie. Jednakże jeszcze dziwniej było znaleźć się w miejscu, z którego miała swój początek cała oparta na odkryciach naukowych potęga RS Pharm. Dom Sapiehy był dla Waltera czymś w rodzaju świętego sanktuarium. W przeciwieństwie do swojego ojca oraz dziadka nie obawiał się tego, co znajdowało się w zamkniętym na klucz notesie. Był zainteresowany rozwijaniem zarówno własnego ciała, jak i umysłu, toteż teorie

Sapiehy w jego przypadku trafiały na bardzo podatny grunt. Czuł nawet większą więź z tym polskim Aleisterem Crowleyem niż z własnym ojcem. Jakaś tajemnicza siła przyciągała go do Bydgoszczy. Odkąd dowiedział się o eksperymentach doktora Rafała Żmudowicza, miejsce zamieszkania międzywojennego maga nieustannie pojawiało się w jego snach. Jak gdyby sam dom przywoływał go, obiecywał sekretną wiedzę i potęgę. Pojawiał się również sam Sapieha, który szerokim gestem zapraszał go do swoich włości. Walter nie mógł tego zinterpretować inaczej niż jako przebłysk woli samego maga. Poczł się prawdziwym wybrańcem, jedynym człowiekiem zdolnym kontynuować dzieło Sapiehy.

Kiedy wreszcie Walter położył dłonie na starych okładkach i zaczął czytać notatki, poczuł się tak, jakby ktoś zajrzał do jego umysłu i poukładał chaotyczne myśli w logiczną całość. Był zafascynowany teoriami Sylwestra Sapiehy i zaczął już nawet wykorzystywać w praktyce tę wiedzę, którą skrętnie pomijali poprzedni właściciele RS Pharm. Chciał znaleźć się w Polsce, zanim Rafał Żmudowicz zacznie przeprowadzać swoje eksperymenty, ale ze względu na kontrakty z wojskiem musiał przełożyć swój przyjazd. Opłacił więc grupkę fanatyków, by projekt został przerwany. Niestety, wszystko skończyło się tragicznie, co stanowiło dla Waltera bolesną nauczkę – odtąd miał zamiar polegać jedynie na sprawdzonych ludziach. Wreszcie udało mu się dopilnować swoich spraw i wprawić w ruch całą maszynę tajnych projektów, ale niestety nie zdążył zapobiec zburzeniu domu Sylwestra Sapiehy.

Teraz stał zatopiony we własnych myślach w miejscu, w którym nie zostały żadne widoczne ślady dawnego gmachu. Miał jednak wrażenie, że coś wisi w powietrzu.

Nie czuł żadnego wiatru, nie było słycać prawie żadnego dźwięku, ale jego wyczulone zmysły dawały znać, że w tej okolicy coś jest nie w porządku. Choć nie potrafił określić źródła tego przecucia, wydawało mu się, że energia miejsca, w którym przebywał, była zupełnie inna niż kilkadziesiąt metrów dalej, tam, gdzie zostawił swój samochód. Wyobrażał sobie, że duch Sylwestra Sapiehy nadal się tu unosi, a przez skórę wyczuwał jego niemą obecność. Był przekonany, że to możliwe. Czytał nieprawdopodobną relację uczestników eksperymentu dotyczącego wzbudzania śladów światła. Szkoda, że Rafał Żmudowicz zginął, bo pewnie Walter złożyłby mu propozycję biznesową.

W trakcie eksperymentów zginął także zwerbowany wcześniej młody człowiek, który według Waltera był bardzo obiecującym nabytkiem. Janek szybko zorganizował sobie dwóch pomocników i Szymanowicki doceniał go za zdolności przywódcze. Gdyby dać mu odpowiednią ilość czasu i zasobów, być może za jakiś czas Janek odegrałby w planach Waltera ważną rolę. A kto wie, być może nawet stałby się jego prawą ręką? Może jednak tak właśnie miało być. Dobrze się stało, że Janek zawiódł teraz, a nie później, kiedy jego niepowodzenie mogłoby mieć poważniejsze konsekwencje.

Walter Szymanowicki westchnął ciężko – nie było sensu płakać nad rozlanym mlekiem, jak to się mawia w tym kraju. Udało mu się jednak skorzystać na tej całej sytuacji: przedmiot, który zdobył, leżał teraz na przednim siedzeniu jego samochodu. Uczestnicy eksperymentu znaleźli dziennik, ukryty w zupełnie innym miejscu niż notatki zabrane przed laty przez dziadka Waltera. Szymanowicki dysponował takimi środkami finansowymi, że znalezienie i opłacenie profesjonalnego włamywacza było dziecinnie proste. Dziennik Sylwestra Sapiehy stanowił wspaniałe uzupełnienie notatek.

Walter uklęknął i położył dłoń na wilgotnej ziemi. Przymknął oczy, starając się otworzyć na wpływ duchowej energii.

– Mam nadzieję, że jeszcze gdzieś tam czekasz, Sylwestrze Sapieho – powiedział z powagą. – Twoje oczekiwanie dobiega końca. Już niedługo znów będziesz kroczył między żywymi jako nadistota. Obiecuję.

Wstrzymał oddech w oczekiwaniu na jakiś znak. Nic szczególnego się jednak nie wydarzyło. Jakby podkreślając to, co przed chwilą powiedział, kiwnął głową, po czym wyprostował się lekko i bez wysiłku. Odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku samochodu z wyrazistym i jasnym poczuciem misji.

*

Ewa stała w zatłoczonym – jak zwykle z rana – korytarzu.

Rozpięła kurtkę, ponieważ w tym tłumie zrobiło jej się zdecydowanie za ciepło. Rozejrzała się dokoła i ujrzała twarze wyrażające rezygnację. Większość czekających była zaspana i miała niezadowolone miny. Ewa sama pewnie wyglądała podobnie. Przesunęła się kilka kroków do przodu, kiedy kolejnej grupie osób udało się wejść do windy.

W pewnym momencie wyczuła w powietrzu charakterystyczny zapach lekarstw. Ewa go nie lubiła – szczególnie odkąd była zmuszona spędzić wiele dni w szpitalu, zaraz po pechowym eksperymencie w domu Sylwestra Sapiehy. Wspominała ten czas jako chyba najtrudniejszy okres w życiu. Rzeczywistość za dnia tylko nieznacznie różniła się od przeżywanych w nocy koszmarów.

Rozejrzała się jeszcze raz, ale nieco uważniej, zastanawiając się, kto spośród otaczających ją ludzi mógł przed chwilą odwiedzić aptekę. Z drugiej strony Ewie wydało się dziwne, że zapach był tak silny i utrzymał się tak długo.

Poza tym czuła go tylko przez chwilę i teraz nawet nie była pewna, czy jej się zwyczajnie nie wydawało. Nie potrafiła ocenić, czy rzeczywiście w powietrzu unosił się ten zapach, nie ufała swoim zmysłom tak do końca. Być może umysł podsuwał jej nieistniejące źródła doznań. Mogła się spodziewać, że nie skończy się na jednym przywidzeniu.

Westchnęła cicho, powoli dochodząc do wniosku, że chyba nigdy nie uda jej się dojść do siebie po wydarzeniach w domu Sapiehy.

– Cześć, Ewa. – Znajomy głos kolegi z pracy był jak zwykle przepełniony uprzejmością.

– Cześć, Robert – powitała go, starając się, by w jej głosie nie zabrzmiało rozdrażnienie.

Robert Komar był młodym facetem średniego wzrostu. Pod jego zielonkawą kurtką wyraźnie odznaczał się brzuszek. Mimo że był w wieku Ewy, wyglądał na dziesięć lat starszego. Być może wrażenie potęgowało zaawansowane łysienie lub duże okulary w stylu retro. Jednak najbardziej charakterystyczną cechą wyglądu Roberta stanowiła kłopotliwa cera: na twarzy niemal zawsze miał potężnego, czerwonego, gotowego do wyciśnięcia pryszczka, który zwykle wyglądał niczym wulkan przed erupcją. Jak zauważyła Ewa, jeden z nich właśnie pechowo wyrósł na jego niezwykle wysokim czole, dumnie prezentując się rozmówcom.

– Czekasz w kolejce? – zapytał Robert, podchodząc dość blisko. Niektórzy ludzie po prostu nie wiedzieli, co to przestrzeń osobista.

– Wiesz, jak to jest – potwierdziła Ewa, nie komentując w żaden sposób wygłoszonej przed momentem oczywistości i jednocześnie przesuwając się o pół kroku w bok.

Robert miał to do siebie, że często powtarzał powszechnie znane innym fakty, i to z poważną miną gościa, który przejmuje się losem świata. Oczywiście podobne podejście przejawiał w sprawach służbowych, co zyskało mu przychylność przełożonych, jakkolwiek z jego skutecznością w rozwiązywaniu problemów nie miało nic wspólnego.

– Kolejny dzień, pełen wyzwania, co, Ewka? – zapytał głosem sugerującym, że są bliskimi znajomymi.

– Nikt nie obiecywał, że będzie łatwo – odparła. Robert ją denerwował, ale nie chciała sobie zrobić z niego wroga, zdradzając, że o niczym nie marzy bardziej niż o tym, by się wreszcie odczepił. Szczególnie że jego opinia niestety zaczynała być brana pod uwagę w sprawach mniejszej wagi.

– Jak tam sprawy SBM? Cały czas problemy z walutami? – mówił takim tonem, jakby był na bieżąco ze sprawami Spółdzielczego Banku Mikroprzedsiębiorców, a przecież zajmował się zupełnie innymi klientami niż Ewa.

Ich firma była producentem oprogramowania, z którego usług korzystało wiele przedsiębiorstw oraz korporacji – nie tylko w Polsce – a dział serwisu informatycznego obsługiwał większość z nich. Ewa odetchnęła z ulgą, kiedy po dwutygodniowym przeszkoleniu trafiła do innego zespołu niż Robert – nie potrafiła dłużej znieść jego wyglądu i zachowania. Niestety, spotykała go regularnie i była zmuszona ucinać sobie grzecznościowe pogawędki z tym specyficznym indywiduum.

– Cały czas – potwierdziła, przesuając się kawałek dalej w kolejce. Z jej obserwacji wynikało, że ma szansę wejść do kabiny już przy kolejnym otwarciu drzwi. – Wszystko jest zazwyczaj w porządku, ale są jakieś specyficzne okoliczności, które powodują, że rozrachunki przyjmują dziwaczne kursy, nie z tego dnia, z którego powinny. Teraz programiści się nad tym głowią.

– A testerzy? – dopytywał dalej, podczas gdy ona ostatkiem sił powstrzymała się przed przewróceniem oczami.

– Testerom udało się ustalić tylko część scenariusza tego błędu – odpowiedziała, uśmiechając się lekko. – Temat trafił więc do programistów od modułu finansowego. A wiesz, ludzie z SBM cały czas naciskają...

– Wcale im się nie dziwię – powiedział głośno Robert. – Ja też bym oczekiwał, że produkt, który kupuję, będzie pełnoprawny i wolny od wad. I nawet jeśli błąd występuje tylko w jakimś promilu przypadków, przy takiej liczbie działań to i tak bardzo dużo. To przecież może powodować milionowe straty, nie mówiąc już o niezgodnościach.

– Weź nic nie mów – powiedziała Ewa, kręcąc głową z rozczarowaniem. – Mam już dość poprawiania błędów w bazie, a codziennie mam kilkanaście zgłoszeń...

– Wiesz, co musisz zrobić, prawda? – zapytał Robert tonem mentora, który niejedną raz był już w podobnej sytuacji. – Naciskać programistów, żeby zdążyli się wyrobić do następnej wersji.

– Regularnie przypominam się mailowo... – próbowała powiedzieć Ewa, ale kolega nie pozwolił jej skończyć zdania.

– To najczęściej nic nie daje – mówił dalej. – Oni chyba mają specjalny folder na maile przypominające, który jest automatycznie opróżniany. Żeby cokolwiek przyspieszyć, trzeba iść osobiście i ich, za przeproszeniem, zjechać.

Ewa westchnęła i rozejrzała się dokoła, napotykając poirytowane spojrzenie pewnego pracownika firmy BS&D, którego kojarzyła z widzenia. Był programistą i najwidoczniej usłyszał to, co przed chwilą powiedział Robert. Ewa uśmiechnęła się do niego, a ten prawie od razu się rozpogodził. Domyślała się, że Robertowi nie będzie teraz łatwo załatwić cokolwiek u programistów.

Kiedy usłyszała charakterystyczny brzdęk i dźwięk rozsuwanych drzwi windy, od razu wskoczyła do środka. Robert przepuścił przed sobą dwie inne kobiety i już chciał wejść, kiedy powstrzymał go gest Ewy.

– Przykro mi – powiedziała z rozbrajająco szczerym uśmiechem. – Już komplet.

Robert zatrzymał się w pół kroku, po czym szybko przeliczył osoby w środku kabiny. Zacisnął usta, ale już za moment jego twarz przybrała standardowy wyraz oficjalnej, zdystansowanej uprzejmości.

– Bezpieczeństwo przede wszystkim – powiedział lekkim tonem, w którym jednak brzmiały nutki irytacji. – Spotkamy się na górze.

– Jasne – odparła Ewa i nacisnęła przycisk zamykający drzwi.

Kiedy Robert zniknął z jej pola widzenia, odetchnęła z ulgą i prawie parsknęła śmiechem – dotarło do niej bowiem, że chyba po prostu nie przepada za większością swoich koleżanek i kolegów z pracy. W BS&D było tylko kilka osób, które naprawdę lubiła. Najbardziej jednak doskwierała jej świadomość, że pomimo pozornie luźnej atmosfery firma była dżunglą pełna intryg i skomplikowanych systemów zależności. Niektórzy pracownicy traktowali swoje obowiązki jako element taktycznej gry o to, jak zyskać w niej najlepszą pozycję, często kosztem innych.

W windzie zwykle unikali kontaktu wzrokowego, wlepiając wzrok w zmieniające się cyferki albo po prostu patrząc przed siebie. Tylko jedna osoba wyróżniała się na tle typowych pracowników korpo – młoda dziewczyna, która puszczała muzykę tak głośno, że pomimo słuchawek w jej uszach słyhać ją było w całej kabinie. Nosiła krótką, obcisłą sukienkę i nieco infantylne, blad różowe rajstopy. Kompletnie nie przejmując się otoczeniem, rytmicznie stukała obcasem do taktu, co jakiś czas wykonując taki ruch biodrami, jakby ostatkiem sił powstrzymywała się od tańca. Z racji stylu ubierania się była częstym tematem rozmów męskiej części pracowników.

Ewa znała tę kobietę z widzenia. Przesunęła wzrokiem po jej figurze i pomyślała sobie, że taka babka na pewno nie narzeka na brak powodzenia. Pomyślała jednak, że sama nie chciałaby budzić tego typu zainteresowania u facetów i że pewnie ta kobieta i tak bardziej lubiła przedstawicielki swojej płci. Ewa uśmiechnęła się do siebie, zastanawiając się, skąd to skojarzenie, ale doszła do wniosku, że pewnie po prostu wyczuwa takie rzeczy na odległość. Albo znowu coś się dzieje z jej umysłem.

Winda zatrzymywała się prawie na każdym piętrze, co powodowało, że dotarcie na to docelowe trwało dłużej niż powinno. Na szczęście w kabinie robiło się coraz luźniej, więc Ewa oparła się plecami o ścianę, ostatni raz relaksując się przed pracą.

W pewnym momencie w lustrze ujrzała odbicie Sapiehy. Mignęło jej tylko przez chwilę, ale to wystarczyło, by nagle wstrzymała oddech. Rozejrzała się dookoła, ale szybko zrozumiała, nie zobaczy go ponownie. Znowu jej się przywidziało. Starła się tym nie przejmować, bo zdawała sobie sprawę, że zdenerwowanie może jedynie spotęgować objawy. Poza tym to było nic w porównaniu do omamów, jakie miała przez całe miesiące od powrotu z domu Sapiehy. Odetchnęła, postanawiając zwyczajnie zignorować to, co się stało.

Wreszcie winda zatrzymała się na dwunastym piętrze, co obwieścił brzdęk. Ewa szybko przekroczyła jej próg, a kiedy podniosła wzrok, zobaczyła, że z klatki schodowej wychodzi jakiś mężczyzna. Było to tak zaskakujące, że zatrzymała się w pół kroku. W jej głowie pojawiły się koszmarne obrazy zamykających się drzwi, spadającej kabiny windy i rozcinanego na pół ciała... Ruszyła więc dalej do przodu.

Nieznajomy okazał się wysokim blondynem o przystojnej twarzy, na której widniał kilkudniowy zarost. Był szczupły i – co zdradzały jego ruchy wysportowany.

Ani śladu brzuszka, co zawsze podobało się Ewie u facetów. Przez plecy przewieszony miał plecak, przytrzymując go, co dodatkowo uwydatniało mięśnie rąk.

Ich spojrzenia spotkały się.

Zastanowiło ją, kim może być człowiek, który wyłonił się z tego tajemniczego w jej mniemaniu miejsca. Co też pchnęło go do tego, by iść schodami? Nie widziała go wcześniej w biurowcu, co mogło oznaczać, że to ktoś nowy, bo inaczej pewnie wcześniej zwróciłaby na niego uwagę. Nawet gdyby tylko mignął jej przed oczami.

Mężczyzna uśmiechnął się do niej i energicznym krokiem ruszył w głąb korytarza. Stało się to tak szybko, że Ewa nawet nie zdążyła odwzajemnić uśmiechu. Zmieszała się lekko, bo poczuła, że się zaczerwieniła.

Nie zachowuj się jak licealistka!, skarciła się w myślach i pokręciła głową z niedowierzaniem. Zaskoczyło ją, że jakiś facet mógł na nią tak mocno i szybko zadziałać – sądziła, że te czasy już dawno minęły.

Wzięła głęboki oddech i ruszyła w stronę pomieszczeń zajmowanych przez jej dział. Minęła drzwi do biura kadr, a potem otwarte wejście do pokoiów marketingowców. Eliza Szafraniec, szefowa działu, jak zwykle rozmawiała przez telefon, co wiązało się u niej zawsze z chodzeniem w tę i z powrotem po korytarzu.

Była wysoką, zgrabną kobietą. Jej głos potrafił brzmieć jednocześnie słodko i profesjonalnie, a przy tym był dźwięczny i łatwo wpadał w ucho. Eliza wykorzystywała go, by jeszcze lepiej wykonywać swoją pracę i niejednego klient ulegał jej argumentom, wypowiedzianym w perfekcyjnie uprzejmy sposób. Była prawdziwą kobietą sukcesu – atrakcyjną, inteligentną, miłą i jednocześnie pewną siebie.

Eliza zauważyła Ewę i, nie przerywając rozmowy puściła do niej oczko. Ubrana jak zwykle na czarno Makuszevska odwzajemniła się szerokim uśmiechem – w szefowej marketingu lubiła jeszcze to, że odnosiła się ona do innych bez uprzedzeń. Możliwe jednak, że tylko wyjątkowo dobrze się maskowała.

Dotarła wreszcie do space roomu. Serwis informatyczny pracował już pełną parą, o czym świadczył wszechobecny szum uruchomionych komputerów, przeplatany uderzeniami w klawisze i przytłumionymi rozmowami. Zdjęła plecak, powiesiła kurtkę na wieszaku i usiadła na swoim obrotowym krześle. Kiedy podniosła wzrok, ujrzała przed sobą Michała Wąskiego, jednego z młodszych pracowników serwisu. Należał do tych niewielu, których autentycznie lubiła.

– Poproszę whiskey z colą – powiedział, uderzając dłonią o półkę biurka i opierając się o nią ramieniem jak o ladę baru.

– Dowodzik poproszę – odparła Ewa ze śmiechem, choć ten żart z barem był już tak stary, że mało śmieszny. Michał jednak po prostu starał się być zabawny w taki nieco naiwny, dziecięcy wręcz sposób, i czasami nawet mu się udawało.

– Ach, niestety, skończyła się. – Puściła mu oczko.

– To trzeba sprowadzić – kontynuował.

– Chyba zbyt tu wąsko – wypaliła Ewa, nawiązując do nazwiska chłopaka.

– No, no – powiedział Michał i pogroził jej palcem. Po chwili westchnął, co oznaczało, że skończył żartować i przeszedł do rzeczy. – Chciałem ci tylko powiedzieć, że CRI znowu nie chodzi...

– Cholera – mruknęła Ewa, pochmurniejąc.

Centrum Rozsyłania Informacji był to automatyczny system, generujący zadania dla pracowników na podstawie maili. Wszyscy z niego korzystali, szczególnie kierownictwo, które analizowało czas rozwiązywania zgłoszeń i sprawdzało, czy czasami nie ma opóźnień, które mogłyby skutkować dotkliwymi karami umownymi. A skoro system CRI nie działał, Ewa będzie musiała go zastąpić, ręcznie tworząc odpowiednie zgłoszenia. Jakby miała mało obowiązków...

– Czekam na pilnego maila od spółki Maximum – mówił dalej Michał. – Coś im się mocno posypało w systemie i zaczynają nas straszyć konsekwencjami. Fajnie byłoby, jakbyś podesłała ten mail do nas, jak tylko się pojawi, dobrze?

– Jasne – powiedziała kiwając głową, po czym zanotowała sobie tę informację na kartce.

– Dzięki – powiedział Michał i od razu się rozweselił. – A jakby coś się zmieniło w sprawie drinków, to też daj mi znać.

– Tobie w pierwszej kolejności – odparła Makuszevska ze słodkim uśmiechem na twarzy. Michał kiwnął głową i na pożegnanie pokazał jej dłonią znak „kozła” – większość ludzi z serwisu za sprawą stylu ubierania się kojarzyła ją z muzyką metalową. Dziewczyna nie wyczuła jednak w tym geście złośliwości, więc nie popsuło jej to humoru.

*

Wreszcie zabrała się za pracę. Pomyślała sobie, że dobrze jest zająć myśli jakimś regularnym zajęciem, dzięki czemu choć przez jakiś czas nie będą błądzić, a sam umysł może stanie się na tyle zaangażowany, że nie będzie tworzyć omamów. Ewa jednak nie miała zamiaru zbytnio trudzić się nad ręcznym tworzeniem zgłoszeń – było ich zbyt wiele, mogła efektywnie zająć się pozostałymi sprawami. Nie chciała też pracować na wysokich obrotach przez cały czas. Inaczej pod koniec dnia skołowanie i zmęczenie dadzą o sobie znać, pozbawiając ją energii na cokolwiek innego. Dlatego regularnie spoglądała w stronę boksu, oczekując, aż pojawi się Jurek Woźniakowski, jeden z niewielu programistów w tym dziale, który był odpowiedzialny za sprawne działanie CRI. W końcu to on je napisał.

Po dziewiątej trzydzieści jego wielkie ciało wreszcie wtoczyło się do pomieszczenia serwisu. Szedł ciężkim, charakterystycznym dla osób otyłych krokiem, sapiąc, tak jakby każda aktywność fizyczna sprowadzała go na skraj wyczerpania.

Zdjął przełożoną przez ramię torbę, powiesił kurtkę na wieszaku. Pod pachami na jego szarej koszulce widać było ciemne koła potu. Ewa skrzywiła się, kiedy zauważyła, że Jurek zasłonił swoją garderobą jej kurtkę – będzie musiała coś z tym zrobić, zanim będzie za późno. Programista sapnął, chwycił torbę za pasek i wszedł do swojego boksu. Krzesło jęknęło przeraźliwie, kiedy na nim siadał, a Ewa momentalnie przypomniała sobie zdjęcia wypadków z udziałem otyłych ludzi i nie dość wytrzymałych mebli, na które niedawno natrafiła w sieci, a obrazy krwawych obrażeń wewnętrznych, widziane oczami wyobraźni, przyprawiły ją o dreszcz.

Szybko wstała, zdjęła kurtkę z wieszaka, udając, że czegoś szuka w wewnętrznej kieszeni, po czym zawiesiła ją ponownie, bardzo daleko od ubrania Jurka Woźniakowskiego. Odetchnęła głęboko i ruszyła w stronę jego boksu.

Gruby programista właśnie wyciągał z torby jakiś zeszyt, długopis oraz etui na okulary, kiedy podeszła i oparła się ramieniem o krawędź niskiej ścianki.

– Cześć – powiedziała lekkim tonem.

– Cześć – odpowiedział, nawet na nią nie spoglądając.

– Chciałam zapytać, dlaczego CRI znowu nie działa? – zapytała Ewa, w tym samym momencie zdając sobie sprawę, że mogła to nieco inaczej ubrać w słowa.

– Nie działa? – Jurek założył okulary i podniósł wreszcie wzrok. Jego oczy wydawały się komicznie duże przez grube szkła. – A co ja jestem, wróżka, żeby wiedzieć? Wróżę z fusów?

– Nie – powiedziała Ewa, siląc się na uśmiech. – Ale ty to przecież zrobiłeś i raz działa, raz nie działa...

– Słuchaj – przerwał jej, wykonując swoją okrągłą dłonią charakterystyczny gest, tak jakby chciał coś odciąć. – Dopiero przyszedłem do pracy. Uruchomię się, zobaczę, czy mi nie wpadły jakieś „krytyki” i może za chwilę się tym zajmę...

– Kiedy? – nie dawała za wygraną Ewa.

– Za chwilę – powiedział z naciskiem Jurek, czerwieniejąc na twarzy. – Nie wiem!

– No dobra... – mruknęła i dała za wygraną. Machnęła ręką z rezygnacją i wróciła za biurko. Usiadła ciężko na krześle i spojrzała na listę maili, która powiększyła się o kolejne kilka pozycji, w czasie kiedy rozmawiała z Jurkiem. Wśród nich zauważyła wiadomość od Maximum, opatrzoną wysokim priorytetem i wieloma wykrzyknikami w temacie. Szybko więc skopiowała odpowiednie dane do tworzonego właśnie zgłoszenia i przypisała je Michałowi Wąskiemu. Po chwili ponownie wstała i wyszła z biurka. Kiedy Jurek ujrzał ją na nogach, od razu się najeżył, ale wyraźnie rozluźnił się, kiedy tylko minęła jego boks i skierowała się do zespołu obsługującego firmę Maximum.

Zespół składał się z trzech osób. Michał Wąski był najmłodszym z nich i pracował w BS&D jeszcze krócej niż Ewa. Posiadał za to odpowiednie umiejętności i wiedzę, której dziewczynie brakowało. Drugi członek zespołu, Mariusz Ziemowit, był szeroko

uśmiechniętym trzydziestolatkiem, który nie stronił od żartów. Poczuciem humoru przypominał Michała i kiedy tylko w pobliżu nie było przełożonych, boks zespołu obsługującego Maximum regularnie wybuchał gromkim śmiechem. Trzecim z kolei był Andrzej Skurski, poważniejszy mężczyzna koło czterdziestki. Miał stylowe, eleganckie okulary. Ubierał się zawsze schludnie, nosił perfekcyjnie wyprasowane koszule i zawsze był ogolony. Podczas pracy zwykle siedział cicho i raczej nie uczestniczył w żartach, ale kiedy już coś powiedział, reszta tarzała się ze śmiechu po podłodze.

– Cześć wszystkim – powiedziała Ewa.

– Zajebista muza! – Mariusz jak zwykle opowiadał coś z przejęciem, a jego oczy błyszczały z ekscytacji. Wreszcie ją zauważył: – Cześć! W każdym razie wybawiłem się jak nigdy! Naprawdę jest świetny klimat, jakbyście mieli czas w weekend, to pojedźcie. Możemy nawet razem pojechać! Ewa, wiesz, co to Arena Kokocko?

Pokręciła przecząco głową i spojrzała na Michała.

– Mail przyszedł? – domyślił się Wąski, a jego głos był ledwie słyszalny na tle radosnej opowieści Ziemowita. Pokiwała głową i ponownie przeniosła spojrzenie na Mariusza.

– Zajebiste miejsce! – Kiedy on przyczepił się jakiegoś tematu, nie kończył mówić, dopóki go nie wyczerpał. – Świetna muza, a klimat jaki! Normalnie wszyscy tańczą i skaczą, a muzyka jest naprawdę fajna i zróżnicowana. Lubisz techno albo trance?

– Nie bardzo – stwierdziła Ewa i napotkała rozbawione spojrzenie Andrzeja.

– Nie twój klimat? – pytał dalej Mariusz, wstając z miejsca. Był to znak, że się już odpowiednio rozgrzał.

– Nie bardzo – powtórzyła, kręcąc głową. – Arena Kokocko, co to w ogóle jest? To jest jakaś arena sportowa?

– Remiza! – poprawił Michał, który, czy tego chciał, czy nie, słuchał wywodów Mariusza.

– W Kokocku – dodał Mariusz. – To niedaleko, pod Bydgoszczą...

– Trzy domy na krzyż – powiedział Andrzej, poprawiając palcem okulary. – To cud, że mają tam remizę...

– Ale za to jaką! – Chłopak nie dawał za wygraną, żywo gestykulując. Zaczął nawet tańczyć. – Świetna muza! Takiej w Bydgoszczy nie znajdziesz. A jakie laski! Normalnie mówię wam, takie szprychy, że szczeka opada. I chętne! Przyjedzie człowiek z miasta, to od razu na niego lecą! Tylko trzeba potem uważać, by od miejscowych chłopaków w mordę nie dostać...

W tym momencie Andrzej wstał gwałtownie z wzrokiem utkwionym w drzwiach. Ewa również spojrzała w tamtą stronę zaciekawiona i od razu zauważyła, o co chodzi.

Do środka wkraczała właśnie jej koleżanka z helpdesku, Barbara Zielińska – wysoka, zgrabna blondyna o figurze klepsydry.

Wielu facetów wodziło wzrokiem za jej krągłościami, a ona szczególnie ich nie ukrywała. Ba! Ubierała się tak, żeby podkreślić kształt i wielkość swojego biustu, wąską talię i zgrabne pośladki. Wszystkie te seksualne wabiki sprawiały, że mężczyźni uwielbiali na nią patrzeć. Nie przepadali jednak za rozmowami z Basią, ponieważ jej ogólne negatywne nastawienie do wielu spraw i nieustanne marudzenie zrażały do niej ludzi. Byli jednak tacy, którym to nie przeszkadzało.

– Cześć, Basia! – krzyknął Andrzej, machając ręką. Natychmiast dołączył do niego Mariusz, angażując do tego obydwie kończyny i podskakując radośnie. Nawet Michał Wąski na moment przerwał pracę. Po chwili krzyczeli wszyscy trzej, powodując wybuch śmiechu u ofiary swoich żartów.

– Cześć, chłopaki – powiedziała Barbara, kiedy już powiesiła płaszczyk i zostawiła torbę za biurkiem. Szła właśnie do pomieszczenia socjalnego, położonego akurat w pobliżu boksu radosnego zespołu, by zrobić sobie herbatę.

Nie trzeba było długo czekać na reakcję ze strony Katarzyny Lewczuk, której charakterystyczna głowa z dużym nosem wyłoniła się z boks, wystając ponad ściankami.

– Jaka Baśka popularna jest! – powiedziała tym swoim charakterystycznym, donośnym głosem, wyraźnie słyszalnym w całym pomieszczeniu. – Może założysz swój fanklub?

Barbara przewróciła oczami, ale tak, żeby Katarzyna nie widziała, po czym odpowiedziała ze śmiechem: – Może powinnam...

– I jeszcze będziesz zbierać kasę – kontynuowała Lewczuk jadowitym tonem. – Za możliwość obejrzenia albo dotknięcia. Na pewno wielu chłopów tylko o tym marzy. Mówię ci, Baśka, zastanów się nad tym, bo to może być dla ciebie żyła złota.

– Zastanowię się – odpowiedziała dziewczyna, nadal się uśmiechając. Widocznie nie widziała sensu w kłóceniu się z Katarzyną, nie chciała też tracić czasu na słowne utarczki.

– A chłopaki – powiedziała Katarzyna do współpracowników, widząc, że Barbara Zielińska nie da się sprowokować – wyglądają tak, jakby nic nie mieli do roboty. Gdyby tylko Sakiewka was zobaczył...

– To by nic nie powiedział – odparł Mariusz, dodając do tego uspokajający gest.

– Ach, no tak – mówiła dalej Katarzyna głosem wprost ociekającym jadem. – Bo wy jesteście pupilkami dyrektora! Ale przecież nikt nie może się czuć jakoś szczególnie pewnie, prawda? Mamy kryzys na rynku pracy, firmy robią cięcia...

W tym momencie wyróżniający się stoickim spokojem Andrzej Skurski powiedział głośno: – Zajmij się swoją pracą. Bo ktoś może jeszcze pomyśleć, że masz

za mało obowiązków, skoro możesz poświęcać tyle czasu na złośliwe komentarze i puste groźby...

Katarzyna Lewczuk poczerwieniała.

– Phi! Co to za maniery, Andrzej! – próbowała się odgryźć. – Mógłbyś się nauczyć trochę kultury.

Zniknęła jednak za ścianką, najwyraźniej wracając do swoich obowiązków. Andrzej spojrział tylko na Ewę i puścił jej oczko.

Skurski mógł sobie pozwolić na takie odzywki do Katarzyny Lewczuk. Miał bardzo silną pozycję, nie tylko w zespole, ale w całej firmie. Jako jeden z niewielu pracował w tym miejscu już kilkanaście lat. Dużo wiedział o działaniu aplikacji, strukturze bazy danych, znał przepisy handlowe czy kadrowo-płacowe. Prawie natychmiast potrafił odpowiedzieć na skomplikowane pytania, a jeśli czegoś nie wiedział, umiał wskazać prawdopodobną przyczynę problemu. Był solidny, nieobce były mu nadgodziny czy nawet siedzenie po nocy, jeśli wymagała tego sytuacja.

– Cześć, Ewka – przywitała się Barbara, przechodząc obok boksu. – Dużo roboty?

– A żebyś wiedziała – odparła Makuszevska, kiwając ponuro głową. – Do tego CRI znowu nie działa...

Basia zatrzymała się w pół kroku: – CRI znowu nie działa?! – zapytała tak głośno, że pewnie Jurek Woźniakowski zgarbił się w swoim boksie. – Przecież w takich warunkach nie można pracować! Zgłosiłaś Jurkowi?

– Oczywiście – odpowiedziała szybko z lekkim uśmiechem na twarzy. Co prawda Barbara była na dłuższą metę nie do wytrzymania, ale jej styl bycia i charakter miały jakieś plusy. – Powiedział, że może za chwilę się tym zajmie, a to było jakieś pół godziny temu.

– On chyba jest niepoważny! – warknęła Basia i rozkołysanym krokiem ruszyła w kierunku miejsca, gdzie siedział informatyk. Ten usłyszał wcześniejszą wymianę zdań, więc tylko pomachał ręką i krzyknął: – Już się tym zajmuję!

Barbara zatrzymała się więc i uśmiechnęła szeroko.

– No – powiedziała z zadowoleniem.

– To ja wracam do siebie – rzuciła Ewa, stwierdzając, że załatwiła już wszystko, co miała w planie.

– No, lepiej wracaj – powiedział Mariusz scenicznym szeptem, tak by usłyszała to Katarzyna Lewczuk. – Bo wiesz, teraz są cięcia i trudna sytuacja na rynku pracy. Jakikolwiek rozmowy nie wchodzi w grę, bo wiadomo, że góra ma wszędzie swoje oczy i uszy...

– Naprawdę?! – zapytała Ewa, pochylając się konspiracyjnie.

W tym samym momencie Andrzej przesłał im ostrzegawcze spojrzenie. Tak jakby chciał powiedzieć: „ja sobie mogę pozwolić, ale wy lepiej uważajcie dla własnego dobra”. Ewa westchnęła, ale kiwnęła głową i wróciła na swoje miejsce za biurkiem.

Stwierdziła, że dobrze zrobiła, ponieważ znowu pojawiło się kilkanaście ważnych maili, a skoro CRI nadal nie działało, trzeba było je obrobić ręcznie. Po kilku minutach Barbara również znalazła się za biurkiem, po czym usiadła ciężko na krześle i pochyliła się w stronę Ewy.

– Ta Kacha to jest jednak wredna – powiedziała cicho, ale z wyraźną niechęcią. – Szuka tylko, jak komuś dokopać, a sama uważa, że jest święta. Głupia krowa.

– Mhm – mruknęła Ewa, skupiona na tym, by jak najszybciej utworzyć kolejne zgłoszenie. – Zaczynasz od dołu obrabiać?

Barbara machnęła ręką.

– Zostaw to – powiedziała lekceważąco. – Zaraz CRI będzie działało i te maile same wpadną do systemu. Na pewno masz ważniejsze rzeczy do zrobienia, a jak ktoś będzie miał pretensje, skierujemy go do Jurka.

– Dobrze wiesz, że to nie do końca tak działa – odparła Ewa, choć pomysł pozostawienia maili w spokoju bardzo jej się podobał. Zdawała sobie jednak sprawę z tego, że jeśli jakiś zespół z tego powodu nie otrzyma ważnego zgłoszenia i powstaną opóźnienia, to właśnie one będą za to odpowiedzialne – kierownictwo było w takich wypadkach bezlitosne.

Barbara westchnęła rozdzierająco.

– Lepiej niech Jurek to zrobi jak najszybciej – powiedziała ponuro. – CRI w ogóle jest do dupy, muszę ci powiedzieć. Nie ma tygodnia, żeby coś się nie zepsuło. Najgorsze jest to, że czasami maile zawieszają się w trakcie i niby wszystko działa, a coś nie dochodzi... No dobra. Zajmę się tymi mailami z dołu listy, ty dalej rób z góry...

– Dobra – odpowiedziała Ewa, kiwając głową. Jak się okazało, miała rację, bo Jurek uruchomił CRI dopiero godzinę później. W tym czasie pojawiło się kilka wiadomości, które zwyczajnie nie mogły czekać.

Ewa wpadła w wir pracy. Samodzielnie obrabiała zgłoszenia łatwiejszych problemów, a bardziej skomplikowane przekazywała do odpowiednich osób ze swojego zespołu, jednocześnie cały czas sprawdzając, czy w CRI nie utknął żaden mail. Monotonię tych czynności przerwało pojawienie się Marcina Sakiewki, dyrektora działu.

Wysoki mężczyzna, ubrany w białą koszulę, krawat oraz czarną marynarkę, wpadł do pomieszczenia jak burza. Po jego zachowaniu można było poznać, że właśnie uczestniczył w kolejnej ważnej telekonferencji, bo jak zwykle w takich sytuacjach miał zepsuty humor. Stres z powodu zaległości w pracy objawiało się u niego nerwowymi ruchami.

– Cześć – rzucił krótko w stronę dziewczyn siedzących przy pierwszym od strony wejścia biurku, po czym energicznym krokiem ruszył do swojego oszklonego gabinetu, który większość pracowników nazywała „akwarium”.

Marcin Sakiewka był szczupłym, wręcz chudym mężczyzną, którego żyłaste ciało kryło niespożyte wprost zasoby energii. Mimo nieco ponad czterdziestu lat, jego krótko obcięte włosy nie nosiły śladów siwizny. Starannie przystrzyżony kilkudniowy zarost nadawał jego twarzy marsowy wygląd.

Dyrektor złapał wszystkie dokumenty jedną dłonią, a drugą otworzył drzwi.

– Chyba nie ma humoru – zauważyła Barbara, spoglądając za szefem. – Ale nie powinien tego okazywać w taki sposób. W końcu jest szefem i musi trzymać fason.

– Pewnie każdy ma swoje granice wytrzymałości – stwierdziła filozoficznie Ewa.

– No ale to jest dyrektor – odpowiedziała Barbara z oburzeniem, ale i z rezygnacją. – Powinien umieć się zachować... Chociaż z drugiej strony dlaczego miałby stawać na rzesach dla takiej firmy? My go traktujemy jak kogoś na szczycie, ale to przecież jest korporacja i pewnie jest tak samo wykorzystywany jak my wszyscy...

– Pewnie tak – potwierdziła Ewa, nie mając jednak zamiaru wchodzić w głębsze dyskusje na ten temat. Lubiła Marcina Sakiewkę, co było wyjątkiem, bo do tej pory szefowie wszelkiej maści kojarzyli jej się z zadufanymi w sobie dupkami.

– Wiesz co – mówiła dalej Barbara – muszę z nim jednak porozmawiać, bo chciałabym zmienić termin urlopu...

– Kiedy cię nie będzie? – zainteresowała się nagle Ewa. Ich obowiązki się pokrywały, więc co najmniej jedna z nich musiała być w pracy.

– Nie martw się – roześmiała się zapytana, widząc minę swojej koleżanki. – Nie będzie to kolidowało z twoim.

Ewa odetchnęła z ulgą, kiwnęła głową i powróciła do realizacji kolejnego zadania. Pewnie skupiłaby się na pracy, gdyby nie fakt, że Barbara tak szybko wyszła z gabinetu dyrektora, jak do niego weszła.

– Nie umiesz pukać?! – Równie ostrego, wręcz nienawistnego tonu głosu dziewczyna jeszcze nie słyszała u Marcina Sakiewki. – Wynoś się!

W obliczu takiej erupcji gniewu przełożonego Barbara cofnęła się i szybko zamknęła drzwi. Przez moment stała jeszcze mrugając oczami, jakby nie mogąc zrozumieć, co się właściwie przed chwilą stało.

Ewa patrzyła na to z szeroko otwartymi ustami i oczami. Napotkała wystraszone spojrzenie Barbary, ale nie potrafiła nawet skomentować tego, co zaszło, by rozładować atmosferę. W oczach Zielińskiej zabłyśły łzy, jednak szybko się opanowała i dumnym krokiem – oczywiście kołysząc biodrami – wróciła na swoje miejsce. Jej współpracowniczka z niepokojem przyglądała się Marcinowi Sakiewce przez szybę jego „akwarium”.

Dyrektor siedział teraz za swoim biurkiem, a twarz miał ukrytą w dłoniach. Trwał w tej pozycji dobre dziesięć minut. Nagle gwałtownie podniósł się z miejsca i opuścił

żaluzje. W oczach miał dziwną mieszaninę emocji: wielkiej wściekłości, zawstydzienia i zaskoczenia zarazem, tak jakby sam do końca nie wiedział, co się dzieje.

Obserwacje Ewy przerwało pojawienie się w biurze Dariusza Kazimierskiego, który zajmował się wydrukami. Była to bardzo niewdzięczna praca, wymagająca dużej dawki cierpliwości, ponieważ wzorce wydruków psuły się często i efekt końcowy wyglądał niekiedy jak wczesne prace Picassa.

– Lepiej tam nie wchodzić – ostrzegła go Ewa.

Darek zatrzymał się w pół kroku, poprawił okulary i zapytał z przejęciem: – A co się stało?

– No właśnie nie wiemy – powiedziała Ewa powoli. Nadal była w szoku. – Basia próbowała załatwić u niego urlop, a on nakrzyczał na nią i kazał się wynosić...

Barbara kiwnęła głową na potwierdzenie – widać było, że ostatkiem woli powstrzymuje płacz. Serwisant pokręcił głową, wyraźnie zmartwiony.

Był jednym z niewielu ludzi w firmie, z którymi można swobodnie porozmawiać. Nie uczestniczył w wyścigu szczurów. Nikt nie garnął się do pracy przy wydrukach, więc jego stanowisko nie było zagrożone. Darek funkcjonował gdzieś na poboczu wszystkich rozgrywek firmowych i nie interesowały go plotki, intrygi ani walka o stołki. Poza tym interesował się fantastyką, więc od pewnego czasu mieli z Ewą wiele wspólnych tematów do rozmowy.

Jak za dotknięciem magicznej różdżki przy ich biurku pojawił się Andrzej Skurski. Podszedł do Barbary, a ta wstała z krzesła i przytuliła się do niego. Pogładził ją po plecach i pocałował w czoło.

– Chodź – powiedział łagodnym tonem. – Zrobimy sobie kawę w socjalnym.

Basia pokiwała głową i odeszli we dwoje w kierunku małego pomieszczenia. Darek oparł się o półkę i uśmiechnął do Ewy.

– Jak już tu jestem – zagaił niezręcznie – to zapytam, czy czytałaś coś ciekawego ostatnio?

W odpowiedzi uśmiechnęła się lekko i kiwnęła głową.

– Bardzo ciekawego – potwierdziła. – Tylko nie wiem, czy w twoim klimacie. Chodzi o magię chaosu.

Darek pokiwał głową, po czym poprawił okulary na nosie.

– To suplement do jakiegoś systemu RPG? – dopytywał.

– Nie – roześmiała się Ewa radośnie. – Tak na serio. To jedna z doktryn magicznych. Już kiedyś o tym słyszałam, ale wtedy jedynie liznęłam temat. Teraz zainteresowałam się tym tak konkretnie.

– Cały czas mnie zaskakujesz – powiedział Darek, kręcąc powoli głową. Był typem człowieka, który lubił fantastykę, ale przy tym mocno stąpał po ziemi. Akceptował magię w książkach, uważał jednak, że w normalnym świecie brakuje dla niej miejsca. – Wracam do siebie, wzorce się same nie robią.

Obrócił się na pięcie i ruszył w kierunku swojego boksu. Ewa pomyślała, że chyba go wystraszyła informacją o swoim ostatnim zakupie. Wyglądało na to, że jest jeszcze dziwniejsza niż największe odludki w dziale.

Spojrzała w kierunku „akwarium”, ale nic się nie zmieniło: żaluzje były zasłonięte, a drzwi zamknięte. W pewnym momencie ponownie poczuła zapach leków, ale to wrażenie szybko minęło. Postanowiła nie zaprzętać sobie tym głowy i wróciła do swoich obowiązków. Wpadła w wir pracy i ponownie przestała zwracać uwagę na to, co się dzieje wokół. Zarejestrowała tylko, że Barbara wróciła za biurko. Jej seksowna koleżanka miała już zdecydowanie lepszy humor. Dzień minął bez dalszych niezwykłych wydarzeń, tylko Marcin Sakiewka nie wyszedł ze swojego gabinetu aż do szesnastej.

Rozdział 3

Pub Merlin był nieduży, a wieczorami zwykle wypełniał się ubranymi w większości na czarno indywiduami. Było to bowiem jedyne w Bydgoszczy miejsce o cięższym, mrocznym klimacie, w którym dało się usłyszeć muzykę metalową. Położony w piwnicy w centrum miasta pub był popularnym miejscem spotkań okolicznych „klimaciarzy”, więc ani Ewa, ani Jacek Pastuszek nie wyróżniali się w tłumie. Oboje ubrani na czarno, on w glanach, ona w nieco lżejszych butach. Jacek miał na sobie również koszulkę z rysunkiem wilka, na którą narzucił czarną koszulę, Ewa natomiast włożyła czarną bluzeczkę i ciemne, obcisłe spodnie. Spotkali się wcześniej na Starym Rynku, koło wielkiego, charakterystycznego pomnika. Tak jak większość bydgoszczan Ewa wiedziała, że to monumentalne dzieło ma coś wspólnego z drugą wojną światową, ale nie kojarzyła szczegółów. Minęli miejsce, gdzie kiedyś znajdowała się kawiarnia Węgliszek, w której przed trzydziestu laty Wiktor Tokarzewski wraz z innymi bydgoskimi twórcami zakładał jeden z pierwszych w Polsce klubów fantastyki. Po chwili skręcili w lewo, w wąską, słabo oświetloną uliczkę o wymownej nazwie Zaułek. To właśnie w tym miejscu, zaraz naprzeciwko ściany pokrytej graffiti, znajdował się najbardziej klimatyczny pub w Bydgoszczy.

Zeszli schodkami w dół i poszli kawałek dalej korytarzem, zatrzymując się przy kontuarze, za którym stała sympatyczna dziewczyna.

– Cześć – rzuciła, kiwając im głową i odkładając czyszczoną przez siebie szklanekę. – Co wam podać?

– Hej – odpowiedziała Ewa. – Dwa piwa. Tylko żadnego soku!

– Nie ma sprawy – odpowiedziała barmanka z uśmiechem i zabrała się za nalewanie do szklanek.

Jacek oparł się łokciem o blat i rozejrzał po wnętrzu pubu. Merlin składał się z trzech sal oraz wnęki, w której znajdował się kontuar. Każde pomieszczenie wyglądało jak piwnica w starym stylu – cały przybytek położony był przecież pod ziemią. Nastrój tworzyły ściany z czerwonej cegły, krzyżowe sklepienia i obrazy w ponurych barwach. Aury tajemniczości dodawało wnętrzu przytłumione światło.

– To jest jednak klimatyczne miejsce – powiedział chłopak z rozmarzeniem. – Drugiego takiego nie ma w Bydgoszczy.

– Racja – poparła go Ewa, opierając się o jedno z wysokich krzesel, stojących przy kontuarze.

– I jaka profesjonalna obsługa – mówił dalej Jacek z zawadiackim uśmiechem na twarzy.

Barmanka odwzajemniła uśmiech i wskazała na skarbonkę z napiwkami.

– Skoro taka profesjonalna ta obsługa – powiedziała lekko zachrypniętym głosem – to możesz ją wspomóc kilkoma złociszami.

– Zrobię tak przy najbliższej okazji. – Jacek wyglądał na odrobinę zmieszanego.

– Jasne.

– Są jakieś wolne miejsca? – Ewa postanowiła wybawić Jacka z kłopotów.

– Już patrzę – powiedział, rozejrzał się i kiwnął głową. – Z tego, co widzę, głębiej jest coś wolnego.

– Są jeszcze miejsca – potwierdziła barmanka, stawiając przed nimi drugi kufel piwa. – Dwanaście złotych.

– Ja stawiam – powiedział Jacek, kiedy zobaczył, że Ewa sięga do swojej torebki w poszukiwaniu portfela. – Poza tym, zanim tam cokolwiek znajdziesz...

Dostał kuksańca w bok, ale tylko się roześmiał i zapłacił za alkohol. Wzięli więc swoje kufle i wykonując ostrożny slalom pomiędzy nieco ściśniętymi klientami pubu, przeszli na sam koniec, siadając obok nieużywanej maszyny do darta.

– Zdrowie – powiedział Jacek, unosząc swój kufel, kiedy już zasiedli za ciężkim, drewnianym stołem.

– Na zdrowie – powtórzyła Ewa i stuknęli się szkłem. Oboje upili po głębokim łyku, spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się nieśmiało.

– Powiedz coś więcej na temat tej kradzieży – poprosiła, opierając się na przedramionach.

Pastuszek spoważniał i opuścił głowę.

– Nie ma już za wiele do powiedzenia – stwierdził, powoli przesuując palcami wzdłuż kufła, na którym pojawiły się ślady skroplonej pary. – Oprócz tego, że pozostał żal.

– Żal? – zdziwiła się Makuszevska i upiła łyczek chłodnego piwa.

– Tak. – Chłopak kiwnął głową. – Nie wiem, ile razy mówiliśmy Wiktorowi, że trzeba jak najszybciej zeskanować ten dziennik. Co prawda nam też jakoś szczególnie dobrze nie szło załatwianie skanera, ale przecież to on jest szefem.

– Chcesz powiedzieć, że to wina Wiktora? – pytała dalej, próbując zrozumieć sytuację.

Jacek skrzywił się i wbił wzrok w blat stołu. Bardziej przypominał teraz tego nieśmiałego chłopaka, jakim był podczas eksperymentów w domu Sapiehy.

– Uważam Wiktora za swojego przyjaciela – mówił dalej nieco przyciszonym głosem – ale gdyby nie starał się aż tak bardzo chronić dokumentu, być może dzisiaj sytuacja wyglądałaby nieco inaczej. To był dla niego niezwykły skarb i panicznie bał się go uszkodzić w jakikolwiek sposób. Nie było człowieka dość dobrego, by mógł dostać w swoje ręce ten dziennik, rozumiesz?

Ewa pokiwała głową i zamyśliła się. Wyglądało na to, że upór to cecha

charakterystyczna każdego szefa fandomowego klubu. Pamiętała, że Ragnus też taki był.

– Gdyby nie jego... – Jacek starał się znaleźć odpowiednie słowo – ...opieszłość, pewnie i tak byśmy stracili oryginał, ale przynajmniej wiedzielibyśmy, co znajduje się w środku. Teraz czuję się tak, jakbyśmy zawiedli Rafała, wiesz? Jakby jego poświęcenie poszło na marne...

Ewa wyciągnęła rękę i złapała dłoń Jacka, starając się go jakoś pocieszyć, chociaż sama miała łzy w oczach. W jednej chwili przypomniała sobie Rafała Żmudowicza i swoją znajomość z nim – czasy, gdy był szefem Legionu, karierę akademicką i w końcu przeistoczenie się w świetlisty byt, wciągany do przerażającego domu Sylwestra Sapielhy.

– Na pewno zrobiłeś, co w twojej mocy – powiedziała delikatnie, kiedy przełknęła ślinę. – Kto mógł wiedzieć, że do tego dojdzie.

Jacek zacisnął usta i powoli pokiwał głową.

– Stało się – powiedział i wziął duży łyk ze swojego kufła. Ewa zorientowała się, że wciąż trzyma dłoń chłopaka, więc szybko ją puściła. Zmieszała się lekko i tym razem to ona wbiła wzrok w blat stołu.

– A policja? – zapytała.

– Nadal prowadzi śledztwo – roześmiał się Jacek. – Nieoficjalnie wiemy jednak, że szanse na odnalezienie sprawcy są bardzo małe. Policjant stwierdził, że to była profesjonalna robota.

– A monitoring? – Mówiąc to, starała się przypomnieć sobie szczegóły zabezpieczeń w Młodzieżowych Domach Kultury, bo w jednym z nich przed laty odbywały się spotkania Legionu. – Chyba mają jakieś kamery, prawda?

– Tak, mają – powiedział chłopak, prawie zgrzytając zębami. – W naszym MDK-u są uszkodzone. Nie nagrywały niczego od miesiący.

– No wiecie! – Ewa pokręciła głową z niedowierzaniem. – Pewnie polecą tam teraz głowy, co? Dyrektor pewnie kogoś zwolni...

– Ha! – krzyknął chłopak. – Musiałby sam siebie zwolnić! Podobno usterka była zgłaszana już od dłuższego czasu, tylko dyrektor poskąpił pieniędzy na naprawę.

Jego towarzyszka chciała coś powiedzieć, ale tylko otworzyła usta, po czym je zamknęła.

– Oczywiście, żadnych świadków – kontynuował Jacek. – Nikt z okolicznych mieszkańców niczego nie widział, a kamery miejskie nie obejmują tego miejsca. Tak że dupa błada.

– No to rzeczywiście są nikłe szanse. – Ewa otrząsnęła się z zaskoczenia. – A może łatwiej będzie odszukać zleceniodawcę? Pewnie niewiele osób wiedziało o tym, że w MDK-u znajduje się dziennik?

Jacek pokręcił przecząco głową i westchnął ciężko.

– Co ty – powiedział z rezygnacją. – W gazetach ukazały się artykuły, wieść o tym znalezisku rozeszła się szeroko. To właśnie dzięki temu klub rozrastał się niezwykle szybko, powstały nowe sekcje, a ludzi cały czas przybywało. To, że mieliśmy dziennik Sapiehy, było powszechnie znanym faktem. Każdy choć trochę zainteresowany tematem mógł łatwo się o tym dowiedzieć. Nikt się nie krył z tą informacją.

– Ciężka sprawa – mruknęła Ewa.

– Tak – potwierdził Jacek i upił piwa. – Musimy się pogodzić z tym, że już nigdy więcej nie ujrzymy dziennika na oczy.

Dziewczyna pokiwała smutno głową i oboje zamilkli. W końcu Ewa przerwała ciszę.– Wiesz – zaczęła z wahaniem – ostatnio widziałam Sylwestra Sapię w biurowcu, w którym pracuję. Chyba znowu miewam halucynacje...

– To niedobrze – powiedział Jacek i uważnie się jej przyjrzał. – Rozmawiałaś już z kimś?

Pokręciła przecząco głową.

– Lekarze potrafią tylko zapisywać tabletki – mruknęła cicho, wiedząc doskonale, że to żaden argument – po których robi się niedobrze albo człowiek staje się ospały.

– Ewka – powiedział Jacek patrząc na nią współczująco.

Westchnęła głośno i wreszcie odważyła się spojrzeć na chłopaka.

– Tak, wiem... – powiedziała nieco radośniejszym tonem. – Jeśli go jeszcze raz zobaczę, to się do kogoś zgłoszę. W porządku?

Jacek przez dłuższą chwilę patrzył na nią wymownie, tak jakby chciał tym podkreślić wagę jej obietnicy, po czym poważnie kiwnął głową.

– Jakby cokolwiek się działo – powiedział wreszcie – to zawsze możesz na mnie liczyć. Spokojnie budź mnie nawet w środku nocy, jeśli będziesz chciała porozmawiać...

– Zapamiętam – obiecała Ewa i ponownie zajęła się smakowaniem swojego piwa.

*

Śniło jej się, że stoi w jakimś korytarzu, którego kolor i wystrój z grubsza przypomina biurowiec, w którym mieściło się BS&D. Tonała w zimnym blasku jarzeniówek, które nie dawały ani ciepła, ani zbyt wiele światła. Ewa odniosła wrażenie, że ciemność napiera na nią ze wszystkich stron, a nieprzenikniony mrok tężeje. Czuła zagrożenie, którego jednak nie ucieleśniała żadna postać. Tak jakby niebezpieczna była sama przestrzeń wokół niej. Koniec korytarza ział czarną, nieprzeniknioną pustką. Ewa miała poczucie, że to właśnie z tego miejsca wydostaje się coraz bardziej namacalna ciemność.

Mrok zaczął tłumić światło jarzeniówek. Ostatnia lampa zamigotała, tak jakby miała zaraz zgasnąć. Czerń napierała coraz mocniej, tak mocno, że ściany zaczęły szarzeć.

Trach! Jarzeniówka wybuchła kaskadą iskier i zgasła. W ulotnym niczym myślnym błysku Ewa ujrzała w głębi korytarza ciemną postać w charakterystycznym wysokim kapeluszu.

Wokół rozlegał się dziwny dźwięk, ciche trzeszczenie, które przypominało odgłos zgniatania aluminiowej puszki. Światło lamp zaczęło prawie niezauważalnie pulsować i ostatkiem sił wydobywało z siebie jasność.

Trach! Wybuchła kolejna lampa. Iskry, krótki błysk i ponownie ciemna sylwetka mężczyzny w wysokim kapeluszu.

Ciemność była coraz bliżej. Przez ciche skrzypienie i trzeszczenie przebił się drugi odgłos. W pierwszym momencie był nie do odróżnienia od tła i Ewie wydawało się, że to tylko kolejna fala napierającej ciemności. Ale rytmiczny dźwięk przybrał na sile, stał się wyraźniejszy, wyróżniał się na tle trzasków. Po chwili Ewa rozpoznała go – była to drewniana laska uderzająca o podłogę.

Stuk, stuk. Źródło dźwięku zbliżało się do Ewy, choć nadal było ukryte w mroku.

Trach! Iskry, błysk i ciemna sylwetka. Stuk, stuk, dźwięk laski uderzającej o podłogę stawał się coraz głośniejszy. Jednocześnie ciemność zbliżała się coraz bardziej, oblepiając wszystko niczym smoła. Ściany korytarza intensywnie pociemniały, a Ewę chroniło już tylko kilka jarzeniówek. Młoda kobieta poczuła rosnący strach, który za chwilę miał się zamienić w panikę.

Trach! Stuk, stuk, coraz bliżej, coraz głośniej. Trach, trach, trach!

A w jego oczach lśniły iskry...

*

W ciemnym pokoju hotelowym paliła się tylko jedna lampka, ustawiona na blacie nocnego stolika. Całe obszerne, luksusowe pomieszczenie tonęło w półmroku. Ale nie przeszkadzało to Walterowi Szymanowickiemu w żaden sposób. Lubił podkreślać wyjątkowość sytuacji, a także nieprzeciętność własnej osoby panującą wkoło ciemnością. Wydawało mu się, że przytłumione światło nada temu spotkaniu posmak tajemniczości.

Siedział na wygodnym fotelu, a po drugiej stronie stolika, na szerokiej, miękkiej kanapie spoczywał jego rozmówca, wysoki, dobrze zbudowany blondyn. Bartosz Krajan był od lat współpracownikiem Waltera, jak również egzekutorem jego woli.

– Urządzenia zostały rozłokowane w biurówcu – powiedział cicho Bartosz. Był przejęty. Być może tak właśnie podziałało na niego przytłumione światło, ale bardziej prawdopodobne, że po prostu dobrze zdawał sobie sprawę z tego, kim jest jego

rozmówca. Z tego, jakimi funduszami dysponuje i co jest w stanie zrobić. – Dokładnie tak, jak chciałeś.

– Nikt się tobą nie interesował? – zapytał Walter. Dobrze mówił po polsku, ale w jego głosie słychać było obcy akcent.

Bartosz z powagą pokręcił głową.

– Z rana kręci się tam mnóstwo osób – powiedział. – Poza tym większość jeździ windą, nie widziałem nikogo na klatce schodowej. W zasadzie to dość zabawne...

Krajan zachichotał. Walter przyglądał mu się dłuższą chwilę. Nagle ciszę przerwało dyskretne brzęczenie sygnału alarmowego, dochodzące z zegarka biznesmena. Szymanowicki sięgnął do kieszeni i wyjął małą plastikową fiolkę. Wyjął z niej niewielką pigułkę, po czym szybko ją połknął.

– Na każdym piętrze? – zapytał, popijając pigułkę wodą ze szklanki.

– Tak, ukryłem urządzenia na każdym piętrze – potwierdził Bartosz, kiwając głową. – To na pewno zadziała?

– Tak – potwierdził Walter. – Na efekty nie trzeba będzie długo czekać...

– Zdziwiająco, jak technologia i okultyzm mogą ze sobą współgrać – powiedział Bartosz i uśmiechnął się drapieżnie. – Kto by pomyślał, że dokończymy przedwojenny rytuał przy pomocy współczesnych urządzeń!

– To w zasadzie konieczność – odparł Walter bez cienia emocji. – Zebranie odpowiedniej liczby wystarczająco zmotywowanych ludzi z odpowiednim potencjałem psychicznym byłoby obecnie raczej niemożliwe, a na pewno trwałoby zbyt długo. Na pewno przydzielą ci sprawę samobójstwa?

Bartosz pokiwał głową, prostując się na fotelu i przybierając bardziej formalną pozę, charakterystyczną dla oficera policji.

– Pod warunkiem, że pojawi się jeszcze jakaś nielegalna broń – powiedział i kiwnął głową. – Albo podejrzenie morderstwa. Zwyczajne samobójstwo trafia do kogoś innego.

Walter przymrużył oczy. Przez krótką chwilę analizował poszczególne możliwości i plany, po czym odetchnął krótko.

– Trafi do ciebie – powiedział. – Załatwię to. Działanie fal z nadajników skupi się na dwunastym piętrze, ale będziemy potrzebowali jeszcze katalizatora, który ostatecznie załatwi sprawę. Sprawa samobójstwa pozwoli ci na dostęp do biur tamtej firmy. Podrzucisz urządzenie przy okazji przeprowadzania oględzin.

– Jeśli będzie tak małe jak poprzednie – odrzekł powoli Bartosz – to nie powinno być z tym żadnego problemu.

– Będzie jeszcze mniejsze – odparł Walter i ponownie zamyślił się na krótką chwilę. – Rytuał dokończymy w piwnicy. Od momentu samobójstwa będziemy mieli tydzień, zanim ktoś się zorientuje, że na dwunastym piętrze dzieje się coś niezwykłego.

– Będą się zachowywać aż tak dziwnie? – zapytał Bartosz.

– Zważywszy na miejsce, w którym powstał biurowiec – mruknął Walter i po raz pierwszy w trakcie trwania tej rozmowy się uśmiechnął – będą się zachowywali bardziej niż dziwnie...

*

Kolejny dzień pracy dla BS&D, pomyślała Ewa, stojąc jak zwykle z rana w kolejce do windy. Dyskretnie rozejrzała się dokoła i odetchnęła z ulgą, kiedy nigdzie nie zobaczyła Roberta Komara. Dobrze przynajmniej, że nie natknęłam się znowu na zjawę Sylwestra Sapiehy. Inaczej musiałabym się do kogoś zgłosić, tak jak obiecałam Jackowi...

Ze zdziwieniem stwierdziła, że pomyślała o swoim koledze jak o przystojnym młodym mężczyźnie. Czyżby już czas, by ponownie znaleźć sobie chłopaka? Przez wiele miesięcy nie myślała wcale o byciu w związku. Zbyt wiele się działo w jej głowie od czasu eksperymentu w domu Sapiehy, by znalazło się miejsce jeszcze dla kogoś innego. Zastanawiała się, jak długo już z nikim nie była i ile czasu minęło od ostatniego prawdziwego zbliżenia?

– Wsiada pani? – Pytanie mężczyzny trzymającego drzwi windy wytrąciło ją z zamyślenia. Nawet nie zauważyła, kiedy znalazła się tuż przed kabiną.

– Tak – powiedziała wchodząc do środka. – Dziękuję.

– Też bywam nieprzytomny z rana – powiedział przystojny facet i uśmiechnął się do niej czarująco.

Ewa tylko wymamrotała coś w odpowiedzi i odwróciła wzrok. Nie, to jeszcze nie był czas na szukanie sobie faceta. A już na pewno nie z grona tych, którzy pracowali w tym samym budynku co ona!

Jej spojrzenie padło na kobietę stojącą po jej lewej stronie. Okazało się, że znowu podróżuje windą w towarzystwie podrygującej melomanki w obcisłej, krótkiej spódniczce. I choć dziewczyna była ubrana tak jak zwykle, nie wyłączając charakterystycznych blad różowych rajstop, można było w niej zauważyć jakąś uderzającą dysharmonię. Zamiast rytmicznie stukać obcasem do taktu i od czasu do czasu poruszać się delikatnie w takt melodii słyszanej w słuchawkach, dziewczyna stała spokojnie w miejscu. Z głową lekko pochyloną do przodu wpatrywała się w podłogę. Przez pewien czas Ewa myślała, że szum, który słyszy, dochodzi gdzieś z zewnątrz, być może jest związany z działaniem jakichś mechanizmów windy. Tymczasem okazało się, że były to dźwięki muzyki, której słuchała dziewczyna, zwana w jej firmie Tancerką. Kiedy rozległ się charakterystyczny dla cięższych utworów metalowych wrzask, Ewa aż otworzyła usta ze zdziwienia. Po chwili jednak doszła do wniosku, że każdemu przecież mogą się zmienić preferencje – chociaż nagły

przeskok z muzyki trance do black metalu był czymś dość wyjątkowym. Ewa pamiętała jednak czasy, kiedy słuchała popu albo tego, co po prostu leciało w radiu. Teraz co prawda sama skłaniała się ku cięższym, mroczniejszym brzmieniom, ale jej zmiana gustów muzycznych przebiegała stopniowo, by zatrzymać się tuż przed najbardziej technicznymi i „niemelodyjnymi” odmianami metalu.

Charakterystyczny odgłos zatrzymującej się windy ponownie wytrącił Ewę z zamyślenia. Ze zdziwieniem zdała sobie sprawę z tego, że jest już na dwunastym piętrze. Musiała znowu odpłynąć. Co się z nią dzisiaj działo?

Wysiadając, postanowiła rozpocząć dzień od wypicia mocnej kawy.

– Cześć, Ewa! – Nagły głos Roberta Komara spowodował, że aż podskoczyła ze strachu. Uderzyła dłonią o udo i zaczęła się śmiać.

– Ale mnie przestraszyłeś! – powiedziała wesoło, spoglądając na swojego kolegę z pracy. Tym razem pryszcz wykwitł tuż przy jego nosie. Duży, nabrzmiały, grożący samoistnym wybuchem, a Ewa nie chciała być w pobliżu, kiedy do tego dojdzie.

– Nie chciałem – powiedział Robert poważnie i w ogóle się przy tym nie uśmiechał.

Ewa uspokoiła się, widząc jego ponury nastrój, po czym postanowiła zmienić temat.

– Ty już w pracy? – zapytała, kiedy mijali pomieszczenia marketingowców.

– Tak – potwierdził Robert skinieniem głowy. – Robota sama się nie robi. Właśnie byłem u programistów, ale mnie zbyli, skurwysyny...

Ewa jeszcze nigdy nie słyszała takiego słownictwa z ust Roberta, który przecież ze wszystkich sił starał się pokazać, jakie ma profesjonalne i sumienne podejście do pracy.

– Znowu walczysz z jakimś konkretnym problemem? – dopytywała, przyglądając się mu badawczo.

– Szkoda gadać – powiedział z rezygnacją i machnął ręką, co również było do niego niepodobne. Zwykle lubił opowiadać o tym, czym się aktualnie zajmował, podkreślając swoją rolę w całej sprawie. Tym razem nawet nie podjął wątku.

Dotarli do pomieszczenia, w którym pracowali ludzie z ich działu. Ewa zaraz za drzwiami skręciła w lewo, natomiast Robert poszedł dalej, wprost do swojego boksu.

– Powodzenia – rzuciła za nim, ale odpowiedziało jej tylko niezrozumiałe mruknięcie. Położyła swój plecak koło krzesła, pochyliła się i włączyła komputer, po czym rzuciła krótkie spojrzenie w kierunku „akwarium” dyrektora.

– Cześć, Ewka – przywitał się Darek Kazimierski i poprawił okulary na nosie.

– Cześć, Darek – odparła, zdejmując kurtkę i zmierzając w kierunku wieszaka. – Sakiewka ma dzisiaj telekonferencję, że go jeszcze nie ma w gabinecie?

Dyrektor był znany z tego, że zwykle pojawiał się w pracy jako jeden z pierwszych. Jego nieobecność oznaczała więc, że albo ma telekonferencję, albo

załatwia jakieś organizacyjne sprawy w innym miejscu.

– Nic o tym nie wiem – odpowiedział chudzielec. – Ale wiesz, ja tam jestem od wydruków, nie wiem nic na temat planów szefostwa. Więc to chyba pytanie nie do mnie.

Sądząc po tym, że trzymał kubek w dłoni, zmierzał do pomieszczenia socjalnego. Zatrzymał się jednak raptownie i podszedł bliżej biurka. Ewa zdążyła usiąść i włączyć monitor, a kiedy spojrzała w górę, ujrzała przed sobą twarz Kazimierskiego.

– Wiesz co – powiedział konspiracyjnym tonem – przeglądałem wczoraj w necie informacje na temat tej magii chaosu.

– O? – zdziwiła się Ewa, ale zaraz uśmiech rozjaśnił jej twarz. Wyglądało na to, że Darek potrafił wyrwać się z okowów swoich przekonań i otworzyć trochę na odmienne idee. – I co o tym sądzisz?

– Bardzo interesujące – powiedział z przejęciem i poprawił sobie okulary na nosie. – Naprawdę, bardzo interesujące.

– No to się cieszę, że cię to zainteresowało – odpowiedziała, uśmiechając się lekko. Reakcja Darka rozbawiła ją.

– I mam do ciebie pytanie – mówił dalej, jeszcze bardziej ścisząc głos – jako do osoby, która interesuje się tym dłużej niż ja, takiej, która posiada wiedzę...

– Słucham – powiedziała również szeptem, z pogodnym uśmiechem.

– Czy można... – tutaj Darek zawahał się na moment – sprawić za pomocą magii, by ktoś zmienił swoje zachowanie?

– Ktoś? – zdziwiła się.

– Tak. – Darek kiwnął głową, po czym poprawił opadające na czoło włosy. – Na przykład, żeby dziewczyna była bardziej chętna. Wiesz, pójść do łóżka...

Ewa zamruwała i przyjrzała mu się zaskoczona.

– Najlepiej jeszcze, gdyby później nic z tego nie pamiętała – kontynuował, a na jego twarzy pojawiły się wypieki. – Wiesz, coś na zasadzie jakiejś magicznej hipnozy czy czegoś w tym rodzaju. Można tak zrobić?

Ewa nie wiedziała, co powiedzieć, i tylko lekko zszokowana patrzyła na poważną i przejętą minę Kazimierskiego.

– Wkręcasz mnie? – zapytała wreszcie. – Bo wiesz, do tego, o czym myślisz, nie trzeba magii, wystarczy pigułka gwałtu.

Przez moment jeszcze starał się być poważny, po czym nagle wybuchnął śmiechem.

– No pewnie, że cię wkręcam! – powiedział prostując się. – Taka tutaj ostatnio paskudna atmosfera, że trzeba się trochę rozluźnić, prawda?

Ewa również się uśmiechnęła i pokręciła głową.

– Okropny jesteś, w pierwszej chwili myślałam, że mówiłeś na poważnie – przyznała i odgarnęła włosy z twarzy.

Darek prychnął śmiechem i także pokręcił głową.

– Ależ ty jesteś naiwna – powiedział z sympatią. – I przestań czytać książki o bzdurach, dobrze ci radzę.

Pokiwała głową, ale oczywiście nie miała zamiaru rezygnować ze swoich zainteresowań. Uśmiechnął się do niej jeszcze raz, po czym ruszył w kierunku pomieszczenia socjalnego. Ewa skupiła się na uruchomieniu wszystkich niezbędnych do pracy programów.

Nagle na korytarzu rozległ się charakterystyczny dźwięk kroków Katarzyny Lewczuk. Tym razem stukot był jeszcze szybszy niż zwykle i w chwilę potem do biura wpadła niczym burza jedna z najbardziej znienawidzonych pracownic działu. Czerwona na twarzy, z rozwichrzonymi włosami i swoim dużym nosem wyglądała teraz naprawdę jak wredna jędra. Krótkimi szarpnięciami zdjęła z siebie sprezentowany jej przez męża płaszcz i energicznie powiesiła go na wieszaku. Przez chwilę wodziła dokoła wściekłym spojrzeniem, aż zauważyła Ewę i podeszła do niej. Usiadła ciężko na krześle Barbary Zielińskiej, zgrzytnęła zębami i westchnęła ciężko.

– Co się stało? – zapytała zaskoczona Ewa, pochylając się w stronę koleżanki i kładąc jej dłoń na kolanie w poufałym geście. Patrzyła na nią wyczekująco.

– Jakaś pizda złożyła na mnie skargę! – warknęła Katarzyna przez zęby i spojrzała podejrzliwie na Ewę.

– Jak to skargę? – zdziwiła się Makuszevska i cofnęła rękę pod wpływem jej wzroku. – I skąd wiesz, że to kobieta?

Kasia odetchnęła jeszcze raz i uderzyła pięścią w stół tak mocno, że Ewa podskoczyła ze strachu.

– A może to ten skurwysyn Skurski? – wyraziła swoje przypuszczenia, ale zaraz potem zawzięty wyraz twarzy powrócił ze zdwojoną siłą. – Nie! To na pewno ta pizda Zielińska! Nienawidzi mnie za to, że osiągnęłam sukces, że dobrze mi się wiedzie. Uważaj na nią, Ewka, bo ciebie też podpierdoli, jak tylko będzie miała okazję!

Ewa stwierdziła, że chyba zanosi się na gwałtowne zmiany pogodowe, bo ludzie naprawdę zaczynają się dziwnie zachowywać. Katarzyna Lewczuk zawsze była energiczna i szybko wpadała w złość, ale zwykle kończyło się tylko na podniesieniu głosu i złośliwych słowach, wypowiedzianych jadowitym tonem. Tym razem było inaczej.

Kasia westchnęła jeszcze raz, po czym się rozluźniła.

– Dobrze, że za niecałe dwa tygodnie jadę na wakacje – powiedziała z ulgą. – Odpocznę od tego domu wariatów. Razem z Karolkiem płyniemy w rejs.

– O? – zainteresowała się Ewa, szczęśliwa, że koleżance już przeszło. Chyba jednak wołała, gdy Kasia się przechwalała, a nie wściekała. – A dokąd?

Kasia rozsiadła się teraz wygodniej na krześle i uśmiechnęła promiennie.

– Na Karaiby – powiedziała rozmarzona. – Będziemy płynąć takim wielkim wycieczkowcem. Wiesz, baseny, restauracje, kina nawet, tam jest wszystko! Takie pływające miasto i to luksusowe! Karolek załatwił nam w last minute, kilka tysięcy tylko. Nawet ciebie byłoby stać na taką wycieczkę!

– No proszę – odparła Ewa wesoło, udając, że ostatnie zdanie wcale jej nie uraziło. – To rzeczywiście bardzo fajna sprawa.

– Żebyś wiedziała, że fajna! – dodała Kasia wstając z krzesła. – Już nie mogę się doczekać!

– Wcale się nie dziwię – odparła Makuszevska. Popatrzyła za koleżanką, znikającą właśnie w labiryncie ścianek boksów.

Sama też chciała pojechać na jakąś wycieczkę, najlepiej w góry. Od nudnego morza wolała pofałdowany teren, a od prażenia się na plaży przemierzanie leśnych szlaków. Nawet kilkudniowy urlop byłby dla niej jak wybawienie, bo miała dość swojej pracy. Męczyło ją ciągłe udawanie i wtapianie się w tłum. Męczyła ją obecnie panująca atmosfera, męczyło ją tu dosłownie wszystko.

Odchyliła się do tyłu na oparciu krzesła i westchnęła ciężko. I jeszcze to tempo pracy! Normalny dzień polegał na robieniu kilku rzeczy jednocześnie, wszystkie były oczywiście bardzo ważne i „na wczoraj”. W tę pracę musiała włożyć naprawdę wiele sił, jednocześnie zdając sobie sprawę z tego, że nie zostanie to jakoś szczególnie docenione – tak robili przecież wszyscy. Nie zarabiała mało jak na bydgoskie standardy, ale nadal były to śmieszne pieniądze. Przecież już od dawna ceny w Polsce osiągnęły poziom zachodnioeuropejski. To wszystko sprawiało, że nie była w stanie cieszyć się swoją pracą.

Nagle wyczuła wibrację telefonu, przyszedł SMS. Szybko sprawdziła, od kogo, i mimowolnie uśmiechnęła się, kiedy ujrzała, że autorem jest Jacek. Wiadomość była krótka i treściwa: „Ten piątek, godzina 21, koncert Percivala w Estradzie. Już kupiłem bilety, tak że nie ma opcji byś się wymigła”.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej i uznała, że ta odrobina szaleństwa rzeczywiście się jej przyda. Pamiętała, że podczas spotkania w Merlinie opowiadała Jackowi, jak bardzo lubi polski zespół folkmetalowy Percival Schuttenbach, szczególnie głosy wokalistek. Miała wielką nadzieję, że zagrają Braniewo Song, bo zwykle wtedy wszyscy śpiewają razem z zespołem i to jest bardzo klimatyczne.

Szybko odpisała Jackowi, że akceptuje propozycję i postanowiła, że skoro jakimś cudem udało jej się załatwić najpilniejsze sprawy, to czas najwyższy powędrować do pomieszczenia socjalnego i zrobić sobie wreszcie tę kawę. Przechodząc obok boksu Roberta zauważyła, że ten wściekle gryzmoli jakieś notatki. Bazgrał długopisem, poprawiał to, co przed chwilą napisał, i oddawał się temu w tak szalony sposób, że Ewa wątpiła, by cokolwiek z tego zdołał później przeczytać. Postanowiła jednak nie

zatrzymać się i dać Komarowi spokój. Co więcej, stwierdziła nawet, że nie będzie się rozglądała na boki, by oszczędzić sobie kolejnych niepokojących obrazów.

*

Zbliżając się do pomieszczenia socjalnego usłyszała dobiegające stamtąd przyciszone głosy, ale nie mogła rozpoznać poszczególnych słów. Kiedy weszła do środka, rozmowy ucichły. Mały pokójki szczelnie wypełniali koledzy z pobliskiego boksu. Cała drużyna w osobach Michała Wąskiego, Mariusza Ziemowita i Andrzeja Skurskiego stała wokół ekspresu do kawy, natomiast resztę pomieszczenia zajął olbrzymi w swej tuszy Jurek Woźniakowski. Ewa zatrzymała się w progu, spoglądając zaskoczona na swoich kolegów i próbując nie dać po sobie poznać, że zabolą ją ich reakcja. Poczuli się nagle wyrzucony poza margines. Co prawda nie była szczególnie towarzyską osobą, ale z pewnością nie brakowało jej umiejętności komunikacji z innymi.

Żeby szybko rozładować sytuację, Mariusz roześmiał się i zrobił charakterystyczny dla siebie grymas.

– Cicho, cicho! – powiedział, niby w żartach. – Bo przyszła!

– Prawie by się wydało – dodał Michał Wąski i mrugnął do niej porozumiewawczo.

– Muszę wracać do tego rzeźbienia w gównie – powiedział Jurek basem i przepchnął się do wyjścia, starając się nie uronić nawet kropli herbaty ze szklanki. – CRI samo się nie naprawi.

Pozostali zajęli się swoimi herbatami i kawami, więc Ewa również zabrała się za przygotowywanie aromatycznego napoju.

– Sprawdzę, czy skończyło się już weryfikowanie spójności danych – mruknął poważnie Skurski i skierował się do wyjścia.

– Ej, a słyszałeś ten ostatni kawał o Trumpie i Wałęsie? – Doskoczył do niego jak zwykle energiczny i wesoły Mariusz.

– Słyszałem – uciął Andrzej, po czym obaj wyszli w ślad za swoim potężnym kolegą.

Ewa dołąła świeżej wody do czajnika i nacisnęła przycisk.

– Atmosfera jest ostatnio napięta, co? – zagadnęła Michała, który właśnie obierał sobie banana. Chłopak zmieszał się lekko i wbił wzrok w podłogę.

– Bardzo napięta – odpowiedział i odgryzł kęs. Westchnął ciężko, jakby podjął jakąś ważną decyzję, i podszedł bliżej. – Ktoś podpierała innych.

Ewa nadstawiła uszu i spojrzała na młodego kolegę, nieskażonego jeszcze chorobą korporacyjności.

– I to w tak wredny sposób – dodał Michał ze szczególnym naciskiem na słowo „wredny” – że góra się tym zainteresowała. Rozumiesz? Sprawa przeskoczyła Sakiewkę! Centrala domaga się oficjalnego raportu i podjęcia działań.

– O kurczę – wyszeptała z przejęciem.

– No – potwierdził Michał, śmiesznie kiwając głową z szeroko otwartymi oczami.
– Dodaj do tego ciągle skargi klientów o nieterminowe wykonywanie zleceń i wyjdzie ci na to, że czyjeś głowy będą musiały polecieć. A i nie powiedziane, że sam Sakiewka jest bezpieczny, w końcu to on odpowiada za pracę i wyniki całego działu.

– To pewnie dlatego taki jest ostatnio – mruknęła cicho Ewa, kiedy dotarła do niej powaga opisanej przez niego sytuacji. – Muszą go tam ostro cisnąć...

– Oj, na pewno – potwierdził Michał. – Wiesz, jak to jest w korporacji, góra zawsze żąda wyników. Oni nie widzą ludzi, tylko cyferki i słupki, które przekładają się na kasę.

– Tylko że Sakiewka zawsze wydawał się taki... – Tutaj Ewa zawahała się, szukając odpowiedniego słowa.

– Odporny? – podpowiedział Wąski.

– Tak – powiedziała cicho dziewczyna. – Zawsze tryskał humorem, a teraz to wrak człowieka.

– I to w jak krótkim czasie – dodał niewyraźnie Michał, przeżuując resztę banana. – Zauważ, że zmiana nastąpiła wyjątkowo szybko. Do niedawna było tak jak zawsze i nagle kilka dni temu szef zaczął na wszystkich wrzeszczeć i zachowywać się jak dupek. A przecież nigdy taki nie był.

– Myślisz, że teraz pokazał swoje prawdziwe oblicze? – wyraziła swoje przypuszczenia. – Że wcześniej tylko udawał serdeczność?

– Nie sądzę – odpowiedział Michał. – Nie dałby rady tak długo nie zachowywać pozorów. To chyba nie ten typ człowieka...

– Ale niektórzy przecież tacy są – mówiła dalej. – Uśmiechają ci się w twarz, a w plecy wbijają nóż.

– Masz trochę racji – przerwał jej Michał i sięgnął po swoją herbatę. – Ja tam jednak nie wierzę, żeby Sakiewka był tak naprawdę dupkiem. Wydaje mi się raczej, że ktoś podkłada mu świnię. Może liczy na to, że zwolnią Sakiewkę i to on albo ona przejmie posadę dyrektora działu? Jakby nie było, trzeba się teraz mieć na baczności i nie dawać komukolwiek powodów do oskarżenia.

– Masz rację – powiedziała i popatrzyła na czajnik, w którym woda już zaczynała się gotować. – Tylko to oznacza, że atmosfera u nas jeszcze długo się nie poprawi.

– Co zrobić – powiedział, wziął szklanekę herbaty i ostrożnie wyszedł z pomieszczenia socjalnego.

Ewa westchnęła ciężko, bo zdała sobie sprawę z tego, że praca na serwisie informatycznym przez jakiś czas będzie dla niej jeszcze trudniejsza niż zwykle.

Czajnik wydał charakterystyczne pstryknięcie, więc chwyciła go i zalała sobie kawę. Wsypała do szklanki jedną łyżeczkę cukru – od pewnego czasu ograniczała jego spożywanie – i zamieszała. Przez chwilę stała w miejscu, obserwując krążącą pośrodku piankę, wreszcie odetchnęła raz jeszcze i wróciła na swoje stanowisko pracy.

Kiedy dotarła do biurka, okazało się, że Barbara siedzi już na swoim miejscu. Wysmukła blondynka miała skrzywioną minę, co zwiastowało, że na pewno będzie marudzić.

– Cześć, Ewka – powiedziała, nawet się nie uśmiechając. – Jak ci się pracuje w dziale pełnym konfidentów? Na ciebie też już ktoś zdążył naskarżyć?

Ewa zachichotała i przeszła ostrożnie obok jej krzesła, postawiła szklankę na biurku i usiadła na swoim miejscu.

– Jeśli zdążył, to ja jeszcze nic nie wiem na ten temat – powiedziała, starając się zachować radosny wyraz twarzy.

W tym samym momencie do biura wkroczył dyrektor. Wyglądał jeszcze gorzej niż poprzedniego dnia. Ubranie miał w nieładzie, a oczy podkrążone. Ewie przebiegło przez myśl, że Marcin ma chyba teraz jakieś poważne kłopoty. Być może pokłócił się z żoną i jego małżeństwo się rozpada? Jego wygląd i zachowanie jasno wskazywały na to, że sprawa jest poważna. Obie kobiety spojrzały na niego zatroskane, wreszcie Ewa odważyła się odezwać.

– Cześć – powiedziała, ale nie doczekała się żadnej reakcji. Marcin powolnym, ospałym krokiem podszedł do drzwi swojego gabinetu i otworzył je, po czym zamknął się w środku. Wyciągnął z torby laptopa, otworzył go i zasiadł w fotelu. Od tego momentu praktycznie przestał się poruszać, wpatrując się bez słowa w ekran.

– Sprawa musi być naprawdę poważna – stwierdziła z przejęciem Basia. – Słyszałam, że nasza centrala mocno naciska Sakiewkę.

Ewa pokręciła głową przecząco.

– To nie może być tylko to – powiedziała po chwili zastanowienia. – Musi być coś więcej. Wątpię, by tak złamała go perspektywa utraty pracy albo, nie wiem, likwidacji działu. A przecież są to najpoważniejsze możliwe konsekwencje, które przychodzą mi do głowy w tej sytuacji.

– Chcą zlikwidować cały dział?! – wykrzyknęła Basia, czym zwróciła na siebie szereg przerażonych spojrzeń. – Przecież nie mogą wszystkich wyrzucić, nie?

– Nie chcą zlikwidować! – odparła Ewa, zirytowana, że jej koleżanka zawsze wyciąga najgorsze możliwe wnioski. – Zresztą nie wiem, może chcą, ale...

– Ale ludzie mają rodziny na utrzymaniu! – Choć jej koleżanka mówiła nieco ściszym głosem, prawdopodobnie słyszeli ją wszyscy w pomieszczeniu. – Nie mogą nas tak po prostu zlikwidować!

Ewa chciała coś powiedzieć, wytłumaczyć nieporozumienie, ale tylko zawahała

się, po czym machnęła ręką, stwierdzając, że to chyba gra niewarta świeczki. Z rezygnacją wróciła na swoje miejsce, a kiedy zajrzała do CRI, okazało się, że w międzyczasie przybyło jej do wykonania kilka kolejnych zadań. Pomyślała sobie, że nie ma czasu na gdybanie, kiedy obowiązki czekają, a gdy serwis obiegnie kolejna fantastyczna plotka, tym razem o likwidacji działu, to przecież nie będzie jej zmartwienie. Jeśli niektórzy pracownicy się trochę wystraszą, to tylko dobrze im zrobi.

Bez dalszej zwłoki zabrała się do pracy, a czas zaczął mijać z prędkością rozpędzonego pociągu. Logowanie się na zdalny pulpit, weryfikacja zgłoszenia, jeśli faktycznie występował problem, próba jego rozwiązania bezpośrednio w aplikacji, a jeśli to okazywało się to niemożliwe, działanie w bazie danych, w nadziei, że to odosobniony przypadek. I tak przez kolejne kilka godzin, które minęły jak z bicza strzelił.

Co jakiś czas Ewa podnosiła wzrok i spoglądała w kierunku Marcina. Przypominał jej kamiennego sfinksa. W pewnym momencie zauważyła zmianę w jego zachowaniu. Dyrektor siedział teraz inaczej, wpatrując się w coś, co trzymał na kolanach, tak jakby podejmował niezwykle ważną życiową decyzję. Ewa na chwilę spojrzała na ekran, upewniając się, czy wszystko jest w porządku w kilku linijskich kodach, nad którymi pracowała. Kiedy znowu podniosła wzrok na Marcina, ich spojrzenia spotkały się i był to moment, w którym Ewa wstrzymała oddech. Moment, który wyrył się w jej pamięci i pozostał tam na zawsze.

Marcin patrzył Ewie prosto w oczy, trzymając w ustach lufę odbezpieczonego rewolweru. W ciągu niespełna sekundy w jego oczach odbiła się cała mieszanka uczuć. Najpierw rezygnacja przemieszana ze wstydem, potem zaciekawienie, ostatecznie – coś jakby zrozumienie. Ewa wiedziała, co dyrektor zaraz zrobi i chciała krzyknąć, lecz zdążyła tylko nabrać powietrza w płuca i podnieść się z krzesła. Nastąpił głośny wystrzał i tył głowy dyrektora wybuchł czerwienią, która pokryła nieregularną plamą białą ścianę za nim. Najpierw nastąpiła nagła cisza, wszyscy przerwali pracę. Potem rozpętało się prawdziwe pandemonium, w całej sali rozbrzmiały pełne przerażenia krzyki. Podczas gdy ludzie wrzeszczeli, biegnąc wkoło i nerwowo dzwoniąc na wszelkie numery alarmowe, Ewa stała bez ruchu, wpatrując się w ciało Marcina Sakiewki i zastanawiając się, o czym myślał w tej krótkiej chwili. Co kryło się za jego ostatnim spojrzeniem? Wreszcie zaczęło do niej docierać, co się stało, i zrobiło się jej niedobrze.

*

Budynek został ewakuowany. Kiedy funkcjonariusze policji spisali wstępne zeznania, cały dział został odesłany do domów, by technicy mogli w spokoju zbadać

miejsce wypadku.

Ewa wróciła do siebie, ale nie mogła się na niczym skupić. Cały czas miała przed oczami Marcina z lufą rewolweru w ustach. I to jego spojrzenie...

Patrzył prosto w jej oczy, kiedy pociągał za spust. Jego wzrok był taki spokojny i wydawał się absolutnie świadomy. Świadomy tego, co się działo wokół, tego, co właśnie czynił. Tak jakby w jednej chwili zrozumiał wszystkie mechanizmy otaczającego go świata i pogodził się z ich ostatecznym efektem.

Makuszevska kręciła się po mieszkaniu, nie mogąc przestać myśleć o samobójstwie przełożonego. Czowała jakiś wewnętrzny przymus analizowania tej jednej, jedynej sekundy, która skończyła się wystrzałem. Mechanicznie wykonywała domowe czynności, czasami przerywając je i zastygając w bezruchu. Jej myśli pędziły coraz szybciej i szybciej, każąc patrzeć na tę koszmarną sprawę z coraz to innych perspektyw: porównując, oceniając, przeprowadzając symulacje i rachunki prawdopodobieństwa. Co by było, gdyby ktoś wszedł do środka i zauważył rewolwer leżący na kolanach dyrektora? A co gdyby spojrzała sekundę wcześniej i zauważyła broń? A gdyby zdążyła wstać i krzyknąć? Natrętne myśli nie przestawały jej atakować, niczym stado much nad rozkładającym się truchłem. Bzyczały nieustannie, powodując szum w głowie, absorbując całą jej uwagę na drobiazgowo analizy każdej nowej wariacji już wcześniej stworzonego scenariusza. W myślach wielokrotnie wchodziła do gabinetu Sakiewki, za każdym razem inaczej. Raz delikatnie pukając do drzwi, zanim to nastąpiło, innym razem gwałtownie i energicznie je otwierając. Wersje mnożyły się, różniąc się detalami: sposobem chwycenia klamki, długością kroku czy kątem obrócenia głowy. Każdy ze scenariuszy Ewa rozpatrywała na dziesiątki sposobów. Przytłoczona niezliczonymi wizjami, które uparcie pojawiały się jedna po drugiej, bez ustanku, bez chwili wytchnienia, coraz bardziej traciła poczucie względnej równowagi. Urojona rzeczywistość stawała się coraz realniejsza.

W pewnym momencie w tych wizjach zaczęła pojawiać się nowa postać: najpierw na skraju widzenia analizowanego właśnie scenariusza Ewa zaczęła widzieć tu kawałek czyjegoś płaszcza, tam fragment wysokiego kapelusza, a z czasem tajemniczy mężczyzna stawał się coraz wyraźniejszy. Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że dobrze zna tę postać. Chciała krzyknąć, kiedy zaczęła pojawiać się w jej wizjach w całej okazałości. Charakterystyczne ostre rysy twarzy i wzrok przewiercający na wskroś, do tego wysoki kapelusz, długi płaszcz i laseczka o zdobionej rączce...

Najpierw stał obok Ewy, kiedy szła w kierunku gabinetu dyrektora. Milczący i obserwujący każdy jej ruch. W dziesiątkach kolejnych wizji widziała inne ułożenie dłoni, inaczej postawioną stopę, ale jedno było pewne – Sylwester Sapieha znajdował się coraz bliżej. W kolejnych kilkunastu wersjach możliwych zdarzeń przedwojenny

okultysta otwierał usta, coś mówił. Jednocześnie w wizjach zaczęły pojawiać się nowe dźwięki, krótkie, ale coraz bardziej wyraźne. Fragmenty dłuższej frazy...

– Vol... – szeptał Sylwester Sapieha, stając coraz bliżej Ewy. – ...untas... – mówił coraz głośniejszym głosem, opierając się o framugę wejścia do „akwarium” – est... – Jego głos był coraz głośniejszy, tym razem dochodząc z wnętrza gabinetu. – ...tantum!... – niemalże krzyczał, siedząc w fotelu dyrektora i przesywając Ewę spojrzeniem.

Próbowała się uwolnić od natrętnych wizji, ale nie była w stanie. Krzyczała – a przynajmniej tak jej się wydawało – ale to nic nie dawało. Próbowała się wydostać z tej matni, odzyskać kontrolę nad pędzącymi myślami, ale obrazy nadal pojawiały się jeden za drugim, w oszalałym tempie. Tak bardzo chciała, by to szaleństwo już się skończyło!

W jednej z kolejnych wizji weszła do gabinetu i podeszła do biurka, za którym siedział Sylwester Sapieha. W dłoni trzymał nabity rewolwer, który powoli unosił w górę. Jednym wprawnym ruchem odbezpieczył go i skierował lufę w stronę dziewczyny.

– *Voluntas est tantum...* – powiedział i wystrzelił.

Odgłos strzału przywrócił Ewie przytomność. Jej głowa odskoczyła do tyłu, jakby rzeczywiście została ugodzona pociskiem, i w ostatniej chwili udało jej się utrzymać równowagę. Oddychała ciężko, nie potrafiąc zrozumieć, co się właściwie stało.

Jeszcze przed chwilą zmywała w kuchni naczynia, potem pojawiły się te upiorne wizje, a teraz... stała przed ścianą w swoim pokoju. Zobaczyła na niej odręcznie zrobiony napis „*Voluntas est tantum*”, co sprawiło, że chciała zakryć usta dłonią. Ale powstrzymała się gdy zdała sobie sprawę, że trzyma w ręku otwarty pisak. I choć wszystko wskazywało na to, że to ona musiała napisać te słowa, litery miały kształt, który wcale nie przypominał jej pisma. Mimo że odręczne, było bardzo zgrabne, przypominające ten typ wzornictwa, który można było znaleźć w starych zeszytach do kaligrafii.

Ewie zrobiło się słabo. Cofnęła się kilka kroków, oparła o stół i ciężko usiadła na krześle. Położyła pisak na blacie i ukryła twarz w dłoniach. Zaczęła kiwać się w przód i w tył, tak jakby ten ruch miał przynieść jej ukojenie. Wreszcie wstała ponownie, wytarła nos dłonią i ruszyła do pokoju w poszukiwaniu telefonu.

Chwyciła go drżącymi rękami, wyszukała odpowiedni kontakt i zadzwoniła. Próbując przezwyciężyć płacz, poczekała na zgłoszenie się recepcjonistki.

– Dzień dobry – powiedziała drżącym głosem – chciałabym się umówić na wizytę do lekarza...

*

Śniło jej się, że siedzi w pracy, na swoim zwykłym miejscu, za charakterystycznym biurkiem. Wszystko było jednak przymglone i nieostre. W rogach pomieszczenia gęstniała ciemność. Wszystkie boksy, do których mogła zajrzeć z tej perspektywy, wydawały się puste. Nikogo nie było również w gabinecie dyrektora.

Nagle do biura wpadł Marcin. Jego koszula łopotiała na niewyczuwalnym wietrze, usta miał otwarte w niemym krzyku. Poruszał się w zwolnionym tempie, jakby jego nogi stały się ciężkie niczym żelazne kolumny, i co chwila oglądał się za siebie, w kierunku korytarza, z którego wybiegł. Jednakże słyhać było tylko szum napierającej ciemności. Dyrektor wyglądał na przerażonego. Próbował desperacko biec w kierunku swojego gabinetu, ale poruszał się tak powoli, że niemal stał w miejscu.

W pewnym momencie usłyszeli charakterystyczny dźwięk dochodzący z korytarza. Stuk laski, uderzającej o podłogę. Najpierw cichy, ledwo słyszalny, później coraz wyraźniejszy i głośniejszy...

Świetlówki zamigotały, jakby próbując walczyć z nacierającą, coraz bardziej wszechobecną ciemnością. Dyrektor wreszcie zauważył Ewę. Spojrzał na nią najpierw z zaskoczeniem, jakby nie potrafił zrozumieć, co ona tam w ogóle robi, ale po chwili w jego wzroku pojawiło się zrozumienie. Zatrzymał się i odwrócił w stronę wejścia, dumnie unosząc głowę. Stał tak przez chwilę, a dźwięk dochodzący z korytarza był coraz głośniejszy. Nagle laska stuknęła głośno o podłogę, zabrzmiał huk wybuchającej świetlówki i Marcin wygiął się do tyłu, chwytając za głowę. Wreszcie upadł i zastygł w bezruchu.

Kiedy przerażona Ewa przeniosła wzrok w kierunku, z którego nadbiegł dyrektor, zobaczyła, że w przejściu stoi Sylwester Sapieha. Okultysta patrzył prosto na Ewę. Jego spojrzenie przerażało i hipnotyzowało jednocześnie.

– Voluntas est tantum – powiedział silnym, emanującym pewnością siebie głosem.
– Ad vitam aeternam.

Mag uniósł laskę i stuknął nią o podłogę.

W tym samym momencie Ewa obudziła się zlaną zimnym potem.

Rozdział 4

Kolejnego dnia zjawiała się na przesłuchaniu w bydgoskiej komendzie policji, znajdującej się niedaleko miejsca jej pracy. Apatycznie spoglądała na białe, sterylne ściany komisariatu. Przeszkłone przejścia i błyszczące, chromowane poręcze tworzyły wrażenie czystości i nowoczesności. W środku było chłodno, ale nie na tyle, by czuć zimno – klimatyzację ustawiono perfekcyjnie.

Zastanawiała się, jak będzie wyglądało przesłuchanie. Czy będzie dobry i zły glina? Czy będą próbowali wmieszać ją w jakieś pokrętne śledztwo – przecież to ona znajdowała się najbliżej Marcina, zanim ten strzelił sobie w głowę. Czy ktoś zacznie jej grozić? Słyszało się przecież tyle historii o niewłaściwym zachowaniu policji i jej pomyłkach. W końcu pokręciła głową – nie ma sensu popadać w paranoję.

– Pani Ewa Makuszevska? – zapytał przyjemnie brzmiący, męski głos i Ewa podniosła wzrok. Chciała odpowiedzieć, ale zaskoczona widokiem policjanta zdołała tylko kiwnąć głową. Był to ten sam mężczyzna, którego widziała w biurowcu kilka dni temu, wychodzącego z klatki schodowej! Tym razem stał przed nią ubrany w niebieskie jeansy i luźną niebieskawą koszulę w kratę, pod którą kryła się niezła muskulatura.

Blondyn uśmiechnął się do niej i gestem wskazał drzwi.

– Zapraszam – powiedział, po czym kiwnął dłonią w kierunku czytnika. – Tylko proszę zbliżyć przepustkę, żeby system odnotował pani wejście.

– Oczywiście – odparła i zrobiła, co jej kazano. Kiedy tylko przepustka znalazła się obok czytnika, świecąca się na czerwono dioda zgasła, a zamiast niej rozbłysło zielone światełko.

– Bartosz Krajan – przedstawił się policjant, po czym poprowadził Ewę korytarzami.

Dziewczyna przyglądała się mężczyźnie z zainteresowaniem. Obserwowała, w jaki sposób się porusza i przyłapała się na tym, że jej wzrok nieustannie kierował się ku jego rozłożystemu plecom.

Dotarli do kolejnej sekcji budynku, oddzielonej od poprzedniej następnymi drzwiami. Krajan zbliżył swoją kartę do czytnika, po czym powiedział: – Tutaj również proszę odbić.

Ewa posłusznie zbliżyła swoją przepustkę i gdy zabłysło zielone światło, oboje przeszli dalej.

– Przepraszam, ale wydaje mi się, że pana już wcześniej widziałam – powiedziała Ewa.

Bartosz Krajan na chwilę odwrócił głowę.

– Doprawdy? – zapytał przyjaźnie.

– Tak, w biurowcu, w którym pracuję – mówiła dalej. – Szłam do pracy, a pan wychodził z klatki schodowej.

Policjant przyjrzał się jej uważnie, po czym uśmiechnął serdecznie i ruszył dalej korytarzem.

– Tak, pamiętam – powiedział kiwając głową. – Szedłem odwiedzić kolegę, który też pracuje w tym miejscu.

– Ach – odparła Ewa, bo tylko tyle zdołała wykrztusić.

Wreszcie oboje dotarli do pomieszczenia, w którym znajdowały się biurko, kilka szafek oraz cała masa różnych dokumentów poupychanych w segregatorach. Krajan wskazał Ewie krzesło, po czym zasiadł na swoim miejscu i uruchomił leżącego laptopa.

– Jak sądzę, domyśla się pani, w jakim celu została wezwana na przesłuchanie? – zapytał, spoglądając spokojnie na rozmówczynię. A kiedy ta kiwnęła głową, kontynuował: – Została pani wezwana w charakterze świadka w sprawie śmierci Marcina Sakiewki. Oczywiście, muszę panią poinformować, że zgodnie z artykułem numer dwieście trzydzieści trzy Kodeksu Karnego, paragraf jeden, składanie fałszywych zeznań w postępowaniu podlega karze pozbawienia wolności do lat trzech.

Ewa zamrugła oczami, po czym jeszcze raz kiwnęła głową.

– Rozumiem – powiedziała i przełknęła ślinę. Przesłuchanie zaczęło się bardzo poważnie.

– Dobrze. – Krajan uśmiechnął się, co zdecydowanie zmniejszyło napięcie. – Przesłuchanie będzie polegało na przedstawieniu przez panią okoliczności śmierci pana Marcina Sakiewki, tak jak pani to widziała. Sporządzimy protokół, który następnie pani przeczyta i jeśli wszystko będzie się zgadzało, podpisze go pani.

– Wszystko jasne – powiedziała i poprawiła się na krześle.

– Poproszę pani dowód osobisty – powiedział Krajan i wyciągnął w jej kierunku dłoń.

Ewa szybko zajrzała do plecaka, z którym się nie rozstawała, i poszukała portfela. Wyciągnęła dowód osobisty i podała go policjantowi. Przez głowę przebiegło jej dziwaczne pytanie, czy nie będzie miała kłopotów z tego względu, że na zdjęciu w dokumencie wygląda inaczej niż teraz. Chwilę potem jednak doszła do wniosku, że przecież kobiety dość często zmieniają kolor włosów, więc to nie powinno stanowić żadnego problemu.

Policjant nawet nie skomentował różnicy i przepisał imię, nazwisko oraz numer PESEL. Jeszcze raz, dla pewności, porównał dane, po czym oddał dowód Ewie.

– Dziękuję – powiedział i wstukał kilka słów na laptopie. – No dobrze, zaczniemy od początku. Proszę powiedzieć, na jakim stanowisku pani pracuje.

– Jestem pracownikiem helpdesku w firmie Business Solutions & Developement – odpowiedziała, podczas gdy policjant stukał w klawiaturę.

– Jak to stanowisko było powiązane z rolą Marcina Sakiewki w firmie? – dopytywał dalej Bartosz Krajan.

– Helpdesk wchodzi w skład działu serwisu informatycznego, którego dyrektorem jest... był Marcin Sakiewka.

Nagłe uczucie smutku spowodowało, że gardło Ewy ścisnęło się boleśnie. Spuściła głowę, a jej usta zadrżały. Po chwili zamrugała gwałtownie i wzięła głęboki oddech, uspokajając się. Nie miała zamiaru rozplakać się w towarzystwie policjanta.

– Voluntas est tantum – powiedział Bartosz Krajan, co wprowadziło Ewę w osłupienie.

– Słucham? – zapytała, podnosząc na niego wzrok.

– Powiedziałem, że nie musimy się spieszyć – odparł policjant z troską w głosie. – Ale myślę, że im szybciej skończymy, tym lepiej, bo będzie pani mogła odpocząć.

Ewa pokiwała głową. Chyba zaczynała mieć omamy, co bardzo ją zaniepokoiło. Szkoda, że wizytę u lekarza ma dopiero w przyszłym tygodniu. Podejrzewała, że szybko będzie potrzebowała odpowiednich leków. Prawdę powiedziawszy, wolałaby je zażyć już teraz.

– Proszę opisać, gdzie się pani znajdowała w chwili wydarzenia – powiedział Krajan i napisał kolejnych kilka słów.

Przełknęła ślinę, po czym odpowiedziała: – W chwili zdarzenia siedziałam, jak zwykle, na swoim miejscu pracy, czyli za biurkiem po lewej stronie od wejścia.

– Czyli miała pani stamtąd widok na gabinet Marcina Sakiewki? – zapytał po chwili milczenia, tak jakby przypominał sobie rozkład pomieszczenia.

– Tak – potwierdziła Ewa. – Wręcz idealny.

Bartosz spojrział na nią przenikliwie wzrokiem i ponownie zaczął stukać palcami w klawiaturę.

– Teraz proszę opisać całe zdarzenie – polecił.

– Kiedy dyrektor zjawił się w firmie – mówiła i, chcąc nie chcąc, wydarzenia wczorajszego dnia znowu stanęły jej przed oczami – od kilku godzin byłam na swoim miejscu i wykonywałam swoje obowiązki. Już na pierwszy rzut oka zobaczyłam, że wygląda źle. Od kilku dni chodził przybity i nerwowy. Wczoraj też tak wyglądał, jakby był zupełnie pozbawiony energii. W każdym razie wszedł do sali i bez słowa poszedł do swojego gabinetu. Usiadł na fotelu i tak tkwił w bezruchu, więc zajęłam się swoją pracą. Patrzyłam jednak co jakiś czas w kierunku jego pokoju i widziałam, że siedział tam cały czas, w tej samej pozycji. Wydaje mi się, że nie poruszył się nawet o centymetr. A kiedy spojrzałam na niego ponownie... Miał już w ustach odbezpieczony rewolwer... I spojrział na mnie... I...

Tutaj Ewa już nie wytrzymała. Ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać.

Natychmiast pojawił się obok niej Bartosz Krajan, objął ją delikatnie i powiedział do ucha: – Czemu nic nie powiedziałaś? To twoja wina, że Sakiewka nie żyje.

Ewa jęknęła, zdając sobie sprawę, że kolejny raz się przesłyszała. Próbowwała się jak najszybciej uspokoić, ale minęło kilka minut, kiedy wreszcie przestała szlochać. Uświadomiła sobie, że nadal przytula się do Bartosza Krajana. Była tak blisko, że wyraźnie czuła jego umięśnione ciało. Wytarła nos, gratulując sobie w myślach, że nie dała się dziś ponieść fantazji i nie nałożyła na twarz zbyt wiele makijażu. Gdyby bardziej pomalowała oczy, wyglądałaby teraz jak upiór. Podniosła wzrok i napotkała spokojne, dobrotliwe spojrzenie policjanta, który nadal siedział na swoim miejscu za biurkiem. Nie ruszył się nawet o cal! A więc tylko jej się wydawało, że podszedł i ją przytulił!

– Możemy kontynuować? – zapytał delikatnie.

Kiwnęła głową i wyciągnęła z paczki chusteczek. Wyjęła jedną i wytarła łzy, po czym głośno wydmuchała nos.

– Rozumiem, że wtedy właśnie Marcin Sakiewka pociągnął za spust?

Ewa wzdrygnęła się na wspomnienie tamtej chwili. Nadal przed oczami miała wybuchającą głowę szefa i czerwień ochlapującą ścianę za nim. W jej wyobraźni pociągnięcie za spust trwało dłużej. Gdy kolejna wizja samobójstwa stanęła jej przed oczami, poczuła, że zaczyna tracić kontrolę nad myślami. Obawiała się, że skończy się to tak jak wczoraj, kiedy ocknęła się przed ścianą, zupełnie nie pamiętając chwili, w której tajemnicza sentencja opuściła zakamarki jej umysłu, materializując się w postaci kaligraficznego dowodu jej szaleństwa. Zacisnęła więc powieki i spróbowała się poukładać myśli.

– Wszystko w porządku? – zapytał policjant, przyglądając się jej uważnie.

Ewa odetchnęła głęboko i kiwnęła głową. Udało jej się uniknąć ponownego popadnięcia w niekontrolowany wir upiornych myśli, co wyraźnie ją ucieszyło.

– Tak, w porządku – odparła i rozluźniła się.

– Czy chciałaby pani dodać coś jeszcze do swoich zeznań? – zapytał Krajan, wpisując kolejne informacje do protokołu. – Może podejrzewa pani, co skłoniło Marcina Sakiewkę do popełnienia samobójstwa?

Ewa zastanowiła się przez chwilę, przypominając sobie po kolei wydarzenia wczorajszego dnia.

– Marcin Sakiewka zawsze był energicznym człowiekiem – powiedziała i musiała odchrząknąć, bo czuła, że jeszcze chwila i głos jej się ponownie załamie. – Ale od kilku dni chodził strasznie przybity. Zmiana była naprawdę gwałtowna. Jednego dnia wesóły, a już kolejnego bardzo smutny i zmęczony. Wyglądał, jakby coś go dręczyło.

– Rozumiem – powiedział policjant przy akompaniamencie stukotu klawiatury.

– A co do powodów – kontynuowała Ewa – to ciężko mi coś powiedzieć. Wśród załogi krążyły plotki o tym, że ktoś doniósł przełożonym na niektóre osoby, pomijając

dyrektora, więc podejrzewaliśmy, że to wszystko kwestia nacisków i tego, że nie wiadomo, co dalej będzie z naszym działem. Ale, szczerze powiedziawszy, wydaje mi się, że to za mało, by popchnąć kogoś takiego jak Marcin do samobójstwa. Musiało być coś więcej.

Krajan wstukał ostatnie słowa i spojrzał na nią z sympatią.

– Czy przypomina się pani jeszcze coś, co moglibyśmy zawrzeć w protokole? – zapytał, ale Ewa tylko pokręciła głową. Nie chciała już dodawać nic więcej.

– W porządku – odpowiedział Bartosz Krajan. – Wydrukuję tylko to wszystko i dam pani do podpisania.

To powiedziawszy, policjant szybko wstał ze swojego fotela i energicznym krokiem wyszedł na korytarz. Po chwili wrócił z kilkoma zadrukowanymi kartkami. Długopisem zrobił parę haczyków i całość podał Ewie.

– Proszę przeczytać – powiedział lekkim tonem – a jeśli wszystko będzie się zgadzało, proszę podpisać w zaznaczonych miejscach i złożyć parafkę na każdej stronie protokołu.

Mruknęła potwierdzająco i zaczęła czytać protokół. Najpierw zweryfikowała swoje dane, a kiedy okazało się, że wszystko się zgadza, przeszła do samego zeznania. W pierwszej chwili zaskoczyło ją to, że jest ono pisane w pierwszej osobie, ale stwierdziła po chwili, że ma to sens, skoro została przedstawiona jej perspektywa. Większość z tego, co napisał Bartosz Krajan, to były dosłownie jej słowa, a w niektórych miejscach pojawiały się wyrażenia charakterystyczne dla oficjalnego stylu, takie jak „przedmiot postępowania” czy też „według mojej wiedzy”. Wszystko jednak brzmiało tak, jak relacja Ewy.

Wzięła więc długopis i podpisała się we wszystkich wskazanych miejscach.

– Tutaj czytelnie imieniem i nazwiskiem – powiedział policjant, wskazując na pierwszą stronę z danymi osobowymi. – Można pod parafką.

Ewa podpisała się w tym miejscu nieco bardziej czytelnie, po czym przeszła dalej. Kiedy skończyła, podała plik kartek policjantowi.

– Dziękuję – mruknął Krajan, po czym wstał. – To by było na tyle.

– Szybko poszło – roześmiała się Ewa, również podnosząc się z krzesła.

– Gdyby coś jeszcze się pani przypomniało – powiedział, wyciągając coś z kieszeni – to jest moja wizytówka. Proszę swobodnie dzwonić o każdej porze dnia i nocy.

To mówiąc uśmiechnął się szeroko, co spowodowało, że po ciele Ewy znowu rozeszło się przyjemne ciepło.

– Zapamiętam – odparła również się uśmiechając, po czym oboje ruszyli w kierunku wyjścia.

*

Stała oparta o barierki i wpatrywała się w wodę. Rzeka o tej porze nocy i tym oświetleniu wydawała się czarną wstęgą. Ewa od zawsze lubiła Brdę w okolicach Estrady. Szczególnie nocą, kiedy iluminacja lamp ulicznych stwarzała tajemniczy klimat. Uwielbiała, kiedy do tego wszystkiego pojawiała się jeszcze mgła. Wtedy czuła się tak, jakby przeniosła się w czasie do wiktoriańskiego Londynu.

Tej nocy jednak powietrze było czyste i wyraźnie było widać górujący nad okolicą River Tower – nowy element panoramy Bydgoszczy. Mimo że ten wysoki na sześćdziesiąt pięć metrów budynek w żaden sposób nie kojarzył się z zamglonym Londynem, Ewie się podobał. Był przecież tak inny od wszechobecnych bloków z wielkiej płyty.

Kobieta zadrżała, kiedy poczuła zimne tchnienie wiatru. Do jej uszu zaczęły wyraźniej docierać przytłumione odgłosy nadal trwającego koncertu Percivala. Dłoń Jacka od dłuższego czasu spoczywała na jej ramieniu. Odetchnęła głęboko i stwierdziła, że dla postronnych musiała wyglądać tak, jakby mocno zaszkodził jej alkohol. Nawet jej to odpowiadało. Wolą, żeby ludzie myśleli, że się upiła, niż wiedzieli, jaki jest prawdziwy powód jej stanu.

– Wszystko w porządku? – delikatnie zapytał Jacek.

Kiwnęła głową, mimo że wszystko w jej środku krzyczało, że nie, że wcale nie jest w porządku.

Początkowo rzeczywiście tak było. Od momentu kiedy z lekkim opóźnieniem zaczął się koncert, bawiła się świetnie. Nagle jednak przypomniały jej się wszystkie niedawne wydarzenia i poczuła duszności. Pole widzenia zaczęły ograniczać stale powiększające się czarne pasy. Wreszcie zrobiło jej się słabo i musiała przytrzymać się Jacka, by utrzymać równowagę i nie przewrócić się na podłogę. Kiedy tylko chłopak ujrzał jej poszarzałą twarz, natychmiast zaciągnął ją do wyjścia.

Świeże powietrze zaczęło przywracać Ewie przytomność.

Wiedziała już, że nie będzie w stanie wrócić na koncert i bawić się dalej. Czuła się zbyt przytłoczona ostatnimi wydarzeniami.

– To co, wracamy? – zapytał Jacek, patrząc tęsknie w stronę drzwi klubu.

– Nie – szepnęła – nie dam rady...

Było w jej głosie coś tak rozpaczliwego, że nie naciskał.

– Nie ma problemu – powiedział prawie całkiem szczerze.

– Pójdę do domu – stwierdziła po chwili milczenia. – Ale ty wracaj do środka.

– Chyba żartujesz – roześmiał się Jacek. – Nie dam ci przecież wracać samej po nocy.

Ewa chciała oponować, ale stwierdziła, że chyba faktycznie lepiej, jeśli chłopak z nią pójdzie. Co prawda nie bała się, że spotka kogoś po drodze – z jakiegoś powodu

już dawno nikt jej nie zaczepiał – ale zdawała sobie sprawę z ryzyka utraty kontaktu z rzeczywistością. Kiwnęła więc tylko głową, wzięła głęboki oddech i odsunęła się od barierki.

Jacek wziął ją pod ramię, tak jakby obawiał się, że dziewczyna za chwilę się przewróci, po czym oboje ruszyli wzdłuż rzeki.

Przez długi czas nie odzywali się wcale, kontemplując widok Bydgoszczy, pogrążonej w ciemnościach nocy. Bez słowa dotarli do ulicy Focha i przeszli na drugą stronę, okrążając Operę Nova. Przeszli po mostku, który był szczególnie popularny wśród zakochanych i Ewa pomyślała sobie, że zawieszane przez nich kłódki były zdecydowanie bardziej trwałe niż uczucia łączące te pary.

Kiedy mijali Wyspę Młyńską, Ewa postanowiła wreszcie przerwać milczenie: – Kiedyś to miejsce bardziej mi się podobało, było takie klimatyczne. Kilka razy byłam tutaj ze znajomymi, a i na samej Wyspie Młyńskiej można było spotkać ciekawych ludzi.

– Albo dostać po ryju – zauważył sarkastycznie Jacek. – Bo i nieciekawych można tu było spotkać. Czasami grupy dresów robiły najazdy, bo wiadomo było, że tutaj spotykali się bydgoscy metale. W sumie nie tylko metale. Punki i skejci też, czyli wszystkie tak zwane „brudasy”.

– Faceci i ich testosteron – mruknęła Ewa. – Dla mnie dawna wyspa był fajniejsza.

– Chodzi mi tylko o to, by widzieć i drugą stronę medalu – rzucił Jacek pojednawczym tonem. – Według mnie teraz wygląda lepiej. Może i straciła trochę klimatu, ale przynajmniej jest porządek i nadal przychodzą tutaj ciekawi ludzie. Teraz jednak nie boją się przyprowadzać ze sobą rodzin.

Mimo że Ewa w zasadzie zgadzała się z tokiem rozumowania Jacka, nadal czuła, że dawna Wyspa Młyńska miała w sobie coś magicznego. A może mrocznego? Czy przypadkiem nie było tak, że zwyczajnie ciągnęło ją do ciemnych spraw, do niepokojących rzeczy?

Zadrzała, kiedy zdała sobie sprawę z tego, że gdzieś tam w głębi fascynuje ją wszystko to, co się działo w domu Sylwestra Sapiehy, co stało się ostatnio z Marcinem Sakiewką. Te doświadczenia, mimo że przerażające, miały coś w sobie wyjątkowo atrakcyjnego.

Ewa czuła się jak ćma, która z radością wlatuje w płomień ogniska.

*

Początek tygodnia pracy przebiegał w ponurym milczeniu. Nie dość, że ludzie nie rozmawiali ze sobą, to jeszcze spoglądali na siebie wilkiem. Atmosfera była przepełniona dziwną mieszanką smutku, podejrzliwości i napięcia. Nawet Katarzyna Lewczuk nie odzywała się do nikogo, a Barbara Zielińska nie marudziła, jak to miała

w zwyczaju. Jednocześnie Ewa miała wrażenie, jakby obie powstrzymywały się przed tym ostatkiem sił. W każdej chwili mogło dojść do gwałtownej erupcji nagromadzonych negatywnych emocji. Wyraźnie czuła, że działo się coś nie w porządku, ale zrzuciła to na karb ostatniego wydarzenia. Tragedia musiała wywrzeć wpływ na wszystkich pracowników.

Spokojnie zajmowała się więc swoimi obowiązkami, siedząc ze wzrokiem utkwionym w monitorze. Nawet nie rozglądała się na boki, tak jakby obawiała się, że znowu ujrzy coś tak wstrząsającego jak samobójstwo Marcina Sakiewki. Zwykle w pomieszczeniu słyszało się wszechobecny szum przyciszonych rozmów i stukot klawiatur – tego dnia jednak było o wiele ciszej.

– Voluntas est tantum. – Ewa usłyszała te wypowiedziane półgłosem słowa i potrząsnęła głową. Kolejne omamy, a ona nie miała jeszcze odpowiednich lekarstw!

Nagle zaczęło jej się wydawać, że wchodzi do biura, mimo że nadal siedziała na swoim miejscu. Tak jakby znajdowała się w dwóch miejscach jednocześnie i oglądała swoje miejsce pracy z dwóch różnych perspektyw. Było to tak niepokojące, że aż otworzyła usta i kurczowo zamknęła oczy. Ale dziwne wrażenie nie chciało minąć. Czuła własne ciało, siedzące na zwykłym miejscu przy biurku, ale widziała wszystko z takiej perspektywy, jakby wchodziła właśnie do pokoju i od razu skręcała w lewo. Po jednej stronie za biurkiem zobaczyła Barbarę Zielińską, która właśnie malowała paznokcie na kolor zgniłej zieleni, a po drugiej stronie boks Roberta Komara, który zapamiętał bazgrolił coś na kartkach. Ewa spojrzała w drugą stronę i ujrzała samą siebie – siedziała zgarbiona na krześle, mocno zaciskając powieki. Przeraziło ją to, więc postanowiła otworzyć oczy, tyle że... nie mogła!

Zdawało jej się, że idzie dalej i dociera do drzwi gabinetu Marcina Sakiewki. Otwiera je i wchodzi do środka. Nagły ból głowy uprzytomnił jej, że to muszą być kolejne omamy, ale nie była w stanie ich przerwać. Usiadła na fotelu dyrektora – wizja trwała dalej w najlepsze. Kiedy w jej dłoni pojawił się rewolwer, aż jęknęła ze strachu. Uniosła broń i włożyła ją sobie do ust, po czym odbezpieczyła, odciągając kurek.

– Nie, nie, nie – zdołała pomyśleć, zanim nacisnęła spust.

Wystrzał i okrzyk przerażenia! Głowa Ewy odskoczyła do tyłu, a ona ocknęła się na swoim stanowisku. Serce biło jej jak oszalałe, a na twarzy pojawił się pot. Powoli i z wahaniem sięgnęła do swojej głowy, tak jakby spodziewała się, że zamiast włosów pod palcami poczuje wielką, krwawą dziurę. Kiedy jej opuszki zatopiły się w miękkich pasmach włosów, odetchnęła z ulgą. Rzuciła spojrzenie na koleżankę. Barbara jednak zajęta była malowaniem paznokci. Ewa przyjrzała się jej dokładnie i okazało się, że to ten sam zgniłozielony kolor, który widziała w swojej wizji. Ze zdziwieniem i lekkim przerażeniem ujrzała, że Basia skończyła już normalne zabiegi upiększające, a teraz zaczęła malować palce! Chyba zauważyła wystraszony wzrok

Ewy, bo odwróciła się do niej, pokazała dłonie pokryte zielonym lakierem i zapytała:
– Ładnie, prawda?

Makuszevska nie wiedziała, co powiedzieć, i tylko gapiała się na oryginalny manicure. Czy to mógł być ciąg dalszy przywidzeń?

– Muszę sobie zrobić herbatę – wymamrotała i wstała z miejsca.

Kiedy mijala Barbarę Zielińską, ta zaczęła mówić do siebie.

– Ona kompletnie się nie zna na modzie – monologowała tym swoim charakterystycznym, zrezygnowanym tonem. – Gruba krowa bez stylu.

– Przepraszam? – zapytała nagle poirytowana Ewa, odwracając się w stronę koleżanki. – Co powiedziałaś?

– Nic – syknęła przez zęby Basia, patrząc na swoją rozmówczynię nieruchomym wzrokiem, niczym drapieżnik gotujący się do ataku.

Ewa poczuła się nagle zagrożona. Wolała więc tylko kiwnąć głową i iść dalej, do pomieszczenia socjalnego. Kiedy jednak wychodziła zza biurka, usłyszała jeszcze, jak Basia mruczy do siebie: – Głupia cipa. Kompletnie nie zna się na modzie!

Nagle jej uwagę zwróciła pustka w boksie Roberta Komara. Być może kolega poszedł ponownie pogonić programistów, a może załatwił coś innego – w każdym razie nie było go na miejscu. Zostawił za to po sobie całe stosy pomalowanych długopisem kartek. Ewa rozejrzała się na boki, a kiedy nikogo nie zauważyła, niepewnym krokiem weszła do boksu. Sięgnęła po pierwszą z brzegu kartkę i ze zdziwieniem przyjrzała się dziwnym symbolom i obscenicznym obrazkom, przedstawiającym damskie i męskie narządy rozrodcze. Ale nogi się pod nią ugięły, dopiero kiedy ujrzała pod spodem nabazgrany napis: „Voluntas est tantum”.

– Nie grzeb w moich rzeczach! – syknął gniewnie Robert, który pojawił się obok tak nagle, jakby zmaterializował się powietrzu. Ewa podskoczyła wystraszona i szybko odłożyła kartkę.

– Przepraszam – wybąkała, bliska płaczu.

– Wypierdalaj! – wypalił Robert z takim gniewem i z tak szaleńczym wyrazem twarzy, że Ewie zrobiło się słabo.

Szybko wycofała się i prawie biegiem ruszyła w stronę pomieszczenia socjalnego. Nie zwracała już na nikogo ani na nic uwagi, chcąc dotrzeć tam tak szybko, jak to było możliwe. W środku, na szczęście, było pusto.

Oparła się plecami o ścianę i zaczęła głęboko oddychać. Albo miała już tak intensywne halucynacje, że nie odróżniała ich od rzeczywistości, albo w dziale serwisu zaczynały się dziać naprawdę niepokojące rzeczy. Jedno z dwojga: albo zupełnie już traci zmysły, albo wszyscy wokół najedli się szaleju...

Nagle umysł Ewy znów opanowały wizje śmierci Marcina Sakiewki. Jej myśli zaczęły obsesyjnie krążyć wokół tego zdarzenia, rozpatrując każdą drobną zmianę w scenariuszu. Prawie od razu pojawiła się w jej umyśle postać Sylwestra Sapięhy.

Przedwojenny mag stał spokojnie z boku i ją obserwował. Co jakiś czas otwierał usta, a do uszu Ewy zaczęły docierać jego słowa. Podzielone na części i rozdrobnione, a jednak układające się w jedno zdanie i brzmiące tak, jakby wypowiedane były w zwolnionym tempie.

– Voluntas est tantum ad vitam aeternam...

Nie była już w stanie zapanować nad myślami, zatracona w setkach różnych wersji samobójstwa Marcina Sakiewki. Wizje pojawiały się po sobie coraz szybciej, jedna za drugą, nieustanny ciąg prawie identycznych obrazów tego samego wydarzenia...

Chciała krzyczeć, ale nie mogła. Starła się powstrzymać falę widziadeł, ale one nadal się pojawiały. Kiedy już udawało jej się zebrać w sobie, by odzyskać świadomość, dziesiątki myśli znów przewalały jej się przez głowę. Nie miała nad nimi kontroli. Straciła poczucie czasu, przestrzeń przestała mieć znaczenie, a ona sama nikła gdzieś na samym dnie swojego umysłu, coraz bardziej przytłoczona kolejnymi wyobrażeniami.

Wszystko skończyło się tak nagle, jak się zaczęło i Ewa się ocknęła, siedząc za biurkiem. Trzymała dłonie na klawiaturze, a kursor myszki był ustawiony na przycisku „wyślij”. Spojrzała na ekran uważniej i cała zaczęła drżeć, kiedy ujrzała wiadomość, którą niemalże wysłała w odpowiedzi na zgłoszenie klienta.

– Voluntas est tantum, voluntas est tantum, voluntas est tantum, voluntas est tantum... – przez dziesiątki linijek biegło tylko to jedno wyrażenie. Obok Ewy stała jeszcze parująca herbata. Utrata kontroli nie mogła więc trwać długo. Najbardziej przerażające było jednak to, że nie wiedząc, co robi, przygotowała sobie herbatę i przyniosła ją do biurka. Z jakiegoś powodu ten fakt był dla Ewy bardziej niepokojący niż nieprzerwany ciąg wizji samobójstwa Marcina.

Na szczęście dzień pracy już się kończył. Na zegarze w rogu monitora zobaczyła, że jest już prawie szesnasta. Drżącymi dłońmi wymazała wiadomość, którą prawie wysłała do klienta i odłożyła zadanie na kolejny dzień. Zaległości w pracy wydawały jej się trywialne w porównaniu z tym, co się działo z nią samą. Z ulgą wybiegła z biurowca, w którym mieściła się firma BS&D, i najkrótszą drogą wróciła do domu.

*

W swoim mieszkaniu poczuła się znacznie lepiej, ale dopiero po tym, jak wypłakała się do poduszki. Czowała takie napięcie, że w zasadzie nie miała innego wyjścia. Wreszcie wstała z łóżka i wytarła lekko opuchniętą i wilgotną twarz chusteczką. Po czym, żeby czymś zająć myśli, zaczęła wykonywać domowe obowiązki.

Układając książki i drobiazgi na półkach, odkurzając i myjąc podłogę doszła do wniosku, że przecież ludzie i tak wiele czynności wykonują automatycznie, nie

zastanawiając się nad ich sensem. Czas leci gdzieś obok, mijając ich niepostrzeżenie. Może to jest prawdziwy objaw szaleństwa? Iść przez życie nie wiedząc, co się dzieje dokoła, nie znając celu ani nie czując w tym żadnego sensu? Kiedy istnieje tylko uciekający czas i rutyna; otepienie z powodu nawału codziennych obowiązków, ważnych spraw i ciężkiej pracy, podejmowanej zresztą dla wzbogacenia kogoś innego? Czyż ludzie – podobnie jak Ewa podczas wizji – nie znikają gdzieś pod tym wszystkim? Nie zatracają się w prozie życia, tracąc resztki swojej indywidualności? Czyż wszyscy nie jesteśmy szaleńcami, że w tym trwamy?

Ewa potrząsnęła głową, próbując odgonić ponure myśli. Zamiast tego zaczęła rozmyślać nad tym, czy kolejnego dnia powinna iść do pracy. Domyślała się, że zapewne znowu będzie miała jakieś omamy, ale wydawało jej się, że pozostanie w domu byłoby porażką, przyznaniem się, że choroba zwyciężyła. Wolała wyjść na zewnątrz i podjąć walkę, niż kulić się w kącie, powoli tracąc kontakt z rzeczywistością. Wiedziała, że zbliża się wizyta u lekarza, ale postanowiła, że poprosi o dodatkowe wsparcie. Wzięła więc telefon i wybrała numer Jacka. Nie minęły nawet trzy sygnały, kiedy w słuchawce odezwał się znajomy głos: – Cześć, Ewka, co słychać?

– Cześć – odparła drżącym głosem.

– Co się stało? – zapytał Jacek, a ton jego głosu natychmiast zmienił się z wesołego na poważny.

– Świruję, Jacek – powiedziała zrozpaczona Ewa. – Mam przywidzenia i czasami nie wiem, co się dzieje...

– Umówiłaś się na wizytę? – zapytał podejrzliwie, jak przystało na jedyne przyjaciela, który pozostał przy niej dostatecznie blisko.

– Oczywiście – odpowiedziała Ewa szybko. – Tak jak uzgodniliśmy, przecież obiecałam. Tylko że wizytę mam w przyszłym tygodniu...

– Czego potrzebujesz? – zaniepokoił się.

– Nie mam prawa cię prosić... – jęknęła.

– Daj spokój – powiedział, szczęśliwy, że może się wykazać. – Powiedz, co mogę dla ciebie zrobić.

Odetchnęła głęboko, a jej gardło ścisnęło się z nagłego wzruszenia.

– Mógłbyś być jutro w pobliżu mojej pracy?

– Oczywiście – powiedział od razu. – Ale czy nie lepiej, gdybyś wzięła sobie wolne?

– Nie – powiedziała przeciągle. – To by było jak kapitulacja, rozumiesz?

Jacek przez chwilę się nie odzywał, po czym wreszcie westchnął głośno i odparł: – No, w porządku, chyba wiesz, co robisz. Czyli mam się kręcić gdzieś koło wieżowca, w którym pracujesz, tak?

– Jeśli mogę cię prosić – potwierdziła Ewa. – Nie wiem, jak będę się jutro czuła,

ale na pewno będzie mi łatwiej ze świadomością, że jesteś w pobliżu, by mi pomóc w razie czego.

– Jasne. – Jego głos brzmiał tak, jakby prośba Ewy nie psuła żadnego z jego planów na kolejny dzień. – Tam niedaleko jest ta galeria handlowa, prawda?

– Tak. – Dziewczyna odzyskała dobry humor.

– No to w ogóle nie będzie problemu – mówił dalej Jacek. – Pokręcę się po sklepach, może pójde do kina. Ale wiesz, nie robię tego całkowicie bezinteresownie.

– Nie? – zdziwiła się Ewa.

– No, nie – powtórzył jej przyjaciel. – Liczę na to, że po pracy dasz się wyciągnąć na piwo.

W normalnych okolicznościach pewnie by się roześmiała, ale w tej chwili wcale nie była radosna.

– W porządku – powiedziała spokojnym tonem. – Ale tym razem ja płacę.

*

Śniło jej się, że siedzi w gabinecie dyrektora, a jej głowa zwisa odchyłona do tyłu pod nienaturalnym kątem. Usta miała rozwarte do granic możliwości, ale nie potrafiła ich zamknąć. Nie była w stanie poruszyć żadną częścią swojego ciała.

Błysk flesza na moment zamienił ciemny gabinet w pomieszczenie pełne jaskrawego światła. Trwało to tylko ułamek sekundy, po czym znów wróciła ciemność. Usłyszała stuk laski o podłogę. Początkowo cichy i odległy, ale z czasem coraz głośniejszy i wyraźniejszy.

Chciała się gdzieś schować, ale nie mogła się poruszyć. Wyczuwała jedynie zbliżające się niebezpieczeństwo, nie była w stanie nawet spojrzeć na wejście do gabinetu. Jej wzrok błędził tylko gdzieś w rogu pomieszczenia, w którym stykały się dwie ściany i sufit.

Stukot był coraz bliżej, a Ewa zaczynała wpadać w panikę. Wiedziała doskonale, kto się zbliża. W jej wizjach na jawie Sylwester Sapiaha stanowił jedynie neutralnego intruza, ale teraz jawił się niczym pan snów, emanujący potęgą i władzą.

Ostatnie stuknięcie dało się słyszeć już w gabinecie Marcina Sakiewki. Potem nastąpiła cisza. Ewa boleśnie zdawała sobie sprawę z tego, jak szaleńczo bije jej serce i w tym samym momencie poczuła na sobie czyjeś dłonie. To uczucie było nieprzyjemne niczym porażenie prądem.

W polu widzenia pojawiła się dobrotliwa twarz Bartosza Krajana, który uśmiechał się lekko.

– Czas na dalszą część przesłuchania – powiedział policjant i posadził Ewę na krześle. – Będiesz teraz odpowiadała na pytania mojego kolegi.

W tym samym momencie Ewa ujrzała stojącego naprzeciwko Sylwestra Sapiehę. Jak zawsze miał na sobie frak z peleryną i wysoki kapelusz. Lekko przechylony, opierał się na drewnianej lasce o zdobioną rękojeść. Lecz tym, co najbardziej przykuwało uwagę, było świdrujące, zimne spojrzenie jego szarych oczu i ostre rysy szczupłej twarzy. Okultysta emanował pewnością siebie i roztaczał wokół moc.

– Voluntas est tantum – powiedział silnym, choć cichym głosem, po czym uśmiechnął się nieznacznie i pokiwał głową z uznaniem. – Ad vitam aeternam.

Następnie zbliżył się do Ewy, sztywno nad nią nachylił. Ich twarze znalazły się bardzo blisko siebie, a Makuszevska nie miała innego wyboru, jak tylko wpatrywać się w jego straszne oczy. Spojrzenie Sapiehy było hipnotyzujące, a ona miała wrażenie, że przedwojenny mag zagląda w każdy zakamarek jej duszy i czyta w niej niczym w otwartej księdze.

Wtedy niespodziewanie zbliżył swoje bezkrwiste wargi jeszcze bliżej i zatopił je w ustach Ewy. Jednak nie było w tym odczuć żadnego seksualnego napięcia – gest został wykonany bez emocji. Przywiódł on jej raczej na myśl symboliczny znak przypieczętowania jakiejś umowy niż erotyczne zbliżenie, co jednak wcale nie zmniejszyło jej lęku. Sylwester Sapieha odsunął się wreszcie i kiwnął głową z uznaniem.

– Voluntas est tantum – powtórzył w taki sposób, jakby myślał, że dla Ewy zdanie to będzie całkowicie zrozumiałe, a jego sens spotka się z jej całkowitą aprobatą i przepełni ją dumą z faktu, że jest adresatką tego przekazu. – Ad vitam aeternam...

Rozdział 5

Następnego dnia szła do pracy z wyraźną obawą. Była przekonana, że będzie miała halucynacje. Nie wiedziała tylko, kiedy wystąpią i czego będą dotyczyć. Z tego powodu postanowiła zjawić się w biurowcu pół godziny wcześniej, by uniknąć tłumów stojących przed windą.

Przekraczając próg wieżowca, odetchnęła z ulgą – w głównym holu nie było nikogo. Szybko kiwnęła głową ochroniarzowi przy wejściu i podbiegła do zamykającej się windy. Kiedy weszła do kabiny, stwierdziła, że Tancerka chyba ją prześladowuje. Tym razem miała na sobie czarną minispódniczkę i takiego samego koloru rajstopy z dużymi oczkami, przypominające sieć. I mimo że na zewnątrz nadal było chłodno, kobieta nosiła sobie jedynie cienką bluzeczkę na ramiączkach. W kabinie znajdował się jeszcze ubrany w garnitur mężczyzna, który o dziwo w ogóle nie zwracał uwagi na bezwstydnie opięte, ledwie zakryte pośladki młodej kobiety. Za to cały czas przyglądał się swoim dłoniom.

Ewa nacisnęła odpowiedni guzik i obserwowała zamykające się drzwi. Zdała sobie sprawę z tego, że dopiero teraz przebiegła jej przez głowę myśl o ewentualnej katastrofie windy. Pojawiła się i znikła. Widocznie miała myśli zajęte innymi, bardziej realnymi problemami.

Kiedy winda ruszyła, Ewa wsłuchiwała się w przyciszone dźwięki dobiegające ze słuchawek stojącej obok dziewczyny, bo oczywiście ta jak zwykle czegoś słuchała. Zdziwiający był po pierwsze fakt, że tym razem wybór padł na muzykę klasyczną, a po drugie sam utwór. Tancerka słuchała Marsza Pogrzebowego! Jediną rzeczą zgodną z dotychczasowym wizerunkiem rozrywkowej i zwracającej na siebie uwagę kobiety było jej upodobanie do głośnego odtwarzania muzyki.

Ewa skierowała wzrok na mężczyznę, ten jednak nie zwracał żadnej uwagi na współpasażerki. Za to zaczął ogryzać paznokcie, ukazując swoje żółte zęby. Po chwili przeniósł zainteresowanie na skórki zaraz obok i wgryzł się w nie z niezwykłą werwą. Kiedy na jego palcach pokazała się krew, Ewa przełknęła ślinę i odwróciła wzrok.

Zrobiło się jej gorąco.

Czy to była kolejna halucynacja? Czy może z ludźmi w biurowcu rzeczywiście działo się coś bardzo niedobrego? Charakterystyczny dźwięk odgryzanego paznokcia sprawił, że Ewa zadrżała. Zaryzykowała i rzuciła okiem na mężczyznę stojącego za nią. Miał opuszczone dłonie, z których powoli skapywała krew, i czerwoną smugę na policzku. Lecz najbardziej niepokojący był jego wzrok. Wpatrywał się z niezwykłą

intensywnością i wielką fascynacją w dłonie Ewy! W jego oczach odbijało się dziwne uczucie, które mogła określić jedynie jako głód.

Winda otworzyła się na odpowiednim piętrze, a Ewa prawie z niej wybiegła. Jak zawsze minęła pomieszczenia zajmowane przez marketingowców, z których tym razem nie dochodziły żadne odgłosy. Zwykle te pokoje te tętniły życiem, bo pracownicy tego działu większość czasu spędzali rozmawiając przez telefon. Tym razem nie było słyhać kulturalnych głosów, nikt nie chodził po korytarzu z telefonem komórkowym przy uchu. Ewa zajrzała do środka i kolejny raz przeklęła się w duchu za swoją ciekawość.

Szefowa działu, Eliza Szafraniec, siedziała za biurkiem z ustami otwartymi w niemym krzyku. Potrząsnęła głową w taki sposób, że aż coś jej chrupnęło w karku, i spojrzała na Ewę jednym okiem – drugie zasłaniały długie włosy. Uśmiechnęła się drapieźnie i lubieżnie oblizwała wargi. Gwałtownie poderwała się na nogi i wzięła głęboki wdech. Ewa już myślała, że ciszę pomieszczenia rozerwie dziki wrzask, ale z gardła Elizy wydobył się jedynie głośny syk.

Makuszevska przyspieszyła kroku. Nie wiedziała już, co było omamem, a co rzeczywistością. Próbowała uspokoić oddech i szaleńczo bijące serce. Kiedy szła korytarzem, kątem oka dostrzegła stojącego w jednym z pomieszczeń Sylwestra Sapiechę. Udając, że nie zwraca na to uwagi, przeszła dalej. Przedwojenny mag odprowadził ją spokojnym spojrzeniem. Dotarła do pomieszczenia serwisu informatycznego i szybko opadła na krzesło. Zamknęła oczy i ukryła twarz w dłoniach.

Sięgnęła do torebki i wyciągnęła telefon. Odblokowała ekran i wyświetliła listę kontaktów. Już miała wybrać numer do Jacka, kiedy się zawahała, a jej palec zawisł w powietrzu. Zacisnęła dłoń w pięść i odłożyła telefon na biurko. Nie miała zamiaru się poddać zaraz po przyjściu do pracy! Postanowiła, że będzie dalej walczyć. Uruchomiła komputer i zaryzykowała spojrzenie dookoła.

W pomieszczeniu było niezwykle cicho, tylko z rzadka dał się słyszeć jakiś chrobot, szelest albo odgłos uderzeń w klawisze. Ewa zdawała sobie jednak sprawę, że w większości boksów siedzieli pracownicy. Co też mogli robić? Po chwili doszła do wniosku, że chyba nie warto się nad tym zastanawiać. Nie wiedziała już, czy naprawdę jest tak cicho, czy tylko jej się wydaje. Miała wrażenie, że ponownie traci kontakt z rzeczywistością, że powoli, ale nieubłaganie osuwa się w otchłań szaleństwa. A co jeśli dziwne zachowanie ludzi w biurowcu jest faktem, a nie omamem? Przecież w takim razie musiał to być autentyczny dom wariatów!

W tym samym momencie coś zaskoczyło w umyśle Ewy. Fakty połączyły się ze sobą i Makuszevska aż otworzyła usta ze zdumienia. Postanowiła szybko zweryfikować swoje domysły i uruchomiła przeglądarkę. Prawie nie oddychając z wrażenia, wstukała adres strony, którą dobrze знаła, a z której przed katastrofalnym

eksperymentem czerpała informacje na temat Sylwestra Sapiehy. Szybko przewijała kolejne akapity tekstu opisującego postać przedwojennego maga, jego osiągnięcia i zagadnienia, którymi najprawdopodobniej się zajmował. Wreszcie znalazła informacje na temat śmierci Sapiehy w pożarze szpitala psychiatrycznego, który prowadził. Strona kończyła się informacją, że na ruinach ma powstać nowoczesny biurowiec. Przełknęła ślinę. Nie mogła się mylić!

Szybko poszukała informacji na temat samej budowy i okazało się, że miała rację. Wieżowiec powstał w miejscu, gdzie w okresie dwudziestolecia międzywojennego usytuowany był szpital psychiatryczny Sylwestra Sapiehy!

Wreszcie odetchnęła i wygodniej rozsiadła się na krześle. Czy jej umysł mógł podświadomie skojarzyć te fakty i wypełnić myśli wizjami Sylwestra Sapiehy? Czy może związek pomiędzy wydarzeniami był znacznie bardziej złowieszczy?

Ewa potrząsnęła głową i odegnała od siebie te domysły. Zauważyła, że Barbara Zielińska usiadła na swoim miejscu i nawet nie zdjęła kurtki.

– Cześć, Basia – odważyła się powiedzieć Ewa.

Zielińska posłała jej dziwnie nieobecne i szkliste spojrzenie – zdawała się jej nie widzieć. Jej wygląd był tak nienaturalny, że Ewa aż zadrżała.

Basia odwróciła głowę i wpatrzyła się w ciemny ekran komputera, którego nawet nie włączyła. Chyba na coś czekała. Wreszcie sięgnęła po zszywacz, otworzyła go szeroko i przyłożyła do dłoni. Ewa aż podskoczyła, kiedy Barbara jednym gwałtownym ruchem nacisnęła urządzenie, wbijając sobie zszywkę w skórę.

Makuszevska szybko odwróciła wzrok i zamarła w panicznej gonitwie myśli, zastanawiając się, co robić dalej. Jej umysł wypełnił się przekonaniem, że koszmar wokół niej nie jest halucynacją. Z narastającym przerażeniem godziła się z teorią, że te wariactwa działy się w rzeczywistości. Obserwując swoją koleżankę, zaczęła obawiać się o własne bezpieczeństwo. Skoro Basia mogła się torturować zszywaczem, to co była w stanie zrobić jej?

Sięgnęła po leżący na blacie telefon. W tym samym momencie usłyszała nagły, niski i dudniący dźwięk. Ekran monitorów zamigotały, a przez całe ciało Ewy przebiegł dreszcz. Ogarnęło ją podniecenie, ekscytacja tym, co zaraz miało nastąpić. Telefon do Jacka stał się czymś błahym i nieistotnym, odłożyła więc aparat na biurko.

– *Voluntas est tantum* – powiedziała cicho, słysząc jednocześnie, że Barbara Zielińska mamrocze pod nosem to samo zdanie. Szum przyciszonych głosów rozszedł się po pomieszczeniu. Ewa czuła się zjednoczona z pozostałymi pracownikami swojego działu, z każdą osobą znajdującą się obecnie w biurowcu. Było to wręcz euforyczne odczucie. W pełni świadoma uczestnictwa w wielkim dziele, była gotowa zrobić wszystko, by je urzeczywistnić. Ona sama jako jednostka przestała mieć znaczenie, liczył się tylko cel. By go osiągnąć, mogła poświęcić wszystko, włącznie ze swoim życiem. Uznała to za zupełną oczywistość.

*

Wtedy też wyczuła, że ktoś nadchodzi. Najważniejsza dla planu osoba, jego twórca, koordynator i przywódca. Na jego polecenie mogła nawet wyskoczyć przez okno, gdyby wiedziała, że to pomoże w osiągnięciu celu. Zbliżał się, był już w biurowcu, a jego nadejście zwiastowało bliską realizację planu.

– Voluntas est tantum – wyszeptała Ewa, podobnie jak wszyscy inni. – Ad vitam aeternam...

Gdzieś w środku zdawała sobie sprawę, że dzieje się z nią coś niedobrego, że wcale nie powinna się tak zachowywać. Chciała się wyrwać spod tajemniczego wpływu nieznanej siły, ale jej wysiłki nie przynosiły spodziewanych efektów. Mimo wszystko walczyła dalej. Nie mogła przecież pozwolić, by ktoś nią sterował! Jej obecne zachowanie było tak nienaturalne, że aż poczuła mdłości. Wreszcie zauważyła, że zaczyna robić postępy.

Najpierw drgnęła jej ręka, potem ugryzła się w język, kiedy po raz kolejny wypowiedziała to samo zdanie. Ból zdawał się przywracać jej przytomność umysłu. Czy dlatego pracownicy biurowca zaczęli robić sobie krzywdę?

– Voluntas est tantum – powiedziała nieco głośniej, z wręcz nabożnym przejęciem.

Przywódca był już całkiem niedaleko, a to oznaczało, że plan niedługo się wypełni. Tym razem ugryzła się w wewnętrzną stronę policzka. Poczowała w ustach krew. Przejęcie sytuacją nieco zelzało. Ugryzła się jeszcze raz, tym razem mocniej. W jej oczach pojawiły się łzy, ale nie przestała wypowiadać swojej mantry.

– Voluntas est tantum. – Głos miała nieco zniekształcony przez uszkodzenie języka, ślina pomieszana z krwią ściekała po jej policzku. Ugryzła się ponownie, najmocniej jak potrafiła. I jeszcze raz! I jeszcze!

Wreszcie jęknęła rozdzierająco, kiedy ból zaczął do niej docierać bez żadnych przeszkód. Kaszlnęła i opluła krwią biurko i monitor. Ból był prawie nie do zniesienia. Ewa zwinęła się w kłębek. Potem wreszcie wzięła głębszy oddech i powoli dotarło do niej, że chyba się uwolniła – była całkowicie przytomna.

Spojrzała na bok i ujrzała, jak Barbara Zielińska kiwa się na swoim krześle i nieustannie wypowiada słowa: – Voluntas est tantum, ad vitam aeternam. Voluntas est tantum...

Wszyscy pracownicy powtarzali to samo. Szum przyciszonych głosów brzmiał niczym morze, które coraz mocniej falowało. Ewa wołała nie być w pobliżu, kiedy rozpęta się burza.

Drżącymi dłońmi sięgnęła po telefon i z zaskoczeniem zobaczyła, że nie ma zasięgu. Wiedziała, że powinny być aktywne chociaż połączenia alarmowe, więc wybrała odpowiedni numer i nacisnęła zieloną słuchawkę. Nie rozległ się żaden

dźwięk, a połączenie nie zostało nawet nawiązane. Za drugim razem stało się to samo. Wtedy zobaczyła idącego w jej kierunku Darka Kazimierskiego. Jego długie włosy były w ekstremalnym nieładzie, splątane i pobrudzone czymś dziwnym. Chudzielec zgubił gdzieś okulary, a opięcie na jego spodniach nie mogło ukryć wyraźnego wzrodu. Miarowo zaciskał pięści, tak jakby przygotowywał się do użycia siły. Zaniepokojona Ewa patrzyła teraz na niecodzienny obrazek: na Darka nagle rzucił się z dzikim wrzaskiem Robert Komar.

– Ona jest moja! – krzyknął gniewnie i uderzył go pięścią w twarz. – To ja będę ją rznął!

Wstała z krzesła, nie wiedząc, co robić. Czy już uciekać, czy może pomóc Robertowi? A może uderzyć czymś ciężkim ich obu?

Robert chwycił głowę Darka w dłonie i zaczął nią rytmicznie uderzać w podłogę.

– Moja! – krzyczał, a jego wrzaskom towarzyszyło regularne dudnienie. – Voluntas est tantum! Voluntas est tantum!

Podczas gdy zszokowana Ewa nadal tkwiła w miejscu, nie wiedząc, co robić, do pomieszczenia wkroczył nieznany jej mężczyzna. Słyszac nagłe głośnie westchnienie współpracowników wywnioskowała, że musiał to być przywódca i główny realizator planu. Okazał się zdecydowanie młodszy, niż się spodziewała – wyglądał na dwudziestolatka. Jednak poważne spojrzenie zielonych oczu sugerowało, że jest znacznie starszy.

– Spokój! – warknął do walczących mężczyzn, a ci posłuchali natychmiast. Robert puścił głowę Darka i wyprostował się w oczekiwaniu na dalsze rozkazy.

– Siad! – powiedział Walter Szymanowicki, gdyż to on był tajemniczym mężczyzną – i obaj pracownicy działu serwisu informatycznego usiedli w siadzie skrzyżnym. Poobijanemu Darkowi zajęło to więcej czasu, ale wreszcie odpowiednio ułożył nogi. Z jego poranionej głowy powoli spływała krew.

Walter przyjrzał się Ewie i uśmiechnął się z podziwem. Jeśli w jego wzroku pojawiło się zaskoczenie, to jedynie na ułamek sekundy. Podeszedł do biurka, podczas gdy Barbara śledziła go spojrzeniem, w którym widać było uwielbienie. Szymanowicki oparł się łokciami o blat i kiwnął jej głową.

– Gratuluję silnej woli – powiedział dźwięcznym, przyjaznym tonem. – Niewielu się udaje pozostać sobą w pobliżu urzędów, jakie tutaj umieściłem. Wymaga to ogromnego zdyscyplinowania umysłu i kontroli nad własnymi myślami.

Ewa spoglądała na niego z zaciekawiona i wystraszona jednocześnie. Zdawała sobie sprawę z tego, że ten mężczyzna w jakiś sposób kontroluje sytuację, że prawdopodobnie jest w stanie wydawać polecenia wszystkim w biurowcu.

– Kim pan jest? – wykrztusiła i skrzywiła się z bólu. Już prawie zapomniała, jak mocno musiała sobie pogryźć język i wewnętrzną stronę policzków, by odzyskać świadomość.

Mężczyzna uśmiechnął się, po czym cofnął o krok i dwornie uklonił. Było w jego ruchach coś, co sugerowało dużą sprawność fizyczną i zwinność.

– Walter Szymanowicki – powiedział, prostując się.

– Szymanowicki... – powtórzyła Ewa, przypominając sobie to nazwisko. – Jak Romuald Szymanowicki?

Walter zamrugnął zaskoczony i kiwnął potwierdzająco głową.

– Zaskakuje mnie pani na każdym kroku – powiedział. – Romuald był moim dziadkiem.

– Współpracownik Sylwestra Sapiehy! – krzyknęła Ewa.

– Zgadza się – potwierdził z uśmiechem. – A pani to...?

Ewa stwierdziła, że nie ma sensu się ukrywać ani wymyślać fałszywych tożsamości. Być może uda jej się jakoś wydostać z tego budynku bez dalszych obrażeń, jeśli tylko dogada się z tym tajemniczym mężczyzną.

– Ewa Makuszevska – przedstawiła się.

Walter otworzył szerzej oczy i jeszcze raz pokiwał głową.

– Makuszevska – powiedział z lekką zadumą. – To by tłumaczyło wiedzę na temat osoby Sylwestra Sapiehy. Brałaś udział w eksperymentach ze wzbudzaniem śladów światła w jego domu razem z doktorem Rafałem Żmudowiczem.

Zaskoczona pokiwała głową. Wyglądało to tak, jakby ich spotkanie nie było przypadkowe. Walter przyjrzał się jej jeszcze raz, po czym mruknął, jakby podjął jakąś decyzję: – Zdaje się, że ktoś chciał, żebyśmy się spotkali. Czy wiesz, w jakim miejscu został wybudowany ten biurowiec?

– Tak – powiedziała Ewa. – Na ruinach szpitala psychiatrycznego Sylwestra Sapiehy.

– Brawo! – ucieszył się mężczyzna i klasnął w dłonie.

Zobaczyła, jak z poszczególnych boksów wyłaniają się pracownicy. Każdy z nich wydawał się opanowany przez tajemniczą siłę, która jeszcze niedawno kontrolowała również ją. Niektórzy krwawili, inni odnieśli widoczne obrażenia, a wszyscy mieli pogniecione i wybrudzone ubrania. Charakterystyczne były również ich spojrzenia, jakby nieobecne i drapieżne zarazem, niczym oczy piranii. Wpatrywali się w Waltera Szymanowickiego niczym w Mesjasza.

– W zasadzie nie tyle na ruinach, co na fundamentach starego szpitala – kontynuował mężczyzna. – Były tak solidne, że przetrwały pożar, a potem kolejne dziesięciolecia, i posłużyły za podstawę do budowy biurowca. Kiedyś budowano znacznie solidniej niż teraz. A wiesz, co się stało w szpitalu psychiatrycznym Sylwestra Sapiehy?

– Wybuchł pożar – powiedziała Ewa, przypominając sobie, czego się dowiedziała – w którym zginęła większość pacjentów, personel i sam Sylwester Sapieha.

– Zgadza się – ponownie potwierdził Walter. – Lecz to nie był przypadek.

Wszystko zostało zaplanowane przez Sapięę. Przeprowadził rytuał, podczas którego spłonął żywcem.

– Ciekawy sposób na popełnienie samobójstwa – stwierdziła, przypominając sobie, że było już kilka osób, które dokonały samospalenia w ramach ekstremalnego protestu.

– Samobójstwa? – zdziwił się Walter. – O nie, Sylwester Sapięha nadal żyje! Na tym właśnie miał polegać rytuał. Ostateczny test silnej woli! Bo wola wystarczy do życia wiecznego!

Jakby na zawołanie, w tym samym momencie pracownicy serwisu informatycznego odezwali się chórem: – Voluntas est tantum! Ad vitam aeternam!

Więc takie było znaczenie tych słów! Wola wystarczy do życia wiecznego...

– Ale przecież ciało Sylwestra Sapięhy spłonęło! On nie żyje!

Walter Szymanowicki pokręcił głową.

– Pozbądź się stereotypów. Jego ciało umarło, ale umysł nadal trwa, a świadomość błąka się po miejscach, które znał. Nie czułaś tej obecności w jego domu? Nie czujesz jego obecności tutaj?

Ewa chciała już coś odpowiedzieć, ale zawahała się i zamknęła usta. Wyczuwała obecność Sylwestra Sapięhy, jego postać przecież pojawiała się w jej wizjach i snach.

Walter spojrział na nią i uśmiechnął się przebiegle.

– Wyczuwasz go – powiedział i było to raczej stwierdzenie niż pytanie. – On nadal żyje, tylko na innym poziomie egzystencji. Czeka tylko na przywrócenie do świata rzeczywistego. I my tego dzisiaj dokonamy. Skończymy rytuał zapoczątkowany kilkadziesiąt lat temu!

– Niech pan posłucha – zaczęła niepewnie Ewa. – Nie mam z tym nic wspólnego, nie obchodzi mnie, czego będzie pan tu dokonywał, więc chyba nie będę tu potrzebna, prawda? Proszę pozwolić mi odejść...

Walter Szymanowicki uśmiechnął się ponownie, po czym powoli pokręcił głową.

– Tak wielki potencjał psychiczny jak twój nie może się zmarnować – powiedział wręcz radośnie. – Będziesz aktywnym uczestnikiem rytuału.

– Ja? – Próbowała oponować Makuszevska. W jej głosie zabrzmiały nutki paniki. – Ale po co? Jak?...

– To proste – rzekł Szymanowicki. – Zostaniesz złożona w ofierze. Tak jak pozostali, którzy aktualnie przebywają w tym budynku...

– C... co? – Ewa otworzyła szeroko oczy i usta. Przez moment nie docierało do niej to, co właśnie usłyszała.

– Żeby dokończyć rytuał zapoczątkowany przez Sylwestra Sapięę – mówił dalej Walter tonem cierpliwego nauczyciela – należy zgromadzić wielką ilość energii psychicznej i uwolnić ją poprzez ostateczne cierpienie, zakończone śmiercią. Najlepiej kiedy uczestnicy zrobią to z własnej woli albo kiedy będą umysłowo chorzy.

Wreszcie Ewa zdała sobie w pełni sprawę z tego, co Walter Szymanowicki ma zamiar zrobić i zadygotała ze strachu. Nie miała zamiaru czekać, aż ten szalowiec zakończy swój monolog i postanowiła działać od razu. Nadal trzymała w ręku telefon, więc rzuciła nim w Waltera i pobiegła w kierunku wyjścia z pomieszczenia. Szymanowicki nie dał się zaskoczyć i udowodnił swój niezwykły refleks, łapiąc aparat dłonią, zanim ten uderzył w jego głowę.

Tymczasem Barbara Zielińska obróciła się na krzesło i próbowała przeszkodzić Ewie w ucieczce. Makuszeuską zdziwiła jej siła, kiedy drapieźnie zakrzywione palce zacisnęły się na czarnej bluzce. Zadziałała instynktownie i uderzyła koleżankę w twarz, zostawiając jej głębokie bruzdy od paznokci koło oka. Ta jednak nadal trzymała mocno. Ewa szarpnęła się i ostatecznie uwolniła bluzkę z jej uchwytu, jednocześnie tracąc równowagę. Zanim zdołała ją odzyskać, uderzyła głową o kant biurka. Świat zamigotał jej przed oczami, ale nie zamierzała się poddawać. Z trudem podniosła się na nogi i opierając się o ścianę ruszyła korytarzem w stronę wind.

Walter Szymanowicki przyglądał się temu rozbawiony. Zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie musiał mówić do Ewy albo wymyślać kwestie niczym z taniego horroru, by ją zmobilizować do działania. Był przekonany, że kobieta nie zdoła się wydostać z budynku. Posłusznych mu oszalałych pracowników było zbyt wielu. Walter wiedział jednak, że ucieczka na pewno spowoduje wielki stres i strach, co zwiększy ilość energii psychicznej, jaką Ewa uwolni w momencie swojej śmierci. Wreszcie z kieszeni wyciągnął mikrofon połączony z rozmieszczonymi w całym biurowcu urządzeniami ESP-X10. Były one nieudanym eksperymentem: w teorii miały umożliwiać i ułatwiać kontakt telepatyczny, lecz zamiast tego powodowały pomieszanie zmysłów. Ten efekt uboczny okazał się jednak bardzo przydatny do realizacji celu, jakim było dokończenie rytuału Sylwestra Sapiehy. Walter uważał bowiem, że wykorzystanie szpitala psychiatrycznego byłoby zbyt niewygodne.

Szymanowicki dał więc uciekinierce jeszcze kilka sekund przewagi, po czym nacisnął odpowiedni przycisk, uruchamiając mikrofon, by jego głos był słyszalny w całym biurowcu, i powiedział: – Złapcie Ewę Makuszeuską i sprowadźcie ją do piwnicy.

*

Ewa biegła korytarzem, ledwie trzymając się na nogach. Serce biło jej jak oszalałe, oddychała szybko i płytko. Kiedy usłyszała głos Waltera Szymanowickiego, jego słowa zabrzmiały to dla niej niczym wyrok. Zbliżała się już do holu, kiedy na jej spotkanie wyszła Eliza Szafraniec. Wyłaniała się właśnie zza drzwi – jeszcze moment i ją zauważy. Makuszeuska nie mogła sobie pozwolić na zwłokę – za plecami już słyszała odgłos pogoni. Nie namyślając się wiele, rozpędziła się i runęła na drzwi,

które uderzyły szefową działu marketingu. Eliza walczyła jak oszalała, wyciągając ręce w kierunku Ewy. Ta naparła na nią jeszcze raz całym ciałem, wkładając w to wszystkie swoje siły. Usłyszała okrzyk bólu i chrupnięcie złamanej kości Elizy, kiedy drzwi przytrzasnęły jej ramię.

Nie tracąc czasu, Ewa pobiegła dalej. Obraz przed oczami nadal miała lekko zamazany, ale przynajmniej zaczęła pewniej biec. Być może to adrenalina zaczęła działać. Wpadła do holu niczym burza, na szczęście nie było tam nikogo. Podbiegła do drzwi windy i nacisnęła odpowiedni guzik. Jęknęła, kiedy zobaczyła, że kabina jest na samym dole, a odgłos pogoni na korytarzu zbliża się nieubłaganie. Nie zdąży!

Nie namyślając się wiele, ruszyła w stronę klatki schodowej, miejsca, którego nigdy nie widziała, mimo że pracowała w BS&D od ponad pół roku. Ta obca przestrzeń zawsze stanowiła dla niej inny świat, tajemniczą krainę, dodającą biurowcowi nieco magii. Przez chwilę zawahała się – czy otwierać drzwi? Kiedy wejdzie do środka, aura tajemniczości klatki schodowej zostanie bowiem bezpowrotnie zniszczona.

*

Kiedy zobaczyła wyłaniającego się z korytarza grubego Jurka Woźniakowskiego natychmiast odsunęła od siebie te myśli – powinna się przecież skupić na ucieczce! Zaczęła się dziwić, jak taki masywny i ociężały człowiek zdołał znaleźć się w samej czołówce grupy ścigających ją pracowników. Miał na sobie wybrudzoną, rozciągniętą koszulkę, a z brody zwisały mu resztki jedzenia. Wyciągając przed siebie dłonie, truchtał w kierunku Ewy, a jego sadło trzęsło się w rytm kroków.

Jednym szarpnięciem otworzyła drzwi i wbiegła na klatkę schodową, oświetloną chłodnym blaskiem lamp. Nie było tam okien.

Ewa chwyciła się balustrady i ostrożnie zaczęła zbiegać schodami – ostatnie, czego potrzebowała, to upadek. Na szczęście ból i zawroty głowy nieco zelżały, więc poruszała się szybko. Kiedy mijała jedenaste piętro, drzwi powyżej otworzyły się i na klatkę schodową wbiegli szaleni pracownicy BS&D. Wrzeszcząc niczym wściekłe stado dzikich bestii, zaczęli zbiegać w dół, przewracając się na schodach i tratując wzajemnie.

Ewa minęła kolejne półpiętro, była już blisko dziesiątego i miała zamiar zeskoczyć z kilku ostatnich stopni, kiedy nagle zgasło światło. Krzyknęła ze strachu, chwyciła się mocniej balustrady i opadła w dół. Źle stąpnęła, poczuła ból w kostce i upadła na kolana. Z rozpędu poleciała jeszcze kawałek dalej i uderzyła głową w ścianę, nabijając sobie kolejnego guza. Wsparła się rękoma i szybko wstała. Syknęła z bólu, kiedy próbowała przenieść ciężar ciała na prawą nogę – skręcona kostka dała o sobie znać. Na ślepo sięgnęła do balustrady i oparła się o nią z ulgą. Uniosła głowę, by lepiej

słyszeć odgłosy pogoni, ale słyszała tylko wrzaski kłębiącego się powyżej tłumu. Najprawdopodobniej pościg utknął na półpiętrze.

Ewa zdawała sobie jednak sprawę z tego, że tylko kwestią czasu był ponowny bieg szaleńców w dół schodów. Kuśtykając pokonywała pojedyncze stopnie, starając się stapać i nasłuchując kolejnego zagrożenia. Cieszyła się, że zyskała trochę czasu. Szła dalej. Było tak ciemno, że nie widziała oznaczeń poszczególnych pięter. Mimo obrażeń poruszała się dość szybko. Oceniała, że może być już na piątym, być może czwartym piętrze.

Nagle zatrzymała się. Usłyszała niżej jakiś dźwięk, który sprawił, że zadrżała ze strachu. Ktoś wspinał się po schodach, ale to nie odgłos kroków dotarł do jej uszu. Była to przytłumiona melodia Marszu Pogrzebowego. W jej stronę szła Tancerka!

Ewa zastanowiła się naprędce, co robić. Jakby tego wszystkiego było mało, usłyszała jak pracownicy BS&D ruszyli w dalszą pogoń, zbiegając schodami, ale tym razem wyraźnie wolniej. Ewa postanowiła schować się na piętrze, na którym się właśnie znajdowała, do czasu, aż rozpędzona grupa pobiegnie dalej. Powoli zbliżyła się do drzwi i otworzyła je lekko.

Nie przewidziała, że snop światła, który dzięki temu wpadł na klatkę schodową, zdradzi wszystkim jej pozycję.

– Jest na czwartym piętrze! – wrzasnęła Tancerka i ruszyła biegiem w górę.

Ewa zaklęła brzydko i na tyle szybko, na ile pozwoliła jej skręcona kostka, wydostała się na główny korytarz czwartego piętra i pobiegła do biur. Nacisnęła klamkę pierwszych z brzegu drzwi, ale te były zamknięte. Pokuśtykała dalej, wiedząc, że w każdej chwili z klatki schodowej może wyjść Tancerka albo pracownicy jej działu. Chyba nigdy w życiu nie bała się tak jak teraz.

Następne drzwi były na szczęście otwarte, więc natychmiast weszła do środka, zamykając je za sobą. Zdażyła w ostatniej chwili. Usłyszała, jak otwiera się wejście na klatkę schodową. Z obawą rozejrzała się po pomieszczeniu, ale stwierdziła, że jest puste. Na środku znajdowało się solidne biurko, dwa obrotowe krzesła, regał wypełniony kolorowymi segregatorami oraz drewniany stolik ze stojącym na nim wazonem, wyglądający na dość ciężki.

Zacisnęła zęby, by nie syczeć z bólu, ale okazało się to kiepskim pomysłem. Zmasakrowana wewnętrzna strona policzków natychmiast dała o sobie znać. Starła się nie zwracać uwagi ani ból, ani na zawroty głowy i stękając z wysiłku, przesunęła stolik pod drzwi, nie widziała bowiem żadnego klucza, który mogłaby przekreślić. Kiedy to zrobiła, spojrzała niepewnie na przejście do kolejnego pomieszczenia. Czy miało ono połączenie z głównym korytarzem? I, co ważniejsze – czy w środku ktoś był?

Powoli podeszła do ściany i z duszą na ramieniu wyjrzała zza rogu. Kiedy ujrzała leżącego pod drzwiami mężczyznę, prawie krzyknęła ze strachu. Ale jedynie zakryła

dłonią usta i powstrzymała się w ostatniej chwili. Mężczyźnie udało się powiesić na swoim własnym krawacie, zaczepionym o klamkę drzwi. Jego twarz była sinoniebieska, a ciemne plamy na spodniach i na wykładzinie wokół niego świadczyły o tym, że zwieracze denata przestały spełniać swoje funkcje. Z tego też względu w pokoju unosił się dość nieprzyjemny zapach, który Ewa poczuła dopiero teraz. Poza wisielcem w środku nie było nikogo. Ewa jednak zauważyła coś, co wyraźnie ją ucieszyło: normalne drewniane krzesło.

Starając się powstrzymać odruchy wymiotne, podeszła do ciała i spróbowała je przesunąć. Szarpnęła kilka razy, ale okazało się, że wbrew temu, co pokazują na filmach, bardzo ciężko jest przesunąć zeszywniałego trupa. Szczególnie takiego, który nadal częściowo wisi na własnym krawacie. Najchętniej zostawiłaby go tam, gdzie był, ale uważała, że nie będzie stanowił przeszkody w dostaniu się do pomieszczenia. Pokuśtykała więc do biurka i zaczęła przeglądać poszczególne szuflady. Wreszcie uśmiechnęła się, kiedy odnalazła szkolne nożyczki – takie z zaokrąglonymi końcówkami. Wróciła do trupa, ciągnąc za sobą solidne krzesło. Wzięła głęboki oddech, uklękła obok zwłok i drżącymi dłońmi zaczęła przecinać krawat. Po kilku sekundach udało jej się, pomimo że nożyczki były dość tępe, i nieboszczyk opadł na podłogę. Wykładzina wygłuszyła uderzenie, więc Ewa miała pewność, że nie było słyszalne na głównym korytarzu. Teraz łatwo było przeturlać ciało na bok. Ewa wykrzywiła się obrzydzenia, ale udało jej się nie zwymiotować. Szybko podparła klamkę krzesłem i zablokowała jego nogi mebla o wykładzinę. Sprawdziła jeszcze raz ustawienie i stwierdziła, że chyba zda egzamin. W tej samej chwili usłyszała, że ktoś próbuje otworzyć drzwi do pierwszego pomieszczenia, do którego weszła.

Szybko pokuśtykała w stronę drzwi łączących oba pokoje i wyjrzała. Klamka się poruszała. Za chwilę ktoś naprze na drzwi, a wtedy stolik nie powstrzyma intruzów przed dostaniem się do środka. Ewa działała instynktownie, podeszła do drzwi i opadła na podłogę, plecami opierając się o stolik. Miała nadzieję, że po jakimś czasie szaleniec po drugiej stronie uzna, że drzwi jednak są zamknięte. Klamka poruszała się nadal i w tym samym momencie Ewa poczuła nacisk. Zaparła się więc nogami i z całych sił przycisnęła stolik do drzwi. Ból, jaki poczuła, zaparł jej dech w piersiach i sprawił, że przed oczami zatańczyły jej mroczki. Intruz wreszcie zrezygnował i klamka przestała się ruszać, a Ewa odetchnęła z ulgą. Wiedziała bowiem, że drugie były zabezpieczone o wiele lepiej i bez użycia brutalnej siły nikt nie dostanie się do środka.

Wiedziała jednak, że nie może zostawać w tym biurze w nieskończoność. Chociaż z drugiej strony przebiegła jej przez głowę myśl, że gdyby wytrzymała w ukryciu wystarczająco długo, ktoś wreszcie zorientuje się, że coś nie gra. Zjawi się policja, straż lub którakolwiek ze służb i Ewa będzie mogła bezpiecznie wyjść z budynku. Po

chwili jednak przypomniała sobie słowa Waltera Szymanowickiego o pożarze i uznała, że pozostawanie w biurowcu dłużej niż to konieczne jest bardzo złym pomysłem.

– Musi tu gdzieś być. – Ewa usłyszała głos z korytarza. – Szukajmy na tym piętrze, nie mogła zejść ani wyżej, ani niżej...

Nadstawiła uszu. Odgłosy na korytarzu wskazywały na to, że główna grupa pościgowa znalazła się na czwartym piętrze. Z niepokojem czekała na rozwój wypadków, starając się zorientować, w którą stronę pójdą ścigający. Minęło kilka minut, w trakcie których słychać było przyciszone rozmowy i kroki, raz doszło nawet do jakiejś bijatyki. Wreszcie odgłosy zaczęły cichnąć, co oznaczało, że pościg przeniósł się w inny rejon piętra.

Ewa ostrożnie podniosła się na nogi i przyłożyła ucho do drzwi. Wstrzymała oddech, starając się usłyszeć najdrobniejszy odgłos, cokolwiek, co mogłoby wskazywać na czające się po drugiej stronie zagrożenie. Wreszcie uznała, że chyba może opuścić biuro, ale wcześniej postanowiła znaleźć sobie jakąś broń. Rozejrzała się więc po wnętrzu, szukając czegoś przydatnego. Jej wzrok padł na segregatory, ale wydawały się zbyt nieporęczne. Mogła również zapomnieć o szkolnych nożyczkach, bo były za małe i zbyt tępe, by na cokolwiek się przydać podczas ewentualnej walki. Wreszcie wzrok Ewy padł na klawiaturę od komputera. Uśmiechnęła się krzywo i podeszła do biurka, by ucieszyć się jeszcze bardziej – klawiatura była bezprzewodowa.

Wzięła ją i podeszła do drzwi. Nasłuchiwała przez moment, po czym zabrała się za odsuwanie stolika, mimo wszystko starając się robić to cicho i ostrożnie. Kiedy zobaczyła, że droga jest wolna, odetchnęła kilka razy i z wahaniem nacisnęła kłamekę. Uchyliła drzwi i wyjrzała przez powstałą w ten sposób szczelinę. W tej części głównego korytarza, który miała w zasięgu wzroku, nie było nikogo. Otworzyła drzwi nieco szerzej i spojrzała w drugą stronę. Nadal nikogo ze ścigających. Zaryzykowała i wyjrzała na zewnątrz. Rozejrzała się i zorientowała, że ścigający musieli się rozejść po dalszych biurach i kolejnych pomieszczeniach na tym piętrze.

Nadal kuśtykając, wyszła na korytarz. W dłoni ścisnęła klawiaturę. Stwierdziła, że otwarcie drzwi na klatkę schodową może nie być dobrym pomysłem, ponieważ ostatnim razem wydały całkiem głośny, charakterystyczny dźwięk. Poza tym z ze skreconą kostką nie mogła poruszać się po schodach szybciej niż ścigający. Postanowiła więc przywołać windę.

Nagle jej uwagę zwróciła postać przechodząca w poprzek korytarza. Była to kobieta ubrana w biały fartuch pielęgniarki, która niosła srebrną metalową tacę. Coś w jej wyglądzie i ubraniu sugerowało, że nie pochodziła z obecnych czasów. Ewę przeszedł zimny dreszcz. Pielęgniarka weszła prosto w ścianę i zniknęła, nie wydając żadnego dźwięku. W tym samym momencie do nozdrzy Makuszewskiej dotarła

charakterystyczna woń, która zwykle wypełnia pomieszczenia apteki albo przychodni. Ewa potrząsnęła głową – nie miała teraz czasu na halucynacje.

Ostrożnie podeszła do windy i nacisnęła odpowiedni guzik. Po chwili liczba na wyświetlaczu zaczęła się zmniejszać, co oznaczało, że winda się zbliża. Ewa z obawą rozglądała się po korytarzu, wypatrując zagrożenia. Kiedy rozległ się charakterystyczny dźwięk, zrozumiała, że winda dotarła na czwarte piętro. Spojrzała jednak w stronę otwierających się drzwi i zrobiła to w ostatniej chwili. Z kabiny wyskoczył bowiem rozwścieczony Michał Wąski. Mężczyzna chciał ją chwycić, ale natychmiast został uderzony krawędzią klawiatury w szyję. Runął na podłogę, krztusząc się i desperacko próbując złapać oddech – Ewa znokautowała go jednym ciosem!

Nie było jednak czasu na radość ze zwycięstwa. Odgłosy na korytarzu wskazywały na to, że pozostali ścigający usłyszeli odgłos walki i właśnie zmierzają w jej stronę. Ewa szybko weszła do windy i nacisnęła odpowiednie klawisze: najpierw wdusiła ten z literą „P”, a następnie zaczęła szybko uderzać w kolejny zamykający drzwi.

Udało jej się to w ostatniej chwili. Na korytarzu pojawiła się Katarzyna Lewczuk, która, ni to krzyżąc ni to zawodząc niczym banshee, biegła w stronę kabiny. Jej opętane spojrzenie i wykrzywiona w furii twarz doskonale komponowały się z dużym nosem. Już nie przypominała Ewie zwykłej czarownicy, tylko jakąś jej dziwaczną, spaczoną wersję z mrocznej baśni bez happy endu. Na szczęście zanim Katarzyna dopadła drzwi, winda ruszyła w dół.

Ewa oparła się o ścianę, oddychając ciężko. Zastanawiała się, co zastanie na parterze. Miała nadzieję, że stamtąd bez przeszkód wydostanie się z tego domu wariatów. Spoglądała na zmieniające się cyfry, a kiedy pojawiło się zero, ustawiła się na środku kabiny i mocniej chwyciła klawiaturę.

Rozległ się brzdęk, a drzwi windy zaczęły się otwierać, ukazując główny hol, pełen pracowników biurowca. Niektórzy z nich tańczyli, inni siedzieli cicho, jeszcze inni masakrowali swoje ciała na wiele obscenicznych sposobów. Część bujała się w przód i tył, niczym w transie. Ewie miała wrażenie, jakby dostała się na główną salę szpitala psychiatrycznego. Ktoś stał na krześle i wygłaszał właśnie płomienne przemówienie do swoich wiernych żołnierzy, ktoś inny strzepywał z siebie wyimaginowane pająki. Przez ten krótki moment ujrzała prawie wszystkie przypadki chorób psychicznych, o których słyszała i jeszcze kilka takich, o których nie miała pojęcia.

Pracownicy biurowca zaczęli powoli odwracać się w kierunku windy, jak gdyby wyczuwając, że w okolicy pojawił się ktoś nowy.

Ewa stwierdziła, że nie ma szans na to, by przebić się przez ten tłum, nawet korzystając z niezwykle skutecznej klawiatury. Szybko więc nacisnęła pierwszy z

brzegu przycisk piętra, po czym nerwowo zaczęła uderzać w ten zamykający drzwi. Gdy pracownicy biurowca już zdali sobie sprawę z jej obecności, drzwi windy zaczęły się ponownie zamykać. Miała ściśnięte gardło. Jak wydostać się z budynku?!

Wreszcie winda ruszyła w górę. Ewa stwierdziła, że nie ma już pomysłów na to, jak wydostać się z tej pułapki. Spojrzała na numer piętra, który wybrała i uznała, że szóste będzie dobre, tak jak każde inne oprócz dwunastego i czwartego.

Wytarła oczy rękawem – nie mogła powstrzymać łez. Co miała teraz zrobić? Jak sobie poradzić? Wykorzystała chyba każdy pomysł i była już u kresu wytrzymałości fizycznej i psychicznej. Powoli docierało do niej, że być może nie uda jej się wydostać z biurowca. I ta myśl była dla niej tak trudna do zniesienia, że prawie ugięły się pod nią nogi.

Spojrzała na swoje odbicie w lustrze i odwróciła wzrok. Na twarzy miała krew, która ściekała jej z ust i z rozcięć na głowie. Makijaż już dawno się rozmazał, tworząc nieokreśloną ciemną plamę. Ale najgorsze było spojrzenie, w którym nie widziała już nadziei.

W zasadzie nie wiedziała, dlaczego nadal ucieka. Po co się męczyć? Skoro i tak nie uda jej się wydostać, po co dalej się starać? Może lepiej wrócić na dwunaste piętro, odszukać Waltera Szymanowickiego i zgodzić się na wszystko, czego będzie chciał?

Ale kiedy w głowie Ewy pojawiła się wizja, w której płonęła żywcem, szybko zmieniła zdanie. Nawet jeśli nie wydostanie się z budynku, to przynajmniej będzie się starała. I nigdy się nie podda!

Wyprostowała się i chwyciła mocniej klawiaturę, gotowa na kolejne starcie, kiedy winda zatrzymała się na szóstym piętrze. Drzwi otworzyły się, korytarz był pusty. Ewa odetchnęła lekko i ostrożnie wyjrzała z windy. W zasięgu wzroku miała żadnego szaleńca.

Z wahaniem wyszła z kabiny, zastanawiając się, co robić. W tym samym momencie zauważyła jakąś postać, wyłaniającą się z jednego z pomieszczeń. Przygarbiony mężczyzna celował w nią z jakiegoś przedmiotu, w którym dopiero po chwili Ewa rozpoznała pistolet. Przymrużyła oczy, a jej serce zabiło mocniej, kiedy na chwilę wzrok odzyskał ostrość.

– Ewa Makuszevska? – zapytał z lekkim zaskoczeniem w głosie Bartosz Krajan i opuścił broń.

– Tak – powiedziała, po czym kuśtykając podeszła do policjanta. – Już myślałam, że mnie dorwą ci wszyscy wariaci!

Rzuciła się Krajanowi na szyję, czując, jak cała rezygnacja ostatecznie ulatuje, a zastępuje ją nadzieja na wyjście cało z opresji. Bartosz jako policjant na pewno będzie miał jakiś pomysł na to, jak sobie poradzić w tej sytuacji. Być może nawet wezwał już wsparcie.

*

– Tak się cieszę, że cię widzę! – powiedziała bliska płaczu Ewa, przytulając się do policjanta całym ciałem. Bartosz odwzajemnił uścisk i objął ją, delikatnie ściągając z siebie jej dłonie. Przesunął je do tyłu, po czym sprawnie założył jej kajdanki, a Ewa dopiero po chwili zdała sobie sprawę z tego, co się właśnie stało. Poczowała się tak, jakby ktoś wylał na jej głowę wiadro zimnej wody. Spojrzała na policjanta wstrząśnięta, doszukując się w nim objawów szaleństwa, ale wzrok Bartosza Krajana był wyjątkowo przytomny.

Policjant sięgnął po przymocowany do koszuli mały mikrofon, po czym powiedział do niego: – Znalazłem ją, Walterze. Jesteśmy na szóstym piętrze.

Po chwili z małego głośniczka wydobył się głos Szymanowickiego: – Wspaniale. W jakim stanie jest panna Makuszevska?

Bartosz Krajana przyjrzał się Ewie krytycznym wzrokiem, po czym odparł spokojnie: – Wygląda, jakby sporo przeszła.

– Wspaniale! – powiedział szybko Walter. – Po prostu wspaniale! Już do was jadę.

– Zrozumiałem – potwierdził Bartosz i spokojnie spojrzał na Ewę.

– Dlaczego to robisz? – zapytała drżącym głosem. – Przecież jesteś policjantem!

Uderzenie w twarz prawie ją przewróciło. Ból, jaki się rozszedł po całym jej ciele, był prawie nie do wytrzymania. Wyprostowała się powoli i spojrzała na Krajana ze strachem.

– Zamknij się! – powiedział nienawistnym tonem, który schłodził ją do szpiku kości. Po czym chwycił jej ramię i brutalnie odwrócił. – Idziemy!

Kiedy dotarli do windy, z klatki schodowej wyłonił się Robert Komar. Zbliżał się do nich ze spojrzeniem utkwionym w Ewie. Tuż za nim szedł cały zespół obsługujący firmę Maximum. Był wśród nich Michał Wąski, który miał na szyi siny ślad po uderzeniu klawiaturą. Dalej szeroko uśmiechnięty Mariusz Ziemowit, wyglądający jakby właśnie wrócił z imprezy w remizie strażackiej, oraz Andrzej Skurski, z twarzą niewyrażającą żadnych emocji.

– Stać! – rozkazał Bartosz Krajana i zespół zajmujący się firmą Maximum zatrzymał się posłusznie. Tylko Robert Komar szedł dalej.

– Powiedziałem stój! – powtórzył Bartosz Krajana i sięgnął po pistolet.

– Ona jest moja... – powiedział Robert, dziwnym, chrapliwym głosem. – Moja!

Policjant westchnął tylko, odbezpieczył broń i wystrzelił. Ewa podskoczyła ze strachu – nie zdawała sobie sprawy z tego, że odgłos wystrzału może być tak głośny. Bartosz nacisnął spust trzykrotnie, za każdym razem trafiając Komara w klatkę piersiową. Po chwili ten upadł na podłogę, a z jego ran zaczęła cieknąć krew.

Pozostali pracownicy nie mrugnęli nawet okiem.

Drzwi windy otworzyły się i ze środka wyszedł Walter Szymanowicki. Beznamiętnym spojrzeniem omiół całą scenę i zapytał poważnym tonem: – Co tu się stało?

– Nie chciał słuchać – odparł Bartosz Krajan. – Chyba leciał na Makuszewską.

Walter pokiwał głową, po czym uśmiechnął się lekko.

– Szkoda, że musiałeś go zastrzelić – powiedział z lekkim westchnieniem. – Gwałt mógłby wyzwolić w Ewie jeszcze więcej psychicznej energii.

Makuszewska zadrżała, słysząc te słowa.

– To zawsze da się załatwić – stwierdził Bartosz. – Na pewno wśród tych wszystkich świrów znalazłby się jeszcze jakiś, który miałby na nią ochotę. Może nawet cała grupa...

– Pomyślimy nad tym – powiedział Walter i ponownie wszedł do windy. – A tymczasem powinniśmy udać się na miejsce.

Krajan szarpnął Ewę i wprowadził ją do kabiny. Nacisnął przycisk z numerem „-1”, a tymczasem Walter sięgnął po mikrofon połączony z systemem urządzeń rozmieszczonych po całym budynku.

– Wszyscy mają zejść do piwnicy – powiedział rozkazującym tonem. – Powtarzam, wszyscy mają zejść do piwnicy. Czas zrealizować nasz wielki cel!

Ewa stała w windzie zrezygnowana. Teraz miała już tylko nadzieję na to, że jej życie skończy się szybko i w miarę możliwości bezboleśnie. Drżała tylko na myśl o zbiorowym gwałcie w wykonaniu bandy szaleńców.

*

Piwnica biurowca była zapełniona ludźmi. Zbici w tłum oszaleli pracownicy skupili się po jednej stronie, podczas gdy w pobliżu windy stał Bartosz Krajan, trzymając Ewę pod ramię, a przed nimi Walter Szymanowicki. W powietrzu unosił się zapach benzyny – w pobliżu stały otwarte kanistry, których zawartość nie pozostawiała wątpliwości.

– Dzisiaj na ten świat powróci Sylwester Sapiaha! – zaczął Walter, unosząc w górę rękę. Przez tłum zgromadzonych przeszedł szmer, niektórzy już teraz zaczęli powtarzać cicho: – Voluntas est tantum, voluntas est tantum...

Ewa patrzyła na całą scenę z niedowierzaniem. Wydawało jej się to tak nierealne, że aż zaczęła na powrót zastanawiać się, czy to wszystko nie jest przypadkiem halucynacją. Może to tylko ona straciła zmysły? A co jeśli faktycznie wszystko to dzieje się naprawdę?

Wiedziała, że raczej nie ma szans wydostać się z biurowca, ale mimo wszystko nie miała zamiaru się poddawać bez walki. Szybko rozejrzała się dokoła i jej wzrok padł

na wiszącą w pobliżu gaśnicę. Gdyby tylko miała szansę się do niej dostać, gdyby tylko nie była skuta...

Walter wiedział, że stojące tuż obok kanistry nie są jedynymi zbiornikami z benzyną w piwnicy. Od kilku miesięcy sprowadzał tu kolejne dostawy, które dzięki przekupionym pracownikom nie wzbudzały żadnych podejrzeń, spokojnie stojąc po kątach. Chciał wymazać wszelkie ślady tego, czego dokona w tym biurówcu, a mogło się to odbyć jedynie dzięki pożarowi, wspomaganemu przez wielki wybuch setek litrów paliwa. Podniósł więc pierwszy kanister i podał go najbliższej osobie, którą okazała się Barbara Zielińska. Pracownica serwisu informatycznego z ekstatycznym wyrazem twarzy uniosła go i oblała się benzyną. Krztusząc się od trujących oparów, podała go kolejnej osobie. Ewa patrzyła na to z przerażeniem. Kiedy Walter rozdał kanistry i następne osoby zaczęły oblewać się łatwopalnym płynem, smród w powietrzu stał się nie do wytrzymania.

– Żeby tego dokonać – kontynuował Walter Szymanowicki – musimy dokończyć rytuał, który rozpoczął się osiemdziesiąt lat temu. To, co tu zrobimy, będzie jednocześnie końcem i początkiem!

– *Voluntas est tantum, voluntas est tantum...* – Tym razem szmer był głośniejszy i wyraźniejszy.

Ewie zaczęło się kręcić w głowie od wszechobecnych oparów. Zdawała sobie sprawę, że przy takim stężeniu wystarczy tylko iskra, by spowodować zapłon.

Walter sięgnął do kieszeni i wyciągnął stamtąd zapalniczkę, którą podał Barbarze.

– Kiedy rozkażę – powiedział do niej z naciskiem – zapalisz płomień. Rozumiesz? Nie wcześniej ani nie później. Dopiero kiedy rozkażę!

– Rozumiem – wymamrotała blada Basia, która zdążyła wcześniej zwymiotować na podłogę.

W tym samym momencie Bartosz Krajan chwycił jeden z ostatnich kanistrów i odwrócił się w stronę Ewy. Zaczął go unosić w górę i Ewa wiedziała, co zaraz nastąpi. Zdawała sobie sprawę, że znajduje się obok windy, a kawałek dalej są schody na górę. Widziała również, że Walter zajęty jest przemawianiem do zgromadzonych szaleńców, więc jeśli miała cokolwiek zrobić, to właśnie teraz był czas na działanie.

– *Voluntas est tantum!* – zakrzyknął Walter Szymanowicki potężnym głosem. Odpowiedział mu chór zebranych. – *Ad vitam aeternam!*

Kiedy Bartosz unióś kanister nad głowę, Ewa zaciskając zęby oparła się na kontuzjowanej nodze, a drugą kopnęła policjanta w rzepkę. Krajan stęknął, plastikowy baniak wysmyknął mu się z rąk i uderzył go w głowę. Policjant przewrócił się, podczas gdy benzyna oblewała go lekko połyskującymi falami śmiertelnościanego płynu.

Ewa nie miała pojęcia, jak zdołała znaleźć siły na bieg, ale zrobiła to. Ruszyła pędem w stronę windy, jednocześnie krzycząc: – Basia! Zapalniczka! Zapalaj

płomień! Zapalaj!

Wpadła do środka i szybko nacisnęła odpowiedni guzik. Zanim nawet Bartosz Krajan zdążył się podnieść z kałuży benzyny, Walter Szymanowicki już biegł w stronę windy. Jego twarz była blada ze strachu, kiedy ujrzał, że jej drzwi się zamykają. Wyciągnął ręce w stronę Ewy, wykonał kilka kolejnych kroków, ale wiedział już, że nie zdąży. Zanim drzwi zamknęły się ostatecznie, Makuszevska kątem oka zauważyła jeszcze, jak Basia przygląda się zapalniczce i kładzie kciuk na obracającym się kółku, które ociera się o krzemień, krzesząc iskry.

Winda ruszyła w górę, zatrzymując się za chwilę na parterze. Ewa wybiegła ze środka i tak szybko, jak tylko pozwalała jej kontuzja, ruszyła w stronę wyjścia z biurowca. Bolało ją całe ciało, włącznie z głową – nawdychała się zbyt dużo oparów benzyny. Wszystko widziała jakby za mgłą, a świat wirował lekko. Nie wiedziała, czy potknęła się o coś, czy były to jej nogi, ale przewróciła się na podłogę. Wstała jednak szybko, wiedziała bowiem, że w każdej chwili może nastąpić wybuch.

Ktoś zaśmiał się obok, ale nikogo nie było w pobliżu. W tym samym momencie do jej nozdrzy dotarł zapach leków, a główny hol biurowca powoli stracił swoje normalne barwy. Pojawił się biały korytarz z kratami w oknach, niski sufit i płytki na podłodze – jej oczom właśnie ukazało się wnętrze dawnego szpitala psychiatrycznego. Ewa miała wrażenie, jakby znajdowała się w dwóch rzeczywistościach jednocześnie. Wiedziała, że właśnie biegnie przez główny hol biurowca, ale zamiast znajomego wnętrza widziała korytarz szpitala.

Minęła jakieś pomieszczenie, w którym zobaczyła grubą pielęgniarkę. Kobieta pogroziła Ewie dużą, szklaną strzykawką. Ewa jednak biegła dalej. Minęła jakiegoś śliniącego się mężczyznę w kaftanie bezpieczeństwa. Szaleniec podążył za nią wzrokiem. Nagle obok pojawił się kolejny osobnik. Biegł równo z nią, w dodatku na nogach i na rękach, wyglądając niczym pies o dziwacznych kształtach.

Ewa próbowała powrócić do rzeczywistości, ale wizja dawnego szpitala psychiatrycznego nie chciała jej opuścić. Biegła jego korytarzem, będąc świadkiem zabiegu lobotomii, mijając zamknięte izolatki z pacjentami, których trzeba było odseparować. Pełna panicznego lęku lawirowała pomiędzy widmami personelu, w każdej chwili gotowymi pochwycić ją i zakleszczyć w tym koszmarze.

Wreszcie z impetem uderzyła w drzwi wejściowe biurowca i to przywróciło ją do rzeczywistości. Zobaczyła, że po drugiej stronie drzwi stoi Jacek Pastuszek i intensywnie uderza o nie pięściami. Krzyczał coś i choć Ewa nie mogła go dosłyszeć, wiedziała, o czym mówi.

– Zamknięte! – Usta Jacka układały się w to słowo. – Zamknięte!

Z przerażeniem zdała sobie sprawę z tego, że jej przyjaciel ma rację. Nie pomyślała wcześniej, że tak może się stać, przecież te drzwi były zawsze otwarte! Wtedy Jacek wskazał palcem na coś za jej plecami, a w jego oczach pojawiło się

przerażenie. Ewa odwróciła się i zobaczyła, jak z klatki schodowej wyłania się Walter Szymanowicki. Właściciel RS Pharm ruszył biegiem w kierunku Ewy, ale zdołał zrobić tylko kilka kroków.

Najpierw Ewa poczuła nagły wstrząs, od którego zadrżało wszystko wokół. Chwilę potem rozległ się gromki huk, a z klatki schodowej wystrzeliły płomienie, które natychmiast ogarnęły Waltera Szymanowickiego. Ognisty podmuch rzucił ją na szklane wejście, wybijając szyby. Front budynku eksplodował. Jacek został zmieciony przez falę uderzeniową wraz z tysiącami odłamków szkła. Przez chwilę powietrze było upstrzone kolorowymi refleksami, mieniącymi się w drobniutkich kawałkach szyb. Makuszevska nie czuła już nic – ogarnięta płomieniami leciała na zewnątrz. Jej ubranie zajęło się ogniem, ciało płonęło. Gwałtowne inferno ognia i dymu wyrzuciło ją i Jacka daleko na ulicę. Ewa wylądowała na asfalcie, przeturlała się jeszcze kilka metrów i wreszcie znieruchomiała niedaleko nieprzytomnego przyjaciela.

Z ich ciał unosił się dym...

Rozdział 6

Tłum gapiów przyglądał się akcji gaśniczej z bezpiecznej odległości jednej przecznicy. Biurowiec płonął gwałtownie, a przed nim stało pięć wozów strażackich oraz kilka ambulansów, a słychać było kolejne pojazdy na sygnale. Ludzie chcieli podejść bliżej, ale nie pozwalali na to szpaler policjantów i strażników miejskich, którzy również przybyli na miejsce. Mimo że pożar wybuchł całkiem niedawno, w pobliżu zdążył się zgromadzić całkiem spory tłum ludzi.

Młody chłopak spoglądał na szalejące płomienie z szeroko otwartymi ustami.

– Ja pierdole – powiedział z przejęciem do swojego kolegi, który stał obok. – Ale się jara, co?

– No – powiedział przeciągle drugi. – Ściągnęli straż, chyba z całego regionu! To nie to samo, co próbujesz robić w garażu, zupełnie inna skala...

– Gadanie! – obruszył się pierwszy. – Przecież to tylko kwestia ilości materiałów.

Po chwili drugi trącił łokciem sąsiada i powiedział: – Ej, patrz na tego!

Chłopak ruchem głowy wskazał ubranego w staromodny frak i wysoki kapelusz mężczyznę, który podpierał się laską. Zwrócił również uwagę na jego dziwny wyraz twarzy, bowiem w przeciwieństwie do innych gapiów ten dziwny jegomość wcale nie był ani wystraszony, ani zszokowany pożarem. On spoglądał na płomienie z dumą, tak jakby to, co się działo stanowiło zwieńczenie jakiegoś wielkiego planu, jakby było efektem lat pracy. Tak, ten mężczyzna patrzył tak, jakby ogień był jego dziełem.

– A ten skąd się urwał?! – roześmiał się drugi. – Wygląda jak ze starych filmów.

– Albo z teatru – powiedział pierwszy.

Wtedy obaj zwrócili uwagę na nagły trzask, dochodzący z góry.

– Poszło kolejne okno! – stwierdził drugi z chłopców. – W środku musi być niezła temperatura!

– Racja... – odparł drugi, nadal przyglądając się tajemniczemu mężczyźnie, który w zadumie spoglądał na pożar. Mimo że próbował zachować kamienny wyraz twarzy, pojawił się na niej grymas tryumfu.

Wreszcie ubrany we frak przybysz odwrócił się na pięcie i zaczął przeciskać się przez tłum, po drodze zdejmując swój wysoki kapelusz. Po chwili Sylwester Sapiaha zniknął w zaułku, za rogiem pobliskiego budynku...